

S. G. BROWNE

LAMENT

ZOMBIE

Breathers A Zombie's Lament

Przekład

Agnieszka Kabala

AMBER



Shace.

*Dzięki, że dałeś mi okazję
odkrycia tego, co chcę robić.*

1

Budzę się w ciemności na podłodze.

Słabe sztuczne światło sączy się przez okno, co jest o tyle dziwne, że w piwniczce z winami nie ma żadnych okien. Tyle że nie potrafię zmierzyć się z tym faktem, dopóki się nie dowiem, dlaczego leżę na plecach w kałuży płynu, który przesiąka mi przez ubranie.

Poza tym słyszę jak Sammy Davis Junior śpiewa *Jingle Bells*.

Kiedy siadam, coś spada ze mnie z głuchym, mocnym brzęknięciem. To butelka. W słabym świetle wpadającym przez okno widzę, jak toczy się po podłodze i zatrzymuje przy ścianie. Ta ściana nie jest ścianą, tylko podstawą piekarnika Whirlpool.

Jestem w kuchni.

Na cyfrowym wyświetlaczu kuchenki godzina zmienia się z 00.47 na 00.48.

Głowa mi pęka. Nie wiem, ile butelek wina wypilem, ale wiem, że do pierwszej dobrałem się przed lunchem. Powód tej popijawy jest dla mnie równie oczywisty, jak cyfry na zegarze kuchenki, ale nie mam pojęcia, co się stało z ostatnimi dwunastoma godzinami.

Albo jak znalazłem się w kuchni.

I w czym siedzę.

Część mnie nie chce tego wiedzieć. Część mnie chce wierzyć, że to tylko sfermentowane winogrona. Że jakimś cudem wydostałem się z piwniczki, dotarłem do kuchni i padłem nieprzytomny, rozlewając zawartość butelki z winem na podłogę. Tyle że moje ubranie nie jest mokre z przodu, ale na plecach. Gdy się obudziłem, butelka leżała na moich piersiach, więc nie mogłem wylać wina na podłogę, nie mocząc koszuli z przodu.

Wkładam rękę do kałuży, skrzepniętej i lepkiej, przysuwam palce do nosa. Pachnie słodko. Jakby jogurt albo dżem truskawkowy. Wkładam palec do ust...

To truskawkowo-śmietankowe lody Baskin-Robbins. Ulubione lody ojca. Zawsze trzyma przynajmniej dwa litry w zamrażarce. Nie wiem tylko, co robią na podłodze w kuchni. Wreszcie odwracam się, wstaję chwiejnie i już rozumiem.

Trzy litrowe opakowania lodów są rozbite, a ich stopiona zawartość rozmazana po całej podłodze. Obok lodów leżą pudełka z mrożonymi warzywami, paczki z mięsem, pojemniki z koncentratem soku i pół tuzina tacek na lód. To wszystko też odtajało i zmieszało

się z lodami, tworząc jedną wielką kałużę.

O kurde, myślę. Co ja, cholera, zrobiłem?

Nie żeby to miało znaczenie. Rodzice wyślą mnie do zoo, jak tylko wrócą z Palm Springs. Chyba że obudzą się dzisiaj rano i ojciec tak się wkurzy tym wybrykiem, że odwoła wyjazd i ze złości od razu odwiezie mnie do ośrodka badawczego.

Nie wiem, co chciałem osiągnąć, wyrzucając całą zawartość zamrażarki na podłogę, ale zakładam, że najlepiej byłoby włożyć z powrotem, co się da, a resztę posprzątać, zanim starzy się obudzą. Ale gdy otwieram zamrażarkę, odkrywam, że nie ma w niej miejsca.

W zamrażarce są moi rodzice. Widzę ręce, łydki, stopy i twarz mojego ojca, która gapi się na mnie z drugiej półki. Jego głowa jest zapakowana w wielką plastikową, hermetyczną torebkę, podobnie jak reszta poćwiartowanego ciała. A przynajmniej większość. Gdy otwieram lodówkę, tam też są rodzice.

Całe wino, które wypilem, nagle próbuje wydostać się na zewnątrz, z powrotem do butelki. Ledwie udaje mi się dobiec z pawiem do zlewu. Właściwie to zupełnie jak picie, tylko w drugą stronę. Samo wino i odrobina kwasu żołądkowego. Zero kawałków mamy i taty.

Nasze relacje nie zawsze tak wyglądały.

Oczywiście, był standardowy młodzieńczy bunt i zwykłe dla większości rodzin nieporozumienia na linii rodzice - syn.

Hormony.

Niezależność.

Utajony kompleks Edypa.

Ale kiedy jedyny syn powstaje z martwych, sytuacja zmienia się diametralnie i przeciętni rodzice absolutnie nie są na coś takiego przygotowani.

Przecież nie istnieje żaden podręcznik, jak radzić sobie ze spontaniczną rezurekcją. Bo właśnie tak różni telewizyjni eksperci fachowo określają zombie - jakby wiedzieli, jak to jest być ożywionym trupem. Nie mają pojęcia, jaki wpływ na psychikę ma trzustka ulegająca samostrawieniu. Albo jak trudno jest powstrzymać tkanki przed przejściem w stan płynny.

Mój ojciec był ekspertem de facto. I przez de facto rozumiem, że był jedynym człowiekiem, który uznawał siebie za eksperta od wszystkiego.

Hydrauliki.

Polityki.

Higieny osobistej.

„Wiesz, Andrew, możesz pozbyć się tych wągrów, używając octu i oliwy z oliwek”.

I naprawdę w to wierzył. Na szczęście pozwolił mamie zająć się gotowaniem. Bo inaczej byłbym jedynym dzieciakiem w szkole jadającym sałatkę z rukoli, pokrojonych gruszek i sera Asiago, przyprawioną nadtlentkiem benzoilu.

Nie zrozumcie mnie źle. Mój ojciec nie był idiotą. Po prostu uważał, że zawsze ma rację, nawet wtedy, kiedy nie miał pojęcia, o czym mówi. Byłby świetnym politykiem.

Ale za wybór lodówki ojciec ma u mnie wielki plus. Mama chciała jedną z tych dwudrzwiowych lodówko-zamrażarek Whirlpoola, ale ojciec uparł się na Amana z zamrażarką na dole. Twierdził, że zasysanie zimnego powietrza w dół, zamiast w górę, jest bardziej energooszczędne. I że zamrażarka na dole pozwala na lepsze wykorzystanie przestrzeni na półkach.

Głowy i większość kończyn moich rodziców są wciśnięte do zamrażarki. Jeden i drugi tułów - od bioder po ramiona - zapakowane do lodówki. Gdyby to był dwudrzwiowy model, nigdy nie udałoby mi się zmieścić ich torsów na półkach. Dzięki, tato.

Z odtwarzacza CD w salonie leci *Auld Lang Syne* Deana Martina.

Gapię się na rodziców, wciśniętych do lodówko-zamrażarki Amana między majonez i resztki indyka ze Święta Dziękczynienia, z głowami w plastikowych torbach i ogarnia mnie surrealistyczne poczucie niedowierzania. Sądząc z wyrazu twarzy ojca, jest tak samo zaskoczony jak ja.

Może nic takiego by się nie wydarzyło, gdyby ojciec - zamiast traktować mnie jak pariasa - choć przez chwilę spróbował zrozumieć, przez co przechodzę.

Chyba że tylko się oszukuję.

Bo może wszystko, co wydarzyło się między wypadkiem a tą chwilą, było nieuniknione.

2

Dwa miesiące przed tym, kiedy znalazłem rodziców w zamrażarce Amana, siedziałem sobie w domu kultury we wsi Soquel. Moje krzeselko stało razem z innymi w półokręgu zwróconym w stronę drobnej, pięćdziesięciodwuletniej kobiety, która wygląda jak moja nauczycielka z trzeciej klasy. Tyle że ona nie znalazła się nigdy na niewłaściwym końcu samopowtarzalnej strzelby kaliber 12 marki Mossberg.

Na tablicy za jej plecami widnieje zdanie wypisane drukowanymi literami:

„Nie jesteś sam”.

Małe i duże litery pewnie złagodziłyby przekaz, ale ta drobna kobieta, moderator grupy, a prywatnie Helen, ofiara strzelaniny, po prostu stara się, żebyśmy lepiej się poczuli.

- Rita, chciałabyś dziś zacząć? - pyta Helen.

Twarz Rity przypomina bladą księżyc unoszący się w czarnym kapturze jej bluzy. Oprócz tego Rita ma na sobie czarny golf i czarne spodnie. Jediną barwną plamę stanowią jej usta pomalowane szminką w odcieniu eternal red.

Rita w dniu swoich dwudziestych trzecich urodzin podcięła sobie żyły na nadgarstkach, a potem gardło. To było niecały miesiąc temu. Żeby ukryć szwy, nosi rękawiczki i golfy. Czasem bluzy z kapturem i apaszki. Kiedy ma złe dni, nosi wszystko naraz. Dziś zostawiła apaszkę w domu, więc wiadomo, że nie czuje się najgorzej.

Rita oblizuje usta, a właściwie je ssie, zjadając większość szminki. Wyjmuje z kieszeni czarny sztyft i nakłada kolejną warstwę, cmokając wargami. Albo ma taki tik nerwowy, albo potrzebuje działki.

- Nadal czuję się samotna - mówi. - Czasami niemal potrafię sobie wyobrazić, że nic się nie wydarzyło. Ale potem patrzę w lustro i znów zalewa mnie fala beznadziei.

Pięć innych głów kiwa ze zrozumieniem. Tylko Carl myśli inaczej.

- Nie zgadzasz się z tym, Carl? - pyta Helen.

Carl został dźgnięty nożem siedem razy, w tym dwa razy w twarz, przez dwóch nastolatków, którzy ukradli mu portfel i użyli jego kart kredytowych, przepuszczając siedemset dolarów na pornografię online.

- Nie - odpowiada Carl. - Zgadzam się z nią całkowicie. Naprawdę jest beznadziejna.

- Urocze - mówi Naomi, zapalając papierosa. Naomi, w połowie Afroamerykanka, w połowie Japonka, mogłaby ciągle uchodzić za modelkę, gdyby nie jej pusty oczodół i sposób, w jaki zwisa jej prawa strona twarzy. - Może przy okazji porozrywaj jej szwy?

- Zostawię to twojemu mężowi - odcina się Carl.

Mąż Naomi wrócił do domu po nieudanej partii golfa i wyładował na niej swoją frustrację za pomocą kija, żelaznej czwórki Titleista.

- On już nie jest moim mężem - protestuje Naomi.

- Z technicznego punktu widzenia nie jest - odpowiada Carl. - Ale z technicznego punktu widzenia żadnego z nas nie powinno tu w ogóle być.

- A jednak tu jesteśmy - mówi Helen. - Więc może skupmy się na tym.

Poza Helen, Ritą, Naomi i Carlem w skład grupy wchodzi trzydziestoośmioletni trener

psów, Tom, któremu parka psów kanaryjskich prawie urwała prawą rękę i wygryzła lewą połowę twarzy, oraz Jerry - dwudziestojednoletnia ofiara wypadku samochodowego. Tak jak ja.

Ze względu na podobne przeżycia Jerry czuje się ze mną związany, więc na każdym spotkaniu siada obok mnie. Ja z kolei jestem tylko zagubiony, a Jerry, który słucha rapu i nosi spodnie spuszczone do połowy tyłka, mnie drażni, więc dziś zadbałem o to, żeby usiąść na drugim końcu półokręgu, koło Naomi.

- Jesteśmy ocalałymi - mówi Helen, po czym wstaje i podchodzi do tablicy. - Chcę, żebyście wszyscy o tym pamiętali. Wiem, że trudno znieść groźby, wyzwiska i obrzucanie zepsutym jedzeniem, ale ocaleliście nie bez powodu.

Czasami Helen przypomina mi Mary Poppins. Zawsze jest pogodna i gotowa do udzielania porad odpowiednich dla postaci żyjących w filmach, bajkach lub w posiadłości Hugh Hefnera, tego od „Playboya”. Choć muszę przyznać, że gdyby nie grupa wsparcia, pewnie nigdy nie wyszedłbym z piwniczki rodziców. Mimo to uważam, że należałoby wymyślić inną nazwę niż Anonimowi Nieumarli. Ostatecznie, gdy jesteś nieumarłym, jesteś równie anonimowy jak transwestyta z popołudniowym zarostem.

Ale przynajmniej na nasze spotkania nie przychodzą oszuści próbujący podrywać bezbronne kobiety. To byłoby chore. Interesujące, ale chore.

Helen kończy pisać na tablicy kolejne przesłanie i odwraca się w naszą stronę. Pod „Nie jesteś sam”, widnieją słowa:

„Jestem ocalałym”.

- Gdybyście kiedykolwiek czuli się zagubieni lub pozbawieni nadziei, chcę, żebyście powtarzali sobie głośno: „Jestem ocalałym”. Powtarzajcie to ze mną.

Gdy spotkanie dobiega końca, na dworze jest już ciemno. To połowa października, ale jesień już się rozpanoszyła na świecie i przed dobranocką jest ciemno choć oko wykol.

Nigdy nie lubiłem jesieni. Nawet przed wypadkiem nienawidziłem pory, kiedy robiło się zimno i zaczynały żółknąć liście. Teraz to wszystko wydaje się odzwierciedlać fakt, że moje życie też robi się coraz chłodniejsze. Ostatnio zaczynam myśleć, że istnieje tylko bezkresna jesień, z majaczącą na horyzoncie wieczną zimą.

Znowu dopada mnie melancholia.

Helen namawia nas, żebyśmy sobie pomagali, kiedy wychodzimy ze spotkań. Tak po koleżeńsku. Ale Carl twierdzi, że nie chce, żeby ktokolwiek go prowadził za rączkę, i wraca do domu sam. Jerry, Helen, Rita i ja idziemy w tym samym kierunku, a Naomi i Tom w drugim. Jerry najczęściej wlecze się za mną i bez ustanku gada o swoim wypadku i o tym, jak

mu się chce pobzykać, i o tym, jakby to było, gdyby był całkiem nieżywy. Ja też się nad tym zastanawiam. Najczęściej wtedy, kiedy muszę wracać z Jerry'm.

- Ziom, to auto było fantastyczne - zachwyca się. - Wiśniowe, pod maską istna bestia, i z zabójczym systemem nagłaśniającym. Żałuj, że nie widziałeś.

Znam tę historię na pamięć. Pół butelki jacka daniel'sa, sześć machów gandzi, niezapięte pasy bezpieczeństwa, słup wysokiego napięcia i zła ocena skrętu w prawo wystrzeliły Jerry'ego przez przednią szybę jego wiśniowego dodge'a chargera z 1974 roku tak skutecznie, że przejechał, już bez auta, po River Street, zdzierając sobie kawał skóry na głowie. Słyszałem tę opowieść tyle razy, że prawie wierzę, że mnie się to przytrafiło. Tyle że mój wypadek był gorszy. Jerry był w samochodzie sam.

Moja żona spała na miejscu pasażera i, w odróżnieniu ode mnie, już nigdy się nie obudziła.

Przez pierwsze dwa miesiące po wypadku myślałem tylko o Rachel, o zapachu jej włosów, smaku ust, ciepłe ciała, gdy leżała obok mnie w nocy. Pławiłem się w swoim cierpieniu, pożerany rozpaczą i żalem nad sobą. A na pociechę miałem tylko smród własnej gnijącej skóry na głowie, smak formaldehydu w gardle i całe moje zimne, rozkładające się zwłoki. To wystarczyło, żebym marzył o prysznicu z benzyny i jednej zapalce.

Jeśli nigdy nie obudziłeś się po wypadku samochodowym, wiedząc, że twoja żona nie żyje, a ty jesteś ożywionym, gnijącym trupem, to pewnie nie zrozumiesz.

Helen mówi, że choć wszyscy straciliśmy więcej, niż było nam pisane, musimy zachować wiarę w to, co otwiera się przed nami. Mówi, że musimy rozstać się z przeszłością, zanim przyjmiemy przyszłość. Ciągle nad tym pracuję. Na razie przeszłość jest wszystkim, co mam, a przyszłość jest równie obiecująca, jak jesienna ramówka CBS.

Kiedyś żałowałem, że Rachel nie zmartwychwstała razem ze mną, bo wtedy nie musiałbym przechodzić przez to sam, ale w końcu zdałem sobie sprawę, że w grobie jest jej lepiej. Podziękowałbym Bogu za tę drobną łaskę, ale wątpiłem w Jego istnienie, jeszcze zanim to się stało, i raczej nie zmieniłem zdania. Utrata żony w wypadku samochodowym już sama w sobie wystarczy, żeby poddać próbie wiarę nawet najbardziej oddanego chrześcijanina. A jeśli tego jeszcze mało, to możliwość wachania własnego gnijącego ciała zwykle skutecznie kładzie kres wierze w boską moc.

To największy problem ze zmartwychwstaniem. Smród nigdy nie znika do końca.

Wstałem z martwych w ciągu czterdziestu ośmiu godzin po mojej śmierci - zanim zacząłem się rozkładać, ale już po balsamowaniu. U nieumarłych proces rozkładu wyhamowuje i postępuje dwa razy wolniej niż naturalny wzrost włosów. Jednak dla tych z

nas, którzy mieli szczęście zostać zabalsamowani, formaldehyd jest magicznym eliksirem, który spowalnia rozkład do prawie niezauważalnego tempa, umożliwiając nam zachowanie minimum godności. Piętno bycia zombie jest już wystarczająco fatalne, ale jeśli zmartwychwstałeś przed zabalsamowaniem, dodatkowo wpędza cię w dołek to, że wyłażą ci włosy, paznokcie i zęby. A kiedy jama brzuszna wybucha nagle od gazów gnilnych, na ulicy, przy ludziach, to jest już naprawdę żenujące.

Jeśli wypijasz wystarczające ilości formaldehydu, możesz się bronić przed rozkładem ciała i wewnętrznych organów. Nawet jeśli nie jesteś w stanie zdobyć towaru w przemysłowym stężeniu, to formaldehyd jest w szmince, cieniach do powiek, lakierze do paznokci, paście do zębów, płynie do płukania ust, dezodorancie, antyperspirancie, płynie od kąpieli, oliwce do ciała, szamponie i napojach bezalkoholowych.

Rita większość formaldehydu gromadzi ze szminki i lakieru do paznokci; Jerry woli puszki z gazowanymi napojami. Ja staram się unikać napojów gazowanych. Psują się od nich zęby. Moje suplementy diety to głównie szampon i pasta do zębów. Czasami lubię przetrącić porcję odżywki VO5 Alberto.

- ...więc następne co pamiętam, to jak surfuję twarzą po asfalcie - mówi Jerry. - Totalnie. Jazda jak w Road Rash.

Jerry gędzi o swoim wypadku przez całą drogę do domu, a Rita i Helen idą przed nami w błogiej ciszy. To jedna z tych chwil, kiedy żałuję, że nie straciłem obojga uszu.

- Ziom - mówi Jerry. - Chcesz dotknąć mojego mózgu?

Ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, to dotknąć mózgu Jerry'ego, ale trudno napisać: „Nie, dzięki”, jedną ręką na białej tablicy wiszącej na twojej szyi, kiedy wleczesz się na złamanej kostce. Kręcę więc tylko głową, mając nadzieję, że Jerry nie zacznie mówić o swojej permanentnej erekcji.

Cała nasza czwórka wędruje przez opustoszałe parkingi, mija zamknięte na noc sklepy i odległe domy. Z okien budynków, przez zasłony, przesącza się ciepłe światło. Przed niektórymi ustawiono już dekoracje - szkielety, duchy i czarownice na miotłach. Dynie, na razie bez wyciętych oczu i ust, spoczywają na schodach i gankach. Zimny podmuch jesieni szepcze w gałęziach drzew.

Nadchodzi Halloween, co teraz wydaje się bardziej na miejscu niż w poprzednich latach. Ostatecznie nie potrzebuję już kostiumu.

3

Autostrada numer 17 jest jak czteropasmowy, asfaltowy roller-coaster łączący Dolinę Krzemową z Oceanem Spokojnym i przecinający góry Santa Cruz. Nitki jezdni są rozdzielone betonową barierą, z przerwami, które pozwalają samochodom skrócić w lewo, w boczne drogi. Zdarza się czasami, choć rzadko, że samochód skręca w jedną z takich przerw prosto pod nadjeżdżające auta, powodując czołowe. Ale już zupełnie niemożliwe wydaje się, że w rozgwieżdżoną lipcową noc, już nad ranem, kierowca zasypia, wracając z proszonej kolacji do domu. Jego volkswagen passat, rocznik 2001, zjeżdża przez przerwę w barierze na przeciwny pas ruchu, uderza w skarpe na przeciwległym poboczu pod kątem prostym, zostaje wyrzucony sześć metrów w powietrze i uderza w pień trzystuletniej sekwoi z prędkością prawie stu kilometrów na godzinę.

Nawet w Hollywood nie umieliby odtworzyć mojego wypadku tak, żeby nie wyglądał na sfingowany. Oczywiście w filmie główny bohater jakimś cudem wyszedłby z tego bez szwanku.

Może nie Mel Gibson ani Bruce Willis, ale Brad Pitt - zdecydowanie.

Nie pamiętam wypadku. Nie widziałem jasnego światła ani nie słyszałem eterycznych głosów. Ale też z drugiej strony, raczej nie poszedłem do nieba. Pamiętam tylko ciemność, nieskończoną i zaciskającą się wokół mnie jak elastyczna błona.

Następne, co pamiętam, to to, jak kuśtykam poboczem Old San Jose Road, ciągnąc za sobą lewą stopę i zastanawiając się, jaki mamy dziś dzień, skąd idę i dlaczego nie mogę poruszać lewą ręką. Nagle obok mnie przejeżdża pikap i na mojej twarzy ląduje zgniły pomidor. Na pace samochodu jedzie dwóch nastolatków. Jeden z nich ma opuszczone spodnie i wystawia w moim kierunku goły tyłek, a drugi rzuca we mnie kolejnym pomidorem i wrzeszczy:

- Wracaj do grobu, ty cholerne straszycie!

Na początku myślę, że to tylko dzieciaki. Że rzucają zgniłymi pomidorami w ludzi dla zabawy. Wyparcie to pierwsza przeszkoda, którą muszą pokonać zombie. Ale potem podchodzę pod spożywczy U Billa i w witrynie sklepowej zauważam swoje odbicie.

Moja lewa kostka jest wykręcona pod ohydny kąt. Lewe ramię jest bezużyteczne - kości zgruchotane od ramienia do łokcia, a na końcu powykęcana łapa, która kiedyś była moją lewą dłonią. Lewe ucho jest zmiażdżone, a twarz wygląda jak źle dopasowane puzzle.

Gapię się na moje niewyraźne odbicie - jestem ubrany w czarny garnitur i krawat i wyglądam, jakbym zszedł z planu filmu George'a Romera. Nagle ze sklepu wychodzi sześciolatka dziewczynka, na mój widok upuszcza lody i ucieka z krzykiem.

Nie jest to raczej jedna z najlepszych chwil mojego życia.

Tylko że to już nie jest życie. Ani śmierć. Ani nawet coś pomiędzy. To raczej jak poboczny wątek popularnego sitcomu, z którego zrobiono osobny serial.

Przyglądam się ranom i dochodzę do wniosku, że uczestniczyłem w jakimś wypadku, straciłem przytomność, a potem poszedłem sobie, nie pamiętając, co się stało. Co nie jest nawet takie dalekie od prawdy. Tyle że straciłem przytomność na trzy dni. I nie oddaliłem się z miejsca wypadku, tylko z mojej trumny, niecałe dwadzieścia cztery godziny przed pogrzebem.

Ale na razie jeszcze tego nie wiem. Myślę tylko o tym, że potrzebuję pomocy, więc wchodzę do spożywczego U Billa, żeby spytać, czy mogę skorzystać z telefonu. Ale zanim udaje mi się zrobić choć krok za próg, żona Billa napada na mnie z miotłą i lizolem w spreju. Przegania mnie.

Odchodzę, zdezorientowany, ze zgniłymi kawałkami pomidora na twarzy. Kuśtykam do wsi, żeby szukać pomocy. Jakies pół kilometra dalej jest park. Obok toalet stoją dwie budki telefoniczne, więc wlokę się w tę stronę chodnikiem, ciągnąc za sobą lewą stopę i ignorując wrzeszczące dzieci, które rozstępują się przede mną jak Morze Czerwone przed Mojżeszem. Chociaż porównanie z Łazarzem byłoby chyba lepszym nawiązaniem do Biblii.

Ciągle jeszcze nie zastanawia mnie to, że obrażenia nie sprawiają mi żadnych dolegliwości. Docieram do telefonu, biorę słuchawkę, umieszczam ją między prawym uchem a ramieniem, i palcem wskazującym prawej dłoni wystukuję 911. Chwilę później zgłasza się dyspozytor i pyta, co się stało.

Nie wiem, co powiedzieć ani jak mam to zrobić, więc postanawiam otworzyć usta i rzucić pierwsze słowa, jakie przyjdą mi do głowy. Mam jednak mały problem.

Moje usta są zaszyte.

Często przed balsamowaniem zaszywa się usta, żeby się nie otwierały. Zagięta igła wchodzi przez nozdrza i wychodzi za zębami. Nitkę przeciąga się tyle razy, aż szczęki są unieruchomione w pozycji zamkniętej. Ale ponieważ wydaje mi się, że ciągle jestem wśród żywych, nie rozumiem, dlaczego nie mogę otworzyć ust. Wymachuję więc prawą ręką, chrząkam i stękam ile się da i kuśtykam do starszego mężczyzny i jego żony, którzy uciekają jak olimpijscy sprinterzy.

Słyszę syreny i widzę samochód szeryfa okręgu Santa Cruz podjeżdżający na parking.

W końcu ktoś mi pomoże. Ale kiedy po chwili zjawia się biała furgonetka Policji dla Zwierząt, przychodzi mi do głowy, że może mi raczej coś zagrażać. Nie z ich strony, ale ze strony pum, które często widuje się w okręgu Santa Cruz. Rozglądam się więc z szeroko otwartymi oczami, ciekaw, kiedy skończy się koszmar, w którym się obudziłem.

Zdezorientowany, wystraszony i przytłoczony sytuacją, nie słyszę zbliżających się z tyłu kroków. W następnej chwili na rękach i klatce piersiowej mam już jeden wnyk, drugi krępuje mi nogi, a trzeci ściska za gardło. Policjanci od zwierząt prowadzą mnie na tył furgonetki, a zastępcy szeryfa zapewniają coraz większą grupkę gapiów, że wszystko jest pod kontrolą.

Spędziłem dwa dni w klatce schroniska Towarzystwa Przeciwdziałania Okrucieństwu wobec Zwierząt, zanim wreszcie przyjechali po mnie rodzice. Przyznanie się do nieumarłego syna i przyprowadzenie go do domu, żeby z wami zamieszkał, może znacznie obniżyć wasz status społeczny, więc nie mam im za złe, że im się nie spieszyło. Ale jeden dzień dłużej i mogłem zostać manekinem do testów zderzeniowych.

Zbłąkanych, niezidentyfikowanych zombie zwykle przetrzymuje się przez siedemdziesiąt dwie godziny. Tych z dowodem tożsamości - przez siedem dni. W przypadku zbłąkanych kotów i psów trwa to dłużej. Ale bez regularnych dawek formaldehydu większość świeżych zombie zaczyna się rozkładać w ciągu trzech dni.

Nieodebrani zombie, po wymaganym okresie karencji, stają się własnością lokalnych władz. Pozyskuje się z nich narządy lub sprzedaje firmom, które przeprowadzają doświadczenia medyczne. Pracownicy TPO starają się ocalić chociaż część z nas, szukając chętnych do adopcji i popularyzując program „Zombie - towarzysz dla seniora”. Ale te pomysły jeszcze się nie przyjęły. A ponieważ większa część funduszy TPO pochodzi z prywatnych darowizn przekazywanych, żeby poprawić los zwierząt, liczba miejsc dla zombie w schroniskach jest ograniczona.

Kiedy już się otrząsnąłem z pierwszego szoku, mój pobyt w schronisku nie był taki zły, jak moglibyście sądzić. Dali mi miskę ze świeżą wodą i trochę suchej karmy, a także osobistą kuwetę i parę piszczących zabawek do gryzienia. Dali mi nawet tępe dziecinne nożyczki, żebym mógł przeciąć szwy założone przez balsamistę i otworzyć usta.

Gdy dotarliśmy do domu, rodzice zainstalowali mnie na materacu w piwniczce z winami. Nie mówili zbyt wiele. Mama dużo płakała i zakrywała nos i usta ręcznikiem, żeby się nie dławić smrodem, a ojciec ciągle pytał, dlaczego nie mogłem pozostać martwy jak normalny syn.

Matka odezwała się tylko raz, żeby zapytać, czego mi potrzeba. Próbowałem

odpowiedzieć, ale z ust wydobywały się tylko chrypienie i pisk. Moje struny głosowe tak bardzo ucierpiały w wypadku, że nie mogę mówić, i żeby móc się komunikować, muszę nosić na szyi białą, plastikową tablicę.

Matka przynajmniej udaje, że rozumie, jakie to wszystko jest dla mnie trudne. Ale ojciec narzeka na smród, wytykanie palcami i wydatki na utrzymanie zombie. Kiedyś nawet spytał, co zamierzam ze sobą zrobić.

Jakbym miał na to jakąś odpowiedź. To nie tak, że powstałem z martwych z planem na najbliższe pięć lat. I nikt nie przygotował mnie do tego, jak być zombie. Proces adaptacji jest piekielnie trudny - trudniejszy, niż możecie sobie wyobrazić. Przecież zasadniczo wciąż mam te same nadzieje i pragnienia, jakie miałem za życia, ale teraz to wszystko jest nieosiągalne. Równie dobrze mógłbym pragnąć skrzydeł.

Niejeden raz słyszałem, jak rodzice o mnie dyskutują. Ojciec sugerował, żebym znalazł własne miejsce do mieszkania. Jakieś schronisko dla zombie. Słyszałem nawet, jak wspominał o wysłaniu mnie do zoo dla zombie. Matka próbuje mu tłumaczyć, że potrzebuję wsparcia i że tylko przechodzę okres adaptacji.

- To jak okres dojrzewania płciowego - mówi.

Zapewnia mnie, że ojciec się przyzwyczai, i jeśli będę w sobie wystarczająco wierzył, to wszystko się jakoś ułoży.

Mówi to z całą powagą.

Przez chwilę jej wierzę. Potem idę wziąć kąpiel w domestosie, spoglądam w lustro i widzę puzzle, które kiedyś były moją twarzą, i zastanawiam się, czy moja matka zwariowała.

Chyba że znowu łyka valium.

4

- Andy?

Jest ósma trzydzieści rano, piję butelkę Cabernet Sauvignon Chateau Montelena z 1998 roku i oglądam *SpongeBoba Kanciastoportego* na Nickelodeonie. Od czasu do czasu przełączam na dwa dostępne w kablówce kanały publiczne, żeby zerknąć na *Ulicę Sezamkową* i *Barneya i przyjaciół*. Wolałbym oglądać *Cudowne lata*, ale nie mamy TV Land.

- Andy?

Czuję się, jakbym znowu miał sześć lat, siedział przeziębiony w domu i oglądał telewizję w łóżku, gdy mama robi owsiankę z pokrojonymi bananami i cynamonowymi tostami. Tyle że na ścianach zamiast plakatów z bohaterami komiksów mam butelki wina.

I mama nie robi mi śniadania.

A moje serce już nie pompuje krwi w żyły.

- Andy?

Mieszkam w piwniczce rodziców już prawie trzy miesiące, a mama nadal mnie woła, spodziewając się odpowiedzi.

Z westchnieniem wyłączam telewizor i wstaję z materaca. Ciągnąc moją lewą stopę, wlokę się do schodów. U ich szczytu stoi matka, podświetlona przez słoneczny blask wlewający się przez okno w kuchni.

- Kochanie, ojciec potrzebuje pomocy przy instalacji nowego młynka w zlewie - mówi. - Możesz przyjść na parę minut i mu pomóc?

- Lois, nie potrzebuję żadnej pomocy - zrzędzi ojciec gdzieś zza niej. - Daj spokój.

- Och, nie wygłupiaj się - upiera się matka. - Andy z chęcią ci pomoże. Prawda, kochanie?

Gapię się z dołu na matkę i mrugam, zastanawiając się, czy zwariowała, kiedy zginąłem w wypadku, czy dopiero, kiedy trzy dni później pojawiłem się w schronisku, potrzebując dachu nad głową i tablicy do pisania.

Ojciec za jej plecami powtarza, że nie potrzebuje mojej pomocy, i dodaje, że wolałby nie wdychać odoru mojego gnijącego ciała.

- To tylko parę minut - szepcze matka do ojca, z głową odwróconą ode mnie. - Będzie się czuł potrzebny.

Mówi to tak, jakbym jej nie słyszał.

- No już, przestań się guzdrać - ponagla, zwracając się znowu w moją stronę. - Chodź na górę i pomóż ojcu.

Mógłbym ją zignorować, zostać u siebie i oglądać telewizję, ale będzie mnie wołać, powtarzać moje imię w kółko i w kółko jak piskliwą mantrę, która wznosi się o oktawę na ostatniej sylabie. Nawet jeśli nastawię telewizor na cały regulator, nie zagłuszy jej to. Już to przerabiałem. Jest nieustępliwa.

Pokonanie piętnastu schodów z piwniczki do kuchni zajmuje mi prawie dwie minuty. Przez cały czas słyszę, jak ojciec zrzędzi, że inni ludzie mają normalne rodziny.

Nie każdy ożywiony trup wprowadza się do swoich rodziców albo ma przyjaciela lub krewnego, który chce go przyjąć. Prawie połowa kończy w schroniskach albo na ulicy, a ci,

którzy mają pecha, są dawcami organów do przeszczepów, sprzedaje się ich do ośrodków badawczych albo służą jako manekiny do testów zderzeniowych. I rzadko kiedy współmałżonkowie godzą się na powrót nieumarłych do domu, szczególnie jeśli mają dzieci. Nie wiem, jak w innych stanach, ale kalifornijskie urzędy do spraw nieletnich krzywo patrzą na rodziców, którzy pozwalają, żeby mieszkał z nimi zombie. A jeśli chodzi o prawo do odwiedzin, zombie nie mają żadnego.

Po wypadku moja siedmioletnia córka Annie zamieszkała z siostrą mojej żony w Monterey. Annie wie tylko tyle, że umarłem. Ale podczas pierwszych tygodni po zmartwychwstaniu codziennie dzwoniłem do mojej szwagierki, licząc, że odbierze Annie, i chociaż usłyszę jej głos. W końcu rodzina mojej żony zmieniła numer na zastrzeżony.

Napisałem do Annie kilka listów, ale nigdy nie opuściły domu. Mama i tata skonfiskowali pierwszy, kiedy poprosiłem o znaczek. Drugi list zniknął spod mojego materaca, kiedy moczyłem się w domestosie. Pozostałe zostały przechwycone na różnych etapach drogi do Annie, zanim doczekały się pieczętki i znaczka.

Po dwóch miesiącach się poddałem. Uznałem ostatecznie, że rodzice prawdopodobnie działają dla dobra mojej córki. Choć bardzo tęsknię za Annie i chciałbym ją zobaczyć, przyznaję, że to kiepski pomysł. Raczej nie jest gotowa na wiadomość, że jej ojciec jest zombie, i może nie będzie potrafiła tego zaakceptować. Poza tym nie chcę, żeby mnie takiego pamiętała. I raczej nie sędzę, żeby chciała mnie zabrać na szkolny piknik ojców z córkami.

Co najwyżej na pokaz dziwolągów.

Kiedy docieram na szczyt schodów i wchodzę do kuchni, matka spryskuje mnie odświeżaczem powietrza, krążąc w kółko i pokrywając zapachem od stóp do głów. Resztkę spreju wysikuje na moje włosy. Rodzice kupują odświeżacze hurtowo. Mama preferuje zapach neutralizujący, bo działa bezpośrednio na źródło smrodu. Ja wolę zapach Liliowa Wiosna, choć Tropikalna Mgiełka też ma miłą, owocową woń.

Tata leży na plecach pod kuchennym zlewem, z głową i górną częścią tułowia w szafce. Obok niego na podłodze walają się klucze francuskie, śrubokręty, puszka WD-40 i przeróżne inne narzędzia. Nowiuteńki młynek do zlewu leży na szafce.

- Harry - mówi matka. - Andy przyszedł ci pomóc.

- Do cholery, nie potrzebuję żadnej pomocy - ciska się ojciec, naprężając się, żeby poluzować śrubę na starym młynku.

- Och, nonsens - upiera się matka. - Leżysz pod tym zlewem już ponad godzinę. Oczywiście, że potrzebujesz pomocy.

Naturalnie, ojciec mógłby zapłacić hydraulikowi, który założyłby młynek w mniej niż

godzinę. Ale woli spędzić trzy godziny, wściekając się i przeklinając wszystko dokoła, niż wydać sto dwadzieścia dolarów. W końcu jest ekspertem de facto.

- Lois - mówi ojciec, znowu siłując się ze śrubą. - Powiem to po raz ostatni. Nie... potrzebuję... żadnej... pomocy.

Klucz ześlizguje się i dłoń ojca uderza o coś metalowego i twardego.

Ojciec wyczołguje się spod zlewu, trzymając się za prawą dłoń i wyrzucając z siebie taki strumień bluźnierstw, że pewnie bym się zarumienił, gdybym miał w policzkach jakąś krew. Wypada z kuchni, nie patrząc na mnie, wstrzymując oddech i omijając mnie szerokim łukiem.

- Nie zwracaj uwagi na ojca - uspokaja mnie matka, podchodząc do piekarnika, na którym odezwał się brzęczyk timera. - Ma te swoje humory.

Ojciec ma „te swoje humory”, od kiedy wróciłem do domu.

Matka wyjmuje z piekarnika blachę pełną bułeczek cynamonowych i kładzie ją na blacie, po czym łapie nóż i zaczyna smarować bułeczki gotowym lukrem.

Jest wiele rzeczy, których mi brakuje z czasów, kiedy byłem żywy.

Chodzenia z Rachel do kina.

Patrzenia, jak Annie gra w piłkę.

Siedzenia przy ognisku na plaży bez lęku, że ktoś mnie do niego wrzuci.

I czasami brakuje mi jedzenia.

Nie chodzi o to, że nie jem. Jem cały czas. Ale jedną z głównych wad bycia zombie - poza rozkładającym się ciałem, brakiem praw obywatelskich i dziećmi, które krzyczą na twój widok - jest to, że jedzenie prawie nie ma smaku. Wszystko jest nieprzyprawione, niedosłodzone i rozwodnione. Nie mogę nawet docenić wina, które wypijam. I nie upijam się. Do tego potrzeba działającego układu krążenia. Więc najczęściej jem z przyzwyczajenia albo z nudów, właściwie bez większej przyjemności, nie do końca pamiętając, jak coś powinno smakować.

Patrzę, jak mama lukruje cynamonowe bułeczki, ogarnia mnie nostalgia. Jakby ostatnie trzydzieści lat zniknęło bez śladu. Siedzę przy kuchennym stole, moje nogi w skarpetkach dyndają nad podłogą, przede mną stoi kubek z gorącą czekoladą, a ja czekam, aż mama skończy lukrować cynamonowe bułeczki.

Chcę powiedzieć mamie, że ją kocham, ale nie mogę. Chcę ją przytulić, ale tego nie robię, bo boję się, że zaczęłaby krzyczeć. Albo sięgnęłaby po kolejną puszkę odświeżacza.

Czasem mam wyrzuty sumienia, że naraziłem rodziców na coś takiego, ale przecież nie zrobiłem tego celowo. Mimo wszystko doceniam to, co dla mnie robią. I jak wiele

poświęcają. Mogli mnie zostawić w schronisku. To chyba najlepszy dowód na to, że nigdy nie przestaje się być rodzicem. Nawet jeśli syn powstaje z martwych.

- Proszę, kochanie. - Matka wręcza mi talerz z gorącą, parującą, świeżo polukrowaną bułeczką cynamonową. Uśmiecham się i idę usiąść przy kuchennym stole.

- Oj, Andy, mógłbyś z tym iść na dół? - pyta. - Spodziewamy się gości.

5

Dwa razy w miesiącu chodzę do terapeuty.

Na imię ma Ted. Pracował kiedyś z Helen, więc sesje ze mną traktuje jak osobistą przysługę dla niej. Jeśli branie podwójnej stawki godzinowej można uznać za przysługę.

Spotykam się z Tedem od sześciu tygodni. Niektórzy z członków grupy byli u Teda raz czy dwa, ale tylko ja przychodzę regularnie. Naomi poszła raz i stwierdziła, że nie wyniosła z tej sesji niczego, czego nie mogłaby zobaczyć u Oprah. Tom był umówiony na trzy spotkania, ale odwołał ostatnie dwa, bo kolidowały z meczami Ligi Mistrzów między Giants i Cubs. Carl i Jerry uważają, że nie potrzebują terapii. A Rita nie jest gotowa na to, żeby rozmawiać z kimkolwiek spoza grupy.

Nie sądzę, żeby te sesje mi pomagały, jeśli w ogóle, ale są pretekstem, żeby wyjść z piwniczki dwa razy w miesiącu. A w środę wieczorem w telewizji i tak nie ma nic ciekawego.

- Jak się dziś czujesz, Andrew?

To pierwsza rzecz, o jaką pyta mnie Ted, z przyklejonym do twarzy uśmiechem, jakby chciał dobrze wyjść na zdjęciu, którego wcale sobie nie życzy.

Ted ma pięćdziesiąt pięć lat, ale udaje trzydziestolatka. Przez pięć ostatnich lat zrobił sobie lifting twarzy i szyi, operację podbródka i podciąganie mięśni. Ćwiczy na siłowni pięć razy w tygodniu, ma garderobę, która pochodzi wyłącznie z GAP-a i od Eddiego Bauera, i własną, bujną czuprynę, którą farbuje na ciemnobrązowo, bo siwieje. W lewym uchu, które sobie przekłuł na pięćdziesiąte urodziny, nosi kółko z dwudziestoczyterokaratowego złota.

Większość z tych rzeczy wiem, ponieważ na poprzednich spotkaniach Ted opowiedział mi wszystko o sobie. Myślę, że czuje się ze mną swobodnie. Albo wychodzi z założenia, że któryś z nas powinien coś mówić.

Gapi się na mnie, wciąż z tym plastikowym uśmiechem, i czeka na odpowiedź. Na

tablicy, którą trzymam pod kątem na kolanach, bazgrzę słowo „kapitalnie”. Ted siedzi za mną, trochę po prawej, żeby móc odczytywać moje odpowiedzi. Widzę go kątem oka. Nawet po sześciu tygodniach ciągle łapię go na tym, że się gapi.

- Czyżbym wyczuwał nutę sarkazmu? - pyta Ted.

Pod moją pierwszą odpowiedzią bazgrzę „Myślisz?”

Zamontowany w kącie nad nami odświeżacz powietrza z timerem wypuszcza z sykiem zapach lilii. Kiedy przyszedłem tu po raz pierwszy, odświeżacza nie było.

- Może powiedz mi, jak się naprawdę czujesz - prosi Ted.

Rzucam Tedowi spojrzenie przez ramię. Posyła mi wymuszony uśmiech, nie pokazując zębów.

Jak się naprawdę czuję? Odrzucony przez rodziców, opuszczony przez przyjaciół, dyskryminowany przez społeczeństwo, które nie uważa mnie już za człowieka. Oto jak się czuję.

Ale nie mogę tego powiedzieć Tedowi. Nie zrozumiałby. A nawet jeśli, to miałby to gdzieś. Więc wymazuję z tablicy poprzednie słowa i bazgrzę:

„Jak straszdyło”.

- Dobrze - mówi Ted. - I jak jeszcze?

„Jak odpad”.

- Tak - mówi. - To już wszystko?

„Sfrustrowany”.

„Zniechęcony”.

„Osamotniony”.

„Smutny”.

„Nic niewart”.

Waham się, zmazuję wszystko i gryzmołę jedno słowo: „Zmęczony”.

Czekam na odpowiedź, ale słyszę tylko ciszę.

Wiem, że Ted nie wymknął się z pokoju, bo widzę go przez ramię. Wiem, że nie zasnął, bo ma otwarte oczy. I wiem, że nie umarł, bo słyszę, jak oddycha.

Na ścianie, powyżej oprawionych dyplomów, certyfikatów i listów pochwalnych Teda, wisi cyfrowy zegar, który na czerwonym diodowym wyświetlaczu pokazuje godziny, minuty i sekundy. Siedzę i patrzę, jak cisza się rozciąga się z każdą sekundą.

... trzynaście... czternaście... piętnaście...

Na każdym spotkaniu mamy takie chwile. Ted siedzi za mną i kompletnie nie ma pomysłu, jak mi pomóc, a ja siedzę i patrzę, jak zegar monotonicznie odlicza czerwone sekundy,

jedną po drugiej. To tak, jakby patrzeć na zegar odliczający czas do Nowego Roku, tylko na odwrót. I ten ostateczny moment nigdy nie nadchodzi.

...dwadzieścia pięć... dwadzieścia sześć... dwadzieścia siedem...

- Kiedy mówisz, że jesteś zmęczony - pyta Ted - masz na myśli zmęczenie fizyczne, emocjonalne czy duchowe?

6

Rita, Helen, Jerry i ja wracamy z kolejnego spotkania w towarzystwie nowego członka grupy, czterdziestopięcioletniego surfera, Waltera, który spadł z deski, uderzył się nią w głowę i utonął. Nigdy właściwie nie odnaleźli ciała, dopóki dwa dni później Walter nie wyszedł z morza na plaży Santa Cruz w swojej piance, z płucami wypełnionymi słoną wodą i z krasnorostami we włosach.

- Ziom - pyta Jerry. - Jak to jest być pod wodą przez dwa dni?

- Nie wiem, ziom - odpowiada Walter głosem bulgoczącym od wody w płucach. - Obudziłem się w lesie krasnorostów i nie mogłem zrozumieć, jakim cudem wpadłem do mojego wodnego łóżka. Tyle że miałem na sobie piankę, a w łóżku nigdy jej nie noszę. - Gdybym nie wiedział, że jest inaczej, mógłbym przysiąc, że Walter i Jerry są ze sobą spokrewnieni. - Na początku pomyślałem, że śnię - ciągnie Walter - dopóki nie poczułem, jak coś wpełza mi z tyłu pod piankę.

- Co to było? - pyta Jerry.

- Ślimak morski, ziom. Był mega.

- Rany.

- Odjazd.

Nie mogę tak po prostu ich zostawić. Gdybym chociaż miał ich obu po lewej, nie słyszałbym ich tak dobrze przez resztki ucha, ale jakimś cudem jednemu z nich zawsze udaje się iść po mojej prawej stronie.

Przecinamy parking i idziemy zaułkiem, wybierając najmniej uczęszczaną drogę. Nie z chęci przeżycia przygody, ale dlatego, że w ten sposób nie pchamy się w oczy oddychaczom. To jedno z przykazań nieumarłych:

Nie będziesz niepokoił żywych.

Nie będziesz wychodził po godzinie policyjnej.

Nie będziesz uprawiał nekrofilii.

Nie będziesz pożył mięsa bliźniego swego.

Jest jeszcze parę, o czczeniu swoich opiekunów i żywicieli i powstrzymywaniu się od aktów społecznego nieposłuszeństwa, ale w większości są to zasady, których musimy przestrzegać, aby koegzystować z żyjącymi. Z drugiej strony oddychacze nie muszą przestrzegać żadnych zasad w stosunku do nieumarłych. Poza tą z nekrofilia. Ale to tylko zdrowy rozsądek.

Zaułek biegnie za kilkoma kwartałami niewielkich zakładów przemysłowych, które są zamykane na noc. Helen i Rita idą z przodu i pewnie gadają sobie miło o czymś ważnym, podczas gdy ja utknąłem w czyścicu.

- Ziom, chcesz dotknąć mojej czachy? - pyta Jerry, zdejmując bejsbolówkę. - To czadowe.

Helen zatrzymuje się nagle i podnosi rękę, jak policjant na skrzyżowaniu.

- Rany! - zachwyca się Walter, przesuwając palcami po lśniącym mózgu Jerry'ego. - Fantastyczne.

- Cicho - szepcze Helen.

Na końcu uliczki, w ciemności za nami, otwierają się, a potem zamykają drzwiczki samochodu. Dobia nas echo męskich głosów, śmiechów i brzęk tłuczonej butelki. Potem cisza.

- Co się dzieje? - pyta Rita.

- Oddychacze - szepcze Helen. - Po odgłosach sądząc, chłopaki ze studenckiego bractwa.

Wsioki przeważnie tylko rzucają wyzwiska, tłuką ci na głowie butelki i terroryzują, dopóki się nie znudzą. Nastolatki są bardziej niebezpieczne ze względu na buzujące hormony, jednak brakuje im wyobraźni. Ekipy z kręgielni zwykle mają tylko jedno w głowie i używają swojego „sprzętu” sportowego, żeby siać zniszczenie po pijackich wieczorkach. Ale chłopaki z bractwa rozdierają na kawałki, biją, okaleczają, torturują, rzną i podpalają. I zdają się tym nigdy nie nudzić.

W każdym razie takie chodzą o nich słuchy. Nigdy nie spotkałem żadnego chłopaka z bractwa, żadnej ekipy z kręgielni ani wsioka. Nie licząc nastolatków, którzy rzucali we mnie pomidorami u zarania mojego nowego życia, doświadczałem właściwie tylko wyzwisk i przekleństw.

Po chwili słyhać brzęk kolejnej butelki i więcej śmiechu, a potem pojedynczy głos:

- Zombie, wyjdźcie się zabaaaaawić!

- O-o! - To Jerry.

Bardzo dobrze to ujął.

Na końcu uliczki, jakieś dwie przecznice od nas, w ciemności zaczyna się materializować pięć lub sześć osób niosących przeróżne narzędzia zniszczenia.

- W nogi - mówi Helen.

Łatwo powiedzieć, kiedy się ma dwie sprawne nogi. Ale gdy twoja lewa kostka jest surrealistycznym dziełem sztuki, bieganie raczej nie wchodzi w grę.

- Pomogę Andy'emu - mówi Rita, stając z mojej lewej strony. - Wy uciekajcie.

Walterowi i Jerry'emu nie trzeba dwa razy powtarzać. Startują. Helen chwilę się waha, ale w końcu rusza za nimi i przebiera krótkimi nogami szybciej, niż można się spodziewać po pięćdziesięciodwuletniej zombie.

Rita obejmuje mnie w pasie i zakłada sobie moją lewą rękę na szyję.

- Gotowy?

Chciałbym być dzielny i powiedzieć, żeby mnie tu zostawiła. Ale cieszę się, że nie mogę mówić, bo miło jest być dotykany przez Ritę, czuć jej rękę w pasie i całe jej ciało przyciśnięte do mojego. To o wiele przyjemniejsze, niż być rozczłonkowanym w samotności. Więc tylko przytakuję.

Na początku się wlecjemy, ale kiedy Jerry, Walter i Helen docierają do końca uliczki, znajdujemy właściwy rytm i mam wrażenie, że wiejemy całkiem szybko. Odwracam się i widzę, że chłopaki z bractwa są już tylko o przecznicę od nas. Nie jest dobrze.

- Gaak - chrypię, żeby ostrzec Ritę.

Gwizdy i krzyki odbijają się echem w zaułku, a miarowy, złowrogi tupot kroków na asfalcie jest coraz bliżej. Rita i ja posuwamy się chwiejnie przed siebie, jak ostatni uczestnicy wyścigu na trzech nogach, próbujący dotrzeć do mety. Tyle że nie jest nam do śmiechu.

I nikt nas nie dopinguje.

A jeśli się przewrócimy, zostaniemy zaatakowani i okaleczeni.

Mijamy ostatni budynek. Liczę na to, że znajdziemy jakieś miejsce, żeby się schować, jakiś sposób, żeby się wymknąć prześladowcom, gdy przed nami staje jakaś postać.

- Ruchy! - rzuca Jerry. I pomaga mnie przeprowadzić za róg budynku, do śmietnika. - Wsadźmy go do środka. Szybko!

Rita i Jerry podsadzają mnie i przepychają przez krawędź. Wpadam do środka twarzą w dół, w coś miękkiego i lepkiego, co rozpryskuje się od uderzenia.

- Zostań tam - mówi Jerry. - Wrócimy po ciebie.

Jakbym miał jakiś wybór.

Słyszę, jak Jerry i Rita odbiegają. Układam się w tej ciepłej, maziowatej substancji, która oblepiła mi twarz. W konsystencji przypomina klej, ale pachnie raczej jak olej silnikowy. Nie do końca tak wyobrażałem sobie wtorkowy wieczór.

Nie mija dziesięć sekund, kiedy słyszę kroki, najpierw na rogu budynku, potem koło śmietnika, aż w końcu oddalają się w kierunku, w którym pobiegli Jerry i Rita. A przynajmniej większość z nich. Jeden z członków bractwa zatrzymuje się przy śmietniku.

Gdy nie bije ci serce i w twoim krwiobiegu nie krąży adrenalina, czujesz się dziwie spokojnie podczas stresujących chwil. Co nie oznacza, że się nie boję. Nie odczuwam po prostu fizjologicznych efektów strachu, tak jak kiedyś. To jest raczej jak pamięć odczuć. A w tej chwili pamięć mi mówi, że mam przerąbane.

Helen sugeruje, żebyśmy znaleźli sobie kreatywny sposób na uporanie się z uczuciem beznadziei. Coś w rodzaju artystycznej terapii, która pomoże radzić sobie z wyzwaniami bycia nieumarłym - jak malowanie, rzeźbienie czy pisanie wierszy. Chodzi o to, żeby stworzyć coś pięknego, co wykracza poza naszą mało efektowną egzystencję.

Kiedyś pisywałem haiku tylko po to, żeby moja prawa półkula mózgowa mogła trochę poćwiczyć. Nie wiem, czy ma to teraz jakiegokolwiek znaczenie, biorąc pod uwagę, że mój mózg stopniowo przechodzi w stan ciekły, ale stare nawyki nie umierają, nawet jeśli ty umarłeś.

Więc gdy tak leżę w śmietniku, pokryty przemysłową breją, i myślę o ofiarach rytualnych, rozczłonkowaniu i toksycznych odpadach, przychodzi mi do głowy taki oto wyraz transcendentnego piękna:

Strzaskane życie zawisa

Urwany krzyk rozpacza

Gniję

Po kilku minutach ciszy przekręcam się w końcu na bok i ścieram część mazi z oczu, żeby móc spojrzeć w górę przez otwarte wieko. Na początku widzę tylko ciemność, potem zauważam zarys czegoś, co wygląda jak twarz zagładająca do śmietnika.

- Randy!

Nie wiem, kto bardziej podskoczył - ja czy Randy. Ale jego głowa znikła za krawędzią.

- Co robisz? - pyta zbliżający się głos.

- Nic - odpowiada Randy. - Ja tylko...

Widocznie zaczyna szeptać, bo więcej nie słyszę. Kilka sekund później dwie sylwetki patrzą na mnie. Jeden z nich podnosi długi, cienki przedmiot i wbija go w śmieci.

- Tam - mówi Randy, wskazując palcem.

Sonda znowu ląduje w śmietniku, tym razem bliżej, o włos mijając moją rękę. Wydaje mi się, że to stalowy pręt, może kawałek zbrojenia. Cokolwiek to jest, poczyni pewne zniszczenia, jeśli dosięgnie celu.

Gdy to coś kolejny raz spada w dół, zagłębia się w mój bok, przebijając się przez ubranie i ciało. Łamie mi żebro.

Zdecydowanie pręt zbrojeniowy. Trzy ósme cala. Sądząc z wrażeń - zaostrozony.

Znowu spada, tym razem trafiając mnie w udo. Następny cios mnie omija, ale kolejny przekłuwa mi dłoń, a ja się zastanawiam, czy tak właśnie czuł się Chrystus na krzyżu.

Choć nie czuję bólu, doznanie nie jest miłe. Jest raczej irytujące niż nieprzyjemne. I lekko upokarzające.

Jeśli nigdy nie leżałeś w śmietniku oblepiony przemysłową breją, gdy ktoś dźga cię kawałkiem zaostzonego pręta, to prawdopodobnie nie zrozumiesz.

Z jednej strony chciałbym zostać znaleziony, żeby to się już stało, żeby ta egzystencja wreszcie się skończyła i żebym mógł się uwolnić od tych wspomnień, z którymi nadal kładę się spać i z którymi wstaję, które siedzą mi na klatce piersiowej jak uprzykrzony ciężar. Tyle że w obliczu potencjalnego końca nawet w nieumarłym włącza się instynkt samozachowawczy, który zmusza cię do walki o przetrwanie i nie pozwala tak po prostu się poddać. Poza tym, jeśli mam zostać unicestwiony, to nie przez jakichś pijanych gnojków z college'u.

Następne dźgnięcie trafia centymetry od mojej głowy. Kiedy pręt się podnosi, żeby znów opaść, w oddali rozlega się okrzyk: „Mamy jednego!”

Sylwetki się odwracają i znikają, a ich kroki oddalają się całkiem szybko. Biegną. Leżę jeszcze chwilę, nie wiadomo dlaczego wdzięczny losowi, że ciągle jestem nieumarły. W końcu podciągam się do krawędzi śmietnika i wyglądam w ciemność, z nadzieją, że tym kimś, kogo złapali, nie jest Rita.

Na wielkim parkingu, jakieś sto metrów ode mnie, kilka postaci porusza się szybko, wymachując przedmiotami i tłukąc kogoś, kto usiłuje uciec. Z początku wydaje mi się, że to Jerry. Jestem zdziwiony, jak bardzo przygnębia mnie ta myśl. Nagle postać wykrzykuje głosem, który chlupocze, jakby dobiegał z fajki wodnej:

- Pomocy! Niech mi ktoś pomoże!

Chłopaki z bractwa rzucają się na Waltera, powalają go na ziemię i zaczynają tłuc. Odrywają mu rękę. Potem drugą. Po kilku minutach jest już rozczłonkowany i wywleczony w nieznane, przy akompaniamencie cichnących pokrzykiwań pijanych chłopaków. Nikt nie przychodzi mu z pomocą. Ani policja dla ludzi. Ani policja dla zwierząt. Ani żaden przypadkowy oddychacz, przechodzący w pobliżu. A już na pewno nie brat zombie z niesprawną ręką i nogą.

Opadam z powrotem do pojemnika i słucham oddalających się wrzasków, aż znów zostaję sam z ciszą i poczuciem bezużyteczności. Ale kiedy większą część egzystencji spędzasz w piwniczce rodziców, pijąc wino jedną butelkę za drugą, oglądając powtórki starych seriali i rozkładając się powoli, poczucie bezużyteczności to twój stały towarzysz.

Problem w tym, że nawet gdybym próbował pomóc Walterowi, nawet gdybym mógł mu pomóc, i tak nie miałyby to znaczenia. Zakładając nawet, że nie zostałbym rozczłonkowany razem z nim, to każdy przejaw agresji zombie wobec ludzi jest uważany za prawną podstawę do natychmiastowego unicestwienia. Nawet jeśli to agresja w samoobronie. A ja odkryłem niespodziewanie, że jestem bardziej zainteresowany przetrwaniem, niż mi się zdawało.

W takich chwilach człowiek zastanawia się nad społeczeństwem, które dopuszcza do czegoś takiego. Które zezwala na bezkarne okaleczanie i rozdzieranie kogoś, kto był kiedyś żywą, oddychającą osobą. Wiem, że to nie jest niczyja wina, że wstałem z martwych - że my wszyscy chodzimy po świecie - ale przecież ktoś powinien odpowiedzieć za to, co spotkało Waltera.

Czekam w śmietniku na powrót Rity, Jerry'ego i Helen, zastanawiając się, kiedy po mnie przyjdą, i mając nadzieję, że zjawią się, zanim przyjedzie śmieciarka. I myślę o Walterze. Ciągłe się słyszy, że takie rzeczy spotykają zombie mieszkających w innym mieście, innym stanie czy kraju. Ale kiedy coś takiego przytrafia się tobie albo komuś, kogo znasz, staje się to sprawą osobistą.

Która cię dotyka.

Która cię inspiruje.

Która sprawia, że chcesz działać.

Siedzę na trawniku przed domem moich rodziców obok zrobionego przez siebie transparentu, na którym wypisałem:

„Zombie mówią »nie« okaleczaniu”.

Jestem jedynym nieoddychaczem w okolicy, więc praktycznie rzecz biorąc, powinno być „Zombie mówi »nie« okaleczaniu”, ale pomyślałem, że jeśli napiszę to w liczbie mnogiej, przekaz będzie bardziej dobitny.

Transparent to właściwie tablica ogłoszeniowa przymocowana do półtorametrowego palika ogrodowego, wbitego w trawnik. Mama pomagała mi go zrobić, ale chyba nie miała pojęcia, do czego zamierzam użyć tego znaku. Po prostu sądziła, że to coś fajnego, a zawsze chętnie pomagała mi przy różnych projektach, kiedy byłem w szkole, więc zgodziła się z całym entuzjazmem. Oczywiście wrzasnęła, kiedy próbowałem ją uściskać, i o mało nie wymiotowała, kiedy kichnąłem i przez nos wypadł mi kawałek mózgu, ale ostatnio tak właśnie wygląda w naszym domu integracja z rodziną.

To miłe popołudnie na demonstrację. Słoneczko świeci, niebo jest błękitne, a przekleństwa sypią się na mnie jak konfetti.

Mija mnie samochód pełny nastolatków, którzy rzucają dowcipne komentarze okraszone epitetami takimi jak „pieprzony zgniłek” i „niedorobiony zgniłomózgi fiutas”. A ja się tylko uśmiecham i macham prawą ręką, jakby ich słowa mnie nie dotyczyły. Ale przecież trudno nie wziąć tego do siebie, kiedy ktoś cię nazywa „zgniłomózgim fiutąsem”.

Na razie, siedząc tu ponad godzinę, widziałem jakieś sześć samochodów przejeżdżających ulicą. Choć większość oddychaczy mnie ignoruje, to są i tacy, którzy zwalniają i robią mi zdjęcia komórkami, albo obsypują mnie obelgami i wszelkimi śmieciami, jakie mają pod ręką. To prawda, że mój przekaz dociera tylko do ludzi mieszkających na naszej ulicy i w najbliższej okolicy, ale zombie, którzy zakłócają porządek publiczny, narażają swoją egzystencję. Siedząc na prywatnym terenie rodziców, mogę ogłosić swoje zdanie światu, nie ryzykując zanadto. Nie wiem, czy choć jedna osoba zacznie dzięki temu inaczej myśleć, ale biorąc pod uwagę, z czym musimy się zmierzyć, przecież od czegoś trzeba zacząć.

Oprócz okaleczania i rozczłonkowania zombie są używani jako manekiny w testach zderzeniowych, są trzymeni na specjalnych farmach jako dawcy organów i części ciała i

narażani na gnicie w najróżniejszych warunkach dla celów badań kryminalistycznych. Jakby tego było mało, nie możemy głosować, wyrobić sobie prawa jazdy, wystąpić o kredyt czy kandydować na publiczne stanowiska. Nie wpuszcza się nas do sklepów spożywczych, restauracji, kin ani żadnych innych publicznych miejsc, gdzie moglibyśmy przeszkadzać żywym. Nikt nas nie zatrudnia, nie możemy się starać o zasiłek i nie możemy odbierać kartek na darmowe zupy. Nawet schroniska dla bezdomnych nas nie przyjmują.

Nie rozumiem tego. Przecież nie jesteśmy kimś innym, niż byliśmy przed śmiercią. Pragniemy poczucia bezpieczeństwa, towarzystwa i miłości. Śmiejemy się i płaczemy, odczuwamy ból emocjonalny. Lubimy słuchać kawałków z list przebojów i oglądać reality show. Owszem, jest ten cały stygmat „jedzących ludzkie mięso”, ale to takie w stylu George'a Romero. Poza hollywoodzkimi filmami nieumarli raczej nie zjadają żywych.

Od czasu do czasu słyszy się o zombie kryminalistach, którzy pożarli bezdomnego czy sąsiada albo listonosza, co faktycznie jest przestępstwem federalnym. Chociaż to akurat nie ma znaczenia. Jeśli zjesz jakiegokolwiek oddychacza, nawet jeśli nie jest państwowym urzędnikiem, to zanim się obejrzyysz, twoja głowa leży na aluminiowej jednorazówce do pieczenia kurczaków i służy za model na kursie doskonalenia zawodowego dla chirurgów plastycznych.

Po drugiej stronie ulicy stoi dom ze znakiem „Na sprzedaż” w ogródku. W pewnej chwili sąsiad wychodzi zajrzeć do skrzynki pocztowej. Kiedy mnie dostrzeżga, podnosi kilka kamieni ze swojej wypielegnowanej zwirowanej ścieżki i rzuca nimi we mnie, trafiając dwa razy w pierś i raz w głowę. Za każdym trafieniem wykrzykuje triumfalnie.

Nie rozumiem, dlaczego oddychacze zmieniają się w takie potwory, kiedy wraca zmarły. Wiem, że obniżamy wartość nieruchomości i że żywi zasadniczo się nas brzydzą, ale mieli już przecież sporo czasu, żeby się przyzwyczaić do naszej obecności.

Zombie są na świecie od dziesięcioleci. Od czasów Wielkiego Kryzysu mieszają się z bezdomną populacją praktycznie każdego miasta, choć większość wyemigrowała na wybrzeża i do dużych miast, gdzie łatwiej pozostać niezauważonym.

Nowy Jork ma największy ze wszystkich miast odsetek zombie *per capita*, a Kalifornia największą populację zombie w stanie. Ogólnie stany wzdłuż Zachodniego Wybrzeża są bardziej tolerancyjne i postępowe, jeśli chodzi o nieumarłych. W południowych stanach nie znajduje się zbyt wielu zombie, jako że upał przyspiesza rozkład. A poza tym, kiedy mieszkasz w regionie słynnym z uprzedzeń wobec mniejszości i obcych, rzucasz się w oczy jak kremówka na ladzie w sklepie mięsnym.

Chociaż nie ma oficjalnych danych na temat zombie w Stanach Zjednoczonych przed

rokiem 1930, istnieją historyczne przekazy naocznych świadków rezurekcji już z czasów wojny secesyjnej. Ale społeczeństwo dopiero w ostatnich dekadach zaczęło dostrzegać rosnącą populację zombie. Kiedy w całym kraju jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać oddziały Anonimowych Nieumarłych i lokalne wspólnoty zombie, staliśmy się bardziej akceptowaną częścią społeczeństwa - jeśli odmawianie wszelkich ludzkich praw można nazwać akceptacją.

Chodnikiem idzie kobieta, wyprowadzająca pudła na przedwieczorny spacer. Ulica jest mało uczęszczana, a piesek najwyraźniej dobrze wychowany, więc biegnie bez smyczy. Podbiega, żeby mnie obwąchać. Mając tylko jedną rękę, którą mogę poruszać, próbuję go odepchnąć. Zanim jego pani do nas dociera, pies zaczyna się we mnie tarzać.

Niekoniecznie takiego uznania szukałem.

- Camille, nie! - krzyczy kobieta. - Niedobra sunia! Niedobra...

Kiedy zauważa, że jestem zombie, cofa się z obrzydzeniem. Próbuję jej powiedzieć, że nie zrobię jej krzywdy, ale czasami zapominam, że mogę tylko stękać i charczeć, co zwykle bardzo przeraża oddychaczy.

Kobieta wrzeszczy i ucieka. Po chwili Camille przestaje się po mnie tarzać, wstaje, sika mi na kolana i odbiega za swoją pańcią.

To by było na tyle, jeśli chodzi o społeczny przekaz.

8

Na piątkowym spotkaniu jesteśmy dość milczący z powodu rozczłonkowania Waltera i emocji, jakie wywołał w nas ten atak. Pierwszy prawdziwy jesienny deszcz nie poprawia nam nastroju. A na dodatek Carl nie pojawił się na spotkaniu.

Carlowi zdarzało się już opuszczać spotkania. Jak wszystkim. Tyle że dzisiaj jest Halloween, więc jesteśmy lekko nerwowi. Już wystarczająco fatalne jest to, że staliśmy się stworami, których boją się dzieci i którymi straszą się nawzajem w ten najbardziej przerażający dzień roku. Ale kiedy słyszy się historie, że oddychacze krążą dziś po mieście, by rozczłonkowały zbłąkanych zombie i wtykać im petardy w ciała, każdy popada w lekką paranoję.

Nawet to nie przeszkadza nam jednak uczyć się dzisiejszego święta. Przebranie się w

kostium może mieć działanie terapeutyczne, a udawanie, że jest się kimś lub czymś innym, daje poczucie siły. Przebranie jest też dobrym kamuflażem. Bo kto by się spodziewał, że zombie przebierają się w Halloween?

Helen jest przebrana za wróżkę z Kopciuszka - ma białe włosy, skrzydła i tiarę. Na tablicy za jej plecami, pod napisem „Wesołego Halloween” i kilkoma nietoperzami z kartonu, widnieje motto: „Nadzieja to nie jest brzydkie słowo”.

- Oddychajcie głęboko - mówi Helen, prowadząc naszą terapeutyczną medytację. - Z każdym wydechem wyrzucajcie z siebie wszelkie lęki i troski.

Jerry zasypia na krześle obok mnie. Jego kostium to tylko czerwone spodnie dresowe, czerwona koszulka z długim rękawem, czerwona wełniana czapka i para diabelskich rogów na gumce. Pomalował też twarz na czerwono, ale trudno stwierdzić, gdzie kończy się farba, a gdzie zaczyna skóra zdarta o asfalt.

- Opróżnijcie umysły z wszelkich myśli - mówi Helen, chodząc po sali. Jej głos jest miękkim, wkurzającym szeptem. - Wyobraźcie sobie pusty ekran albo płótno bez żadnego obrazu.

Podczas medytacji mamy mieć zamknięte oczy, żeby łatwiej się skupić. Ja ciągle otwieram jedno i podglądam, co robią inni. Nie żebym nie doceniał tego, co stara się dla nas zrobić Helen, ale mogę się skupić wyłącznie na bębnieniu deszczu o dach domu kultury i na chrapaniu Jerry'ego.

Rita siedzi dokładnie naprzeciw mnie. Ma na sobie czarny jednoczęściowy kostium kąpielowy, uszy króliczka i szminkę satin red, której większość zjadła w czasie medytacji. Biała psia obroża i skórzane paski na nadgarstkach ukrywają jej blizny. Wygląda jak króliczek „Playboya”.

Kiedy medytacja dobiega końca, Helen dzwoni małym dzwoneczkiem. Szturcham Jerry'ego, żeby go obudzić.

- Czy ktoś chce się z nami podzielić swoimi odczuciami na temat tego, co spotkało Waltera? - pyta Helen.

- To było kurestwo - mówi Jerry. - Moim zdaniem powinniśmy skopać tyłki paru gościom z bractwa.

Naomi, przebrana za pirata, z czerwoną apaszką, w pasiastej, czarno-białej koszulce i z opaską na pustym oczodole, energicznie kiwa głową.

- Zgadzam się.

- Naprawdę? - pyta Tom.

Tom jest pomalowany na biało, ma togę udrapowaną na ramionach i wieniec laurowy

na głowie. Kiedy siedzi albo stoi całkiem nieruchomo, wygląda jak rzymski posąg.

- Nie, to zły pomysł - tłumaczy Helen. - Jeśli ktoś was zauważy, zadzwoni do biura szeryfa i zanim się obejrzyicie, wszyscy będziecie leżeć związani na pace furgonetki w drodze do schroniska.

- Albo do doktora Frankenstein - dorzuca Rita.

Co byłoby na miejscu, jako że jestem przebrany za potwora Frankenstein. Mama kupiła mi stary garnitur w lumpeksie i nawet zrobiła mi charakteryzację. Jestem dość przekonujący, co niekoniecznie mnie zachwyca, biorąc pod uwagę, że potwór został spalony przez tłum wściekłych mieszczan.

Przez następne pół godziny próbujemy się podnieść na duchu, dyskutując, jakie działania możemy podjąć i jak pomóc sobie nawzajem w uporaniu się ze stratą któregoś z nas. Choć nie pierwszy raz tracimy członka grupy. Mieliśmy tu kiedyś ofiarę pożaru, młodego gościa, Spencera, który upił się któregoś wieczoru i postanowił się zabawić w pirotechnika za pomocą zapalniczki i puszki raida. Prawie doszczętnie spalił sobie twarz. Od paru miesięcy nie pojawia się na spotkaniach i nikt nie wie, co się z nim stało. Oczywiście wszyscy zakładamy najgorsze.

Chociaż jako zombie z technicznego punktu widzenia nie możemy umrzeć, bo nasze serca już nie biją, to możemy rozkładać się stopniowo, aż zostanie z nas niewiele więcej niż szkielet. W tym momencie nasza egzystencja dobiega końca. I nie jest to najmiłszy koniec.

Ale jeśli nigdy nie leżałeś przybity kołkami na zboczu wzgórza i niegniłeś dla dobra badań nad ludzkim rozkładem, to pewnie tego nie zrozumiesz.

Więc teoretycznie da się nas zabić, co jest odrobinę mylącym określeniem, skoro już nie żyjemy. Unicestwienie byłoby bardziej odpowiednim słowem, choć Helen woli określenia jak „wyprawić na tamtą stronę”, „usunąć” czy „przetworzyć”, bo lubi eufemizmy.

Unicestwienie zombie nie jest łatwe. Kule, noże, trucizny - żadna z tych rzeczy nie robi nam krzywdy. Nie da się nas udusić, utopić ani zatłuc. Wyprucie wnętrzości czy rozczłonkowanie tylko opróżnia jamę brzuszną albo zamienia nas w nieumarłych paralityków. Dekapitacja pewnie byłaby skuteczna. Podobnie jak całopalenie, choć trzeba by użyć benzyny albo dobrego płynu do zapalniczek. Bez przyzwoitego paliwa zombie palą się jak mokre drewno, dymiąc całymi godzinami.

- Wiem, że wszystkich nas zasmuciła strata Waltera - mówi Helen - i że wszyscy mamy swoje problemy, ale są jeszcze inni, i niektórzy mają się gorzej niż my i potrzebują pomocy. Więc chciałabym, żeby każde z was znalazło innego ocalałego i przyprowadziło na piątkowe spotkanie za trzy tygodnie.

- To taka praca domowa? - pyta Jerry.

- Tak - mówi Helen. - Można to tak nazwać.

- O kurczę! - burczy Jerry. - Nie cierpię prac domowych.

- No więc? Czy jeszcze ktoś chce się podzielić tym, jak sobie radzi z atakiem na Waltera? - pyta Helen.

Wszyscy spoglądamy na siebie, nikt nic nie mówi. Zastanawiam się, czy nie podnieść ręki, ale za każdym razem, kiedy próbowałem się porozumiewać na spotkaniach, było to bardzo mozolne, i przeważnie moje wysiłki zamieniały się we frustrującą zabawę w kalambury, więc postanawiam nie chwalić się moją nieudaną jednoosobową demonstracją. A poza tym (pomijając już, że nasikał na mnie pudel), kiedy ojciec wrócił z pracy i zobaczył mnie siedzącego przed domem, odkręcił wąż ogrodowy i zaczął polewać mnie najsilniejszym strumieniem, aż wstałem i poszedłem do domu. Ciekawe, czy był ze mnie niezadowolony, czy po prostu chciał podlać trawnik.

Ale przynajmniej nie musiałem się kąpać.

Rozmowa się nie klei aż do końca spotkania, skoro nikt nie chce mówić o tym, co spotkało Waltera. Ale kiedy dobieramy się w pary do ćwiczenia z nawiązywaniem kontaktu emocjonalnego, udaje mi się dobrać z Ritą, więc wieczór nie jest tak do końca stracony.

Nigdy przedtem nie byłem w parze z Ritą i poczucie takiej bliskości, takiej intymności doprowadziłoby mnie do łez, gdyby moje kanaliki łzowe działały jak kiedyś. Do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo potrzebowałem pocieszenia, jakie dają kobiece objęcia.

Wciąż tęsknię za żoną i wciąż ją kocham, ale każdy heteroseksualny mężczyzna, żywy czy martwy, woli, żeby przytulała go atrakcyjna, dwudziestotrzyletnia zombie w przebraniu króliczka „Playboya”, zamiast takich typków jak Tom czy Jerry. Najlepsze w tej bliskości jest to, że Rita nie cuchnie śmiercią. Osiągnięcie takiego stanu to trudna sztuka. Nawet najmocniejsze perfumy i środki dezynfekcyjne nie są w stanie całkowicie zabić odoru gnijącego ciała.

Wiem, że ja sam nie pachnę najlepiej. Nawet za życia miałem dość silny naturalny zapach ciała. Ostatnio pachnę przeróżnie, ale na pewno nie naturalnie. Ale Ricie chyba to nie przeszkadza. Obejmuje mnie tak mocno, że zaczynam się trochę krępować, więc zajmuję mózg układaniem haiku. Żadne nie jest dobre. Ciągłe nie zgadza mi się liczba sylab. Wreszcie wymyśliłem jedno, które tytułuję *Przepis na nieumarłego*.

*Ożywione ciało,
zgniły organ
przyprawić formaliną.*

Po spotkaniu Helen daje każdemu z nas po torebce halloweenowych cukierków i przypomina, żebyśmy przyprowadzili nieumarłego w przyszłym miesiącu, po czym rzuca na nas dobry czar i wychodzi. Dziś do domu odwozi ją siostra, ale reszta z nas musi wracać pieszo, w deszczu.

Kiedy byłem żywy, nie przepadałem za deszczem. Nie lubiłem jeździć samochodem, kiedy padało. I nie lubiłem moknąć. Trochę jak kot. Albo Zła Wiedźma z Zachodu. Teraz deszcz zapewnia mi ochronę, jakiej nie zapewniłby nawet kordon policji. Oddychacze z zasady wolą nie narażać się na dyskomfort i siedzą w ciepełku, zamiast dręczyć nieumarłych. W deszczowe Halloween wszyscy będą raczej bawić się na imprezach i w barach, a nie ścigać króliczka „Playboya”, diabła i potwora Frankensteina.

A przynajmniej można to sobie wmawiać.

- Hej - mówi Jerry, kiedy już po rozstaniu z Naomi i Tomem idziemy bocznymi uliczkami, żeby unikać ludzi. - Macie kogo przyprowadzić na to spotkanie w przyszłym miesiącu?

- Nie - odpowiada Rita, poprawiając królicze uszy.

Kręcę głową i stękam.

- To może dzisiaj kogoś poszukamy? - pyta Jerry.

- Spoko - zgadza się Rita, wyciągając szminkę i nakładając kolejną warstwę na usta. -

Czemu nie?

Jerry obejmuje mnie ramieniem.

- Co ty na to, Andy?

Po tym, co spotkało Waltera, powinienem raczej odpuścić sobie ryzykowne zabawy i iść do domu. Ale jeśli to zrobię, będzie to znaczyło, że się poddałem. Poza tym sam przecież nie wyjdę, żeby kogoś szukać, a w telewizji leci tylko *Halloween*, *Halloween II* i *Halloween III*, więc pokazuję Jerry'emu uniesiony kciuk.

Ruch jest niewielki, a kiedy wyjdzie się już z Soquel, kończą się sklepy. Ale i tak musimy uważać, mimo deszczu i kostiumów, więc trzymamy się w cieniu i chowamy, ilekroć nadjeżdża samochód.

Jerry'ego bawi to chowanie się przed oddychaczami. Dla niego to jest jak gra. Nawet kiedy w pobliżu nie ma samochodów, chowa się za śmietnikami, drzewami czy słupami

wysokiego napięcia - śmiga od jednej kryjówki do drugiej, przypadając do muru czy ogrodzenia, i nurkuje za żywopłotami. Wygląda jak demon z ADHD.

Miejscem, w którym najłatwiej spotkać w nocy innych zombie, jest cmentarz, a najbliższy to cmentarz Soquel, jakieś dwa kilometry dalej przy Old San Jose Road. To tam pochowana jest Rachel. Kiedyś odwiedzałem jej grób parę razy w tygodniu, ale od jakiegoś czasu tam nie zaglądałem. Prawie od dwóch tygodni. Chyba powinienem mieć wyrzuty sumienia, ale jakoś nie mam. Może to naturalne podczas żałoby. Może uczę się, jak funkcjonować ze swoją nie-śmiercią. A może byłem ostatnio zajęty myślami o pewnej dwudziestotrzyletniej zombie.

- Andy? - pyta Rita, zwalniając, żeby iść równo ze mną, gdy Jerry gania z jednej strony ulicy na drugą, daleko przed nami. - Myślisz czasem o Bogu?

To pierwszy raz podczas naszej trzymiesięcznej znajomości, kiedy Rita pyta mnie o coś wprost. Nawet gdybym mógł mówić, pewnie zacząłbym się jąkać.

Ale że nie mogę mówić, kręcę tylko głową. Byłem właściwie ateistą, zanim zmartwychwstałem, więc nie mogę obwiniać Boga za to, co mnie spotkało. A już na pewno nie zamierzam mu dziękować, bo jeśli o mnie chodzi, to nie jest raczej cud boski.

- Ja o nim myślę - mówi Rita. - Pewnie siedzi sobie w rozkładanym fotelu, popija ambrozię czy miód, czy kufelek guinnessa i ogląda nas na panoramicznym telewizorze, czekając, co z tego wyjdzie. Jakby prowadził jakiś eksperyment.

Po czarnym niebie przetacza się grzmot, jakby w odpowiedzi. Patrząc na Ritę. Włosy ociekają jej wodą, królicze uszy oklapły, ale chyba jej to nie przeszkadza.

- Czasami się zastanawiam, czy cała ta planeta nie jest jednym wielkim eksperymentem, wielkim labiryntem, a my myszami szukającymi sera.

Odwraca się, żeby na mnie popatrzeć, a ja gapię się jak zahipnotyzowany. Jej ciemne oczy w bladej, mokrej twarzy przeszywają mnie na wylot. W rozproszonym świetle latarni stojącej kilkanaście metrów przed nami wygląda niemal eterycznie. Jak nieumarły aniołek „Playboya”.

- Zresztą, pewnie myślisz, że opowiadam bzdury, co? - mówi.

Kręcę głową, trochę zbyt ochoczo, a Rita się śmieje i wciąż patrzy mi w oczy w tym irytującym deszczu, którego już prawie nie zauważam. Kiedy się do mnie uśmiecha, po raz pierwszy od miesięcy mam wrażenie, że moje serce rozświecila blask.

Przed nami Jerry nurkuje szczupakiem za krzak i wpada na słup.

Rita bierze mnie pod rękę.

- Chodź - mówi. - Dogońmy naszego tajnego agenta.

Jerry leży na plecach koło słupa i chwytając deszcz w otwarte usta. Czerwona czapka i diabelskie rogi leżą obok niego na ziemi i moknie mu mózg. Tuż za nim leży żółty znak drogowy z czarną strzałką, ostrzegający przed ostrym zakrętem.

- Całe szczęście, że jestem trupem - mówi Jerry z uśmiechem. - Bo to by bolało jak jasna dupa.

- Nie jesteś trupem - gani go Rita, wyciągając rękę, żeby pomóc mu wstać. - Jesteś nieumarłym.

- Nieistotne - odpowiada Jerry. - Ty żyjesz w swoim świecie, ja w swoim.

Słucham tej ich rozmowy z zazdrością. Chciałbym powiedzieć coś mądrego. Albo dowcipnego. Albo głębokiego. Chcę powiedzieć cokolwiek, byle tylko być uczestnikiem tej rozmowy, a nie milczącym widzem. Nie mogę nawet wyciągnąć tablicy, bo zostawiłem ją w domu. Więc mogę tylko stać i patrzeć. I uśmiechać się, aż mam ochotę wrzeszczeć.

Więc wrzeszczę.

Jerry i Rita patrzą na mnie, wystraszeni i milczący. Przez chwilę wszyscy gapimy się na siebie, a ja czuję się jak niegrzeczne dziecko, które chce zostać skarcone przez rodziców. Nagle Jerry zaczyna się śmiać, co prowokuje do śmiechu i Ritę. Zanim się orientuję, co jest grane, i ja się śmieję. Brzmi to trochę jak kaszel morskiego lwa, ale to mój pierwszy śmiech od ponad trzech miesięcy, i zaczyna mi świtać, że dobrze się bawię.

- Hej! - krzyczy jakiś głos.

Wszyscy troje się odwracamy i widzimy postać idącą w naszą stronę przez pole po drugiej stronie drogi. Z ciemności, za tym kimś, wyłaniają się dwie kolejne ludzkie sylwetki.

Nad naszymi głowami rozlega się grzmot, jak efekt specjalny w horrorze klasy B.

- Zmywajmy się stąd - proponuje Jerry.

- Dobry pomysł - odpowiada Rita. Bierze mnie za rękę i ciągnie z powrotem w stronę wsi.

- Zaraz, stać! - krzyczy nieznajomy.

W pobliżu nie ma żadnych domów. Żadnych barów, restauracji czy biur. Ale też nie są to miejsca, w których moglibyśmy szukać schronienia.

Jesteśmy w połowie drogi na cmentarz. Poza polem, winnicą i opuszczonym kamiennym spichlerzem nie ma tu nic. Tylko pojedyncza latarnia, ciemność i deszcz.

Mężczyzna biegnie, jest już prawie na drodze, a jego koledzy nie zostają w tyle. Krzyczy jeszcze coś, ale jego słowa zagłusza kolejny grzmot.

Jerry pędzi przed nami, powtarzając: „Szybciej, szybciej, szybciej”, jakbyśmy nie wiedzieli, że nie możemy się ociągać. Rita trzyma mnie mocno, ogląda się przez ramię i

próbuję mnie zmusić, żebym z większym wigorem poruszał nogami, ale robię to już tak szybko, jak mogę.

Oglądam się i widzę, że tamten przebiega przez drogę, mniej niż pięćdziesiąt kroków za nami. Jest ubrany w kowbojki, dżinsy i brązową skórzaną kurtkę. Tuż za polem, na łuku drogi, błyskają światła i pojawia się samochód. Zarzuca tyłem, wychodząc szybko z zakrętu.

Słyszac nadjeżdżające auto, mężczyzna odwraca głowę, potyka się i pada na mokry asfalt. Nim udaje mu się pozbierać, samochód uderza w niego z impetem, wyrzucając go w powietrze. Facet leci, wymachując rękami i nogami, pada na pobocze, robi trzy fikołki i wreszcie zatrzymuje się na plecach, niecałe dziesięć kroków od nas.

Samochód, zdezelowany chevrolet nova pełen pijanych licealistów, przejeżdża obok nas, nie zatrzymując się. Chwilę później już go nie ma - jedyne działające tylne światło zniknęło za zakrętem i słychać tylko deszcz na asfalcie i zbliżający się odgłos kroków. Za naszymi plecami bez ostrzeżenia pojawia się Jerry. Oboje podskakujemy, wrzeszczymy i chwytamy się za ręce.

Jerry patrzy na trupa i pyta:

- Umarł?

Trup siada, podpierając się rękami, i potrząsa głową jak pies po kąpieli.

- A skąd. I zamierzam zadbać, żeby tak zostało. Więc może wynośmy się stąd wszyscy, zanim pojawią się inni oddychacze.

I tak oto poznajemy Raya Coopera.

9

Spichlerz przy Old San Jose Road, wysoki prawie na dwa piętra i zbudowany z kamienia, stoi opuszczony od ponad trzydziestu lat. Brakuje mu większości dachu, a dookoła nie ma żadnych innych pozostałości po farmie, która istniała tutaj, zanim wytwórnia win przejęła ziemię po drugiej stronie drogi i posadziła krzewy winorośli na polach dawniej obsiewanych pszenicą. Okrągłe ściany spichlerza pokrywa wyblakłe graffiti, a teren dookoła porastają chwasty.

Ray mieszka w spichlerzu od września, kiedy to żona wykopała go z domu, bo nie mogła znieść smrodu. Jego żona musi być wyjątkowo wrażliwa na zapachy, bo - nie licząc

Rity - Ray to jedyny znany mi zombie, którego nie zdradza charakterystyczny odorek przydrożnej padliny.

- Witajcie w moich skromnych progach - zaprasza z zaśpiewem, który trąci roboczym kombinezonem i krowimi plackami.

Ray wprowadza nas przez tylne drzwi spichlerza. Jerry wchodzi pierwszy, za nim Rita i w końcu ja. Za nami wchodzi dwaj inni zombie, którzy byli z Rayem na polu - Zack i Luke, bliźniacy, którzy zginęli od urazów szyi i głowy, kiedy podpuścili się nawzajem do skoku na główkę z wiaduktu kolejowego do rzeki San Lorenzo. Zrobili to latem, kiedy rzeka miała niecały metr głębokości.

Ich historię opowiedział nam Ray. Zack i Luke rzucili tylko „Dźdobry” na powitanie, a teraz tylko się szczerzą i kiwiają głowami. Są dość straszni. Ale kim ja jestem, żeby ich osądzać?

Siedzimy w środku, a Ray zapala gazową latarnię. Płomień rzuca migotliwe światło. Wewnętrzne ściany - odsunięte o jakieś półtora metra od zewnętrznych - tworzą przestrzenie, w których składowano kiedyś wymłóconą pszenicę. W każdej z czterech wewnętrznych ścian są kwadratowe drzwi, mniej więcej na wysokości ramion, a żelazne drabiny prowadzą na szczyt spichlerza.

Centralne pomieszczenie sięga aż do przedniej ściany, w której są wrota, dość duże, żeby zmieścić samochód. Wrota są zabite od wewnątrz deskami. Poza naszą szóstką, kilkoma kawałkami zwęglonego drewna i starą tenisówką porzuconą w kącie w spichlerzu nie ma nic.

Luke za moimi plecami szepcze coś do Zacka, który zaczyna chichotać.

Deszcz przestał padać, co jest całkiem miłe, jako że brakuje większej części dachu. Jego resztkę osłania tylko jedną z wnek na zboże, którą Ray przekształcił w sypialnię i spiżarnię - są w niej nawet półki zastawione produktami w puszkach, wekami i butelkami budweisera.

To, że jesteśmy nieumarłymi, nie znaczy jeszcze, że nie lubimy podstawowych wygód.

Ray ma też drewno na opał, zapałki i stare numery „Playboya”. Wyciąga parę szczapek, podpałkę i „Playboya”, którego podaje Jerry'emu.

- Wydzieraj tylko artykuły, reklamy i wywiady - mówi. - Gołe zdjęcia zostają.

Gdy Jerry przegląda zawartość „Playboya” i wydziera strony, żeby Ray mógł rozpalić ogień, ja zerkam na Ritę, żeby sprawdzić, czy jej to wszystko nie peszy. Widzę, że i ona przegląda „Playboya” z Charlize Theron na okładce.

Po chwili na środku podłogi trzaska już ogień. Dym ulatuje przez otwarty dach, ale nie

ma raczej ryzyka, żeby jacyś oddychacze zauważyli go w ciemnościach.

- Ktoś jest głodny? - pyta Ray.

Zack i Luke błyskawicznie unoszą sztywne ręce, jak członkowie Hitlerjugend. Rita przytakuje, a ja wyrażam swoją chęć stęknieniem.

- A ty, Jerry? - pyta Ray.

Jerry siedzi po turecku na ziemi koło ogniska, z „Playboyem” na kolanach i stertą kolejnych pod ręką.

- Dzięki - odpowiada, nie podnosząc oczu.

Ray wyciąga ze swojej kanciapy dwa weki, dwa widelce, zapieczętowaną hermetyczną torebkę i pięć butelek budweisera. Jeden ze słoików podaje Ricie, drugi Luke'owi, który porywa go jak napalone dziecko czekoladkę. Odkręca z syknięciem zassaną pokrywkę i po paru sekundach on i Zack na zmianę szuflują już mięso prosto ze słoika.

Siedzę obok Rity, która w świetle ogniska ogląda zawartość weka.

- Co w tym jest?

- Sarnina - wyjaśnia Ray. Otwiera plastikową torebkę i wyciąga kawałek suszonego mięsa. - Kiedyś często polowałem. Nie zawsze legalnie, oczywiście, ale jestem dobrym strzelcem, więc musiałem wekować większość tego, co zabiłem. Zalutuje dziczyznę - mówi - ale jest jeszcze świeże. - Odgryza kawałek suszonego mięsa.

Rita odkręca wieczko, zanurza w słoiku widelec i wyciąga kawałek mięsa. Unosi widelec do nosa, wącha, po czym wkłada mięso do ust.

- Rany - mówi, żując ochoczo. - To jest niezłe. Smakuje jak zwykłe mięso.

- Pokarm bogów - mówi Ray z ustami pełnymi suszonej sarniny. Otwiera sobie butelkę piwa i wypija łyk.

Rita zjada kolejny kawałek, po czym podsuwa mi słoik i podaje widelec. Choć ona stwierdziła już, że to jadalne, waham się, głównie dlatego, że nigdy nie jadłem sarniny, i w ogóle nie przepadam za dziczyznę. A poza tym jakoś trudno mi uwierzyć, że będzie smakować lepiej niż marynowane tofu.

Zack i Luke siedzący po drugiej stronie ogniska skończyli już swoją sarninę i teraz palcami wycierają wnętrze słoika.

- Spróbuj - mówi Rita. - To naprawdę smaczne.

Zwykle nie doszukuję się religijnej symboliki w prostych gestach i niewyjaśnionych wydarzeniach, ale kiedy Rita siedzi tak w kostiumie króliczka „Playboya” i podaje mi tę sarninę, przychodzi mi na myśl Ewa podająca jabłko Adamowi. Z drugiej strony to nie jest raczej Eden. A jeśli istnieje jakiś raj, już dawno by nas z niego wykopali. Więc biorę jabłko.

Rita ma rację. Pierwszy kęs ma w sobie więcej smaku, niż mógłbym się spodziewać, biorąc pod uwagę, że od wypadku nie czuję praktycznie niczego. Drugi kęs smakuje jeszcze lepiej. Zjadam cztery kęsy, kiedy przypominam sobie, że mam się dzielić z Ritą.

- Na pewno nie chcesz, Jerry? - pyta Rita.

- Nie jestem głodny - mówi Jerry. Siedzi kawałek dalej od ogniska, oparty plecami o ścianę, z butelką budweysera i gazową lampą na ziemi obok, i z nosem w rozkładówce.

Kiedy tak jemy sarninę i pijemy piwko, Ray pyta nas, jak to się stało, że się tu znaleźliśmy. Jako że ja nie mam swojej tablicy, a Jerry jest zajęty, Rita opowiada za nas wszystkich. Wyjaśnia, jak umarło każde z nas i że spotykamy się dwa razy w tygodniu w grupie wsparcia. Ray opowiada, że jego życie dobiegło końca podczas polowania, prawie rok wcześniej. Wszedł na teren prywatny i właściciel ziemi stwierdził, że strzelał w obronie własnej.

- Obrona własna, tere-fere - mówi Ray. - Moja strzelba stała oparta o drzewo.

- A co robiłeś, kiedy cię zastrzelił? - chce wiedzieć Rita.

- Odlewałem się. Sukinsyn wpakował mi kulkę, kiedy miałem opuszczone spodnie.

Biorę kolejny kawałek sarniny i mruczę z oburzeniem.

Kiedy kończymy jeść, Luke i Zack już śpią, przytuleni do siebie jak dwa koty, w towarzystwie pustego słoika i dwóch butelek po budweyserze. Jerry wciąż buja w świecie miękkiej pornografii.

- Opowiedzcie coś o tej waszej grupie - mówi Ray, dokładając do ognia polano i otwierając kolejne piwo.

Rita w skrócie opowiada mu o członkach naszej paczki i o celu spotkań. Mówi też, że mamy za zadanie powiększyć nasze grono, przyprawdzając innych ocalałych.

- Ocalałych? - mówi Ray. - Całkiem ładne słówko na określenie „wydymanych”.

- Helen ma zapędy New Age - wyjaśnia Rita. - Chce, żebyśmy czuli się lepiej z samymi sobą i stara się nam w tym pomóc.

Kiwam głową i mówię „właśnie tak”, ale brzmi to jak kichnięcie i beknięcie w jednym.

- No, należy podziwiać osobę, która stara się pomóc innym - mówi Ray. - Ale w ostatecznym rozrachunku każdy musi pomóc sam sobie. Prawda, panie Hefner?

Jerry odrywa szkliste oczy od „Playboya”. Ma uchylone usta i chyba się ślini.

- Nie wstydzę się tego, kim jestem - ciągnie Ray. - I wy też nie powinniście. Chodzi o to, żeby jak najlepiej wykorzystać to, co się ma. A jeśli nie ma się tego, czego się potrzebuje, trzeba to sobie wziąć. Albo znaleźć sposób, żeby stało się nasze.

Zasadniczo Ray mówi to samo, co Helen próbuje nam przekazać od trzech miesięcy, tyle że w jego ustach to wszystko ma jakby większy sens.

- Przyjdziecie na nasze spotkanie? - pyta Rita. - Reszta na pewno chciałaby was poznać.

- No, nie wiem, jak ci dwaj - mówi Ray, wskazując bliźniaków śpiących przy ogniu. - Ja tam nie bardzo wierzę w takie grupy, ale pewnie nie zawadzi wpaść z wizytą.

Rita podaje mu adres i termin. I prosi, żeby przyprowadził bliźniaków. Ray obiecuje, że się postara, i proponuje nam jeszcze po piwku.

- Chyba powinniśmy się zbierać - rzuca Rita, patrząc na zegarek. - Robi się późno.

O północy zaczyna się godzina policyjna dla zombie, która ma zapobiegać zbieraniu się w niekontrolowane większe grupy. Bo poza spotkaniami AN i cmentarzami zombie w ogóle mają zakaz zgromadzeń w miejscach publicznych. Odcięto nam nawet dostęp do cyberprzestrzeni, bo oddychacze nie chcą, żebyśmy surfowali po Internecie. Może się boją, że zaczniemy tworzyć zombiczną pornografię. Albo wciągać naiwnych oddychaczy w internetowe romanse. Albo że stworzymy polityczną społeczność, która będzie lobbować na rzecz zmian w prawie. Choć to możliwe, to już chyba prędzej lobbowałibyśmy na rzecz rozpoczęcia produkcji artykułów higieny osobistej dla zombie.

Rita i ja dziękujemy Rayowi za gościnność, którą okazuje nam jeszcze raz, dając nam po słoiku sarniny na drogę. Jerry wstaje ze stertą „Playboyów” w ramionach i pyta:

- Ziom, mogę zamiast mięcha pożyczyć gazety?

Kiedy wychodzimy, oglądam się na spichlerz i, patrząc, jak niknie w ciemności, czuję, że odkryłem coś, czego mi brakowało. Nie potrafię określić dlaczego, ale po raz pierwszy, od kiedy obudziłem się w tym świecie, który pozbawił mnie człowieczeństwa, czuję się prawie ludzki. Po raz pierwszy czuję, jakbym był coś wart.

I po raz pierwszy czuję, że moje istnienie się liczy.

10

Kiedy budzę się w niedzielny poranek, zauważam, że przytłaczające poczucie niemocy, rezygnacji i monotonii, które definiowało moją egzystencję od trzech i pół miesiąca, zastąpił jakiś niepokój. Podniecenie. Czuję się jak nastolatek, który nie może przestać się wiercić.

- Co tam, mrówki w gaciach? - pytał mnie ojciec w takich chwilach.

Nie wiem nic o mrówkach w gaciach, ale mam wrażenie, że coś pełza mi pod skórą.

A na dodatek rodzice zaprosili znajomych i teraz oglądają mecz przy koktajlach i szaszłykach. Słyszę, jak wszyscy się śmieją i wiwatują na górze, wrzeszczą na telewizor, gdy ja siedzę tutaj, w czterech ścianach piwniczki, z których sęczy się nuda.

Czuję się jak więzień.

Próbuję stłumić ten niepokój oglądaniem powtórek *Niani* i *Aniołków Charliego*. Próbuję go przegonić butelką Chateau Cheval Blanc rocznik 1985. Próbuję go zabić sarniną, którą dał mi Ray. Ale jedyne, co udaje mi się osiągnąć, to odkrycie, że Lifetime Channel, drogie francuskie wino i wekowana dziczyzna nie są dobrymi remediami na mrówki w gaciach.

Muszę wyjść.

Żeby mieć pewność, że nie pojawię się znienacka i nie zrujnuję pierwszego proszonego przyjęcia od czasu, kiedy zamieszkałem w piwniczce, rodzice zamknęli na klucz drzwi u szczytu schodów. Na szczęście piwniczka ma zewnętrzne wyjście na tyłach domu przez drzwi, z których zwykle korzystam. To wygodniejsze, niż korzystanie z frontowego wejścia, i nie ma tu tyłu schodów, ale głównie oszczędza to moim rodzicom wstydu i konieczności tłumaczenia się ze mnie gościom.

Wczorajszy deszcz zostawił po sobie ciemne niebo pełne nasiąkniętych chmur, więc zarzucam na siebie czarną pelerynę z kapturem, biorę swoją tablicę i wymykam się tylnym wyjściem do ogródka, zamykając za sobą drzwi. Przez jedno z okien od tyłu widzę ojca siedzącego w ulubionym fotelu przed telewizorem - z piwem w jednej ręce i garścią chipsów w drugiej - i śmiejącego się w najlepsze z państwem Putnam i państwem Doluca. Matka wchodzi do salonu z tacą drinków.

Wszyscy świetnie się bawią.

Zastanawiam się, czy nie wpaść przez frontowe drzwi i nie zawyc albo nie zaskrzeczeć, żeby popatrzeć sobie na ich miny, ale uznaję, że nie warto prowokować rodzinnej awantury, więc kuśtykając, oddalam się od okna i obchodzę dom z boku, gdzie wąski chodniczek między naszym domem a domem sąsiadów prowadzi do strumyka płynącego płytkim jarem za naszą ulicą. Po drugiej stronie jaru znajdują się zakłady przemysłowe i usługowe, w weekendy zwykle zamknięte. Nie ma nikogo, kto mógłby mi dokuczać. I nikogo, kto usłyszałby mój krzyk, gdyby ktoś postanowił się zabawić moim kosztem.

Zasadniczo samotne spacerowanie nie są najlepszym pomysłem. Helen ciągle nam

powtarza, że w grupie jest bezpieczniej, ale nie chcę żadnego towarzystwa. Chcę się po prostu przejść. I nie uważam, że to jakaś fanaberia. Móc pójść na spacer bez konieczności tłumaczenia się. Bez oglądania się przez ramię.

Noszenie ze sobą tablicy, która służy do komunikacji, ma też swoje plusy - tablica może służyć jako transparent.

Wyciągam tablicę i kładę ją na pniaku po ściętym drzewie. Zastanawiam się chwilę, rozważając różne możliwości, i decyduję się na prosty, jasny przekaz. Czarnym markerem piszę:

Mam

prawo

spacerować.

Po czym zawieszam tablicę na szyi i idę dalej.

Jar jest mokry i błotnisty - spore wyzwanie. Ale udaje mi się przeleźć na drugą stronę i się nie przewrócić, co jest dla mnie nowością. Staję na drugim brzegu, patrzę w dół na dziesięciometrową skarpe i wyobrażam sobie, że himalaiści wspinający się na Mount Everest muszą doświadczać tego samego, stając na szczycie - poczucia głębokiej satysfakcji z tego, co osiągnęli. Ale może nie oceniam swojego osiągnięcia obiektywnie.

Tak jak się spodziewałem, w niedzielę wszystkie firmy są pozamykane - słyszę tylko radio, grające gdzieś *Sweet Home Alabama*. Choć flagi konfederatów i stojaki na broń są w okręgu Santa Cruz rzadkością, uznaję, że lepiej będzie trzymać się z daleka od tego kogoś, kto słucha południowego rock and rolla. Przechodzę na drugą stronę ulicy, mijam Studio Tańca Elaine, i idę dalej uliczką, obok sklepu zoologicznego Pet Pals. Wreszcie zatrzymuję się przed budynkiem, w którym mieścił się kiedyś dom pogrzebowy Berge-Pappas.

Zaglądam przez okno od frontu, kierowany makabryczną ciekawością, jak wygląda kostnica, choć jest zamknięta od lat. Nigdy nie byłem w środku, ale i tak czuję związek z tym miejscem, jakbym był dostrojony do jego energii.

Dużo czasu spędzam, rozmyślając o śmierci.

Nie o Śmierci, Mrocznym Żniwiarzu, czającym się w staroświeckiej, gotyckiej szacie, z tą idiotyczną kosą. Co za pozer. Nie. Myślę o doświadczaniu śmierci, o tym, jak wpływa na umysł i ciało, jak je pożera.

Kiedy serce przestaje pompować krew, tkanki i komórki zostają pozbawione tlenu. Zwiększa się poziom dwutlenku węgla i gromadzą się toksyczne związki, zatruwając

komórki, które zaczynają się rozkładać od wewnątrz. Wreszcie pękają i uwalniają enzymy, które rozchodzą się po całym ciele. Komórki mózgu i wątroby zwykle obumierają jako pierwsze, podczas gdy komórki skóry, pobrane od zmarłego dwadzieścia cztery godziny po śmierci, wciąż potrafią rosnąć jako laboratoryjna kultura.

Mam mnóstwo czasu na myślenie.

Może nie mogę przestać myśleć o śmierci, bo mam to na liście rzeczy do zrobienia.

Wykąpać się w domestosie.

Obejrzeć *Zabijanie na śniadanie* na TNT.

Pomyśleć o śmierci.

Rozkład ludzkiego ciała na powietrzu zachodzi mniej więcej dwa razy szybciej niż w wodzie i cztery razy szybciej, niż kiedy ciało jest pochowane. Zwłoki zwykle wytrzymują dłużej, kiedy są zakopane głębiej, oczywiście jeśli gleba nie jest przesiąknięta wodą. Zwłoki zostawione na powierzchni zwykle są szybko zjadane przez zwierzęta i owady - larwy much, żuki, mrówki i osy. W klimacie tropikalnym ciało może stać się jednym kłębowiskiem larw w mniej niż dwadzieścia cztery godziny.

Takie właśnie pocieszające myśli pomagają mi się zrelaksować, kiedy mam problemy z zaśnięciem.

Może ciągle myślę o śmierci, bo zostałem z niej wymanewrowany. Moja żona wygrała luksusową wycieczkę, fundowaną przez Biuro Podróży Charon, a ja zostałem pod bramą z całym bagażem. Tyle że nie mam żadnego bagażu. Nic, co miałem za życia, nie poszło ze mną. Żadnych walizek. Żadnych pamiątek. Żadnych osobistych rzeczy. Nic, z wyjątkiem garnituru, który miałem na sobie, kiedy wyszedłem z chłodni. Wszystko, co mieliśmy, wszystkie materialne rzeczy, które łączyły mnie za życia z Rachel i Annie, zostały przywłaszczone, sprzedane, darowane albo wyrzucone. Czasami mam wrażenie, jakby Annie i Rachel w ogóle nie istniały poza moją głową.

Helen zawsze powtarza nam, że nie warto rozmyślać o przeszłości, że trzeba pogodzić się z utratą życia, jakie znaliśmy, i całego towarzyszącego mu bagażu. I choć przyznaję, że grupa pomogła mi przestać uważać się nad sobą, nie zmienia to faktu, że tęsknię za żoną i córką. Nawet jeśli moje serce przestało bić, wciąż boli.

Odwracając się, by odejść spod kostnicy, zauważam w szybie swoje odbicie. Staram się trzymać z daleka od luster i innych gładkich powierzchni, które odbijają przedmioty. Wystarczająco trudno jest borykać się z utratą wszystkiego i bez przypominania sobie, jak wyglądam. Ale teraz... Może to przez niewyraźne odbicie, może przez miękkie światło, a może przez to, co powiedział Ray - że nie powinniśmy się wstydzić tego, czym jesteśmy - ale

dzisiaj moje rany i szwy nie wyglądają tak przerażająco.

Przepełniony pewnością siebie, jakiej nie czułem od miesięcy, idę na Soquel Drive, przechodzę przez jezdnię i wlokę się poboczem w stronę centrum wsi. Tą samą drogą chodzę do domu kultury, ale teraz idę tędy w burym świetle pochmurnego przedpołudnia, a nie w wieczornym półmroku, i jestem sam - wlokę się, przygarbiony, jak wszystkie zombie znane z telewizji, w czarnej przeciwdeszczowej pelerynie i z buntowniczą tablicą na piersi. Nawet w kapturze na głowie rzucam się w oczy jak wegetarianin w teksaskim barze z hamburgerami.

Mijają niecałe dwie minuty, a już zaczynają na mnie trąbić samochody. Po chwili dołączają krzyki i obelgi. Muszę przyznać, że niektóre komentarze są nawet pomysłowe.

- Hej, zombie, o tej porze roku wszystko gnije.

- Dzwonił George Romero, nie dostałeś tej roli.

Ale większość z tego, co słyszę, to zwykłe, rynsztokowe bluzgi i najbardziej prymitywne, najprostsze obelgi.

- Zombie do domu.

- Trupy śmierdzą.

I moje ulubione:

- Wsadź se! (któremu towarzyszy wystawiony środkowy palec).

Jestem ciekaw, ilu z tych ludzi chodzi do kościoła.

Nie wszyscy oddychacze są dla nas wredni, ale czasami wstyd mi, kiedy myślę, że byłem jednym z nich.

Mimo tych nieprzyjemności coś gna mnie w stronę wsi. Nie wiem, co mnie tak ośmieliło: czy ten niepokój, który czuję od paru dni, czy słuszność walki o to, w co wierzę, czy tablica na szyi, ale poddaję się temu impulsowi. Jakby nic innego się nie liczyło.

Mija mnie czarny nissan sentra; jakaś kobieta wychyla się z okna i nazywa mnie straszylłem. Srebrny dodge plymouth zwalnia, żeby czarny koleś z dreadami i kozią bródką mógł mnie opluć. Dzieciak na tylnym siedzeniu białego bmw rzuca niedojedzoną kanapkę, która trafia mnie w pierś, rozmazując tuńczyka i majonez na mojej tablicy i pelerynie. Kiedy samochód mnie mija, słyszę śmiech dzieciaka i pochwałę matki;

- Masz cela, Steven.

Za spożywczym Safeway i pizzerią Round Table droga schodzi łagodnym łukiem do Soquel. Kiedy docieram do tablicy „Soquel - rok założenia 1852”, mam już na sobie kawę, sałatkę ziemniaczaną, surowe jajka, sok pomarańczowy i zawartość wiaderka z KFC. W oryginalnej panierce.

Nie wszyscy zombie są narażeni na takie upokorzenia. Ale i tak wielu się z nimi

spotyka. Niektórzy mają nawet gorzej. Ja jestem wzorcem zombie. Takim zombie z plakatu, kiedy kuśtykam, wlokąc za sobą nogę, z patchworkiem szwów i ran na twarzy. Równie dobrze mógłbym mieć na plecach kartkę z napisem „Dokopcie mi”.

Mijam oficjalną granicę wsi i pobocze zmienia się w chodnik, a po obu stronach drogi, która jest teraz ulicą, pojawiają się sklepy. Zatrzymuję się przed witryną antykwariatu, zamkniętego w niedzielę. W szybie znów widzę moje odbicie, częściowo zasłonięte ozdobną nazwą sklepu, ale wystarczająco wyraźne, bym wiedział, jak wyglądam, upačkany jedzeniem. Zastanawiam się, co ja u diabła wyprawiam.

To nie jest moje miejsce. Nie jestem oddychaczem. Świat żywych nie jest już moim światem, choćbym nie wiadomo jak go pragnął, tęsknił i wyobrażał sobie, że mogę po nim chodzić bez nieprzyjemnych konsekwencji. A nie chcę konsekwencji. Chcę spokoju i trochę miejsca dla siebie - być tym, kim chcę być, i robić to, co chcę robić. Ale mi nie wolno. Jestem nieczłowiekiem, straszylem bez duszy. Równie dobrze mógłbym nie istnieć.

Stoję, wpatrując się w swoje odbicie, i dociera do mnie, że przyjscie tutaj było błędem. Cokolwiek mnie tu przygnało, już znikło. Teraz chcę tylko wrócić do domu, zanim ludzie zaczną rzucać we mnie czymś, co wyrządzi więcej szkód niż wiaderko z KFC.

Już mam się odwrócić i iść z powrotem do domu, gdy obok mojego odbicia pojawia się inne. Zamieram na sekundę, zdumiony tym rozwojem wydarzeń, którego się nie spodziewałem. Nie wiem, co robić. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to to, że się cieszę, że wyszedłem na spacer.

To drugie odbicie uśmiecha się do mnie, przeciąga palcem po mojej pelerynie, wsadza go do ust i mówi:

- Za mało słone.

Moje odbicie się uśmiecha, a potem odwraca się, kiedy staję przodem do Rity.

Ma na sobie ciemnoniebieski sweter w serek, założony na czarny podkoszulek, a do tego dzinsy i czarne botki. Jej wargi są różowe, w odcieniu juicy pink. Wyglądają jak pokryte gumą balonową.

Rita nie ma apaszki. Ani rękawiczek. Szwy na jej gardle i nadgarstkach są odsłonięte - czarne na tle bladej skóry. I każdy może je zobaczyć. Wygląda olśniewająco.

Uśmiechamy się do siebie, nic nie mówiąc. Czy raczej Rita się nie odzywa, a ja nie chrząkam i nie stękam. Ale czujemy, że przyszedliśmy tutaj, bo oboje wpadliśmy na ten sam niezrozumiały pomysł. Dlaczego akurat my? Dlaczego dzisiaj? To nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, że dotarliśmy tak daleko. I że się nie boimy.

Rita bierze mnie za rękę i prowadzi dalej, w głąb wsi. Na mojej twarzy widnieje

szeroki uśmiech. Zupełnie jakbym był na pierwszej randce i nie wierzył, że to się dzieje naprawdę. Jestem zdenerwowany i podekscytowany i czuję pewność siebie, jakiej nie czułem, od kiedy umarłem. Rozpiera mnie radość. Uśmiecham się. Zerkam na Ritę i widzę, że ona też się uśmiecha.

Wciąż milcząc, idziemy ulicą, dyskretnie, nie robiąc nic ostentacyjnego, a jednak ściągamy ludzkie spojrzenia jak magnes. Jakbyśmy szli po czerwonym dywanie na oscarowej gali, tyle że nie do końca wyglądamy jak Katie Holmes i Tom Cruise.

Zamiast aplauzu dobiegają nas krzyki zaskoczenia i przerażenia. Obelgi wybuchają jak flesze. Ktoś rzuca styropianowy kubek, ochlapując mnie piwem imbirowym. Ktoś inny rzuca paczka z galaretką. Jakiś przechodzień rozmawia przez komórkę, wzywając policję. W oddali słyszę syreny, coraz głośniejsze. Po chwili furgonetka Policji dla Zwierząt wyjeżdża z piskiem opon zza rogu i pędzi w naszą stronę.

To najpiękniejszy dzień mojej egzystencji.

11

Wszyscy zombie muszą się rejestrować w Okręgowym Wydziale Rezurekcji, gdzie zostaje nam przyznany numer identyfikacyjny. Dowód rejestracyjny. Jak dla samochodu. Na moim dowodzie jest moje nazwisko, adres, telefon i numer: 1037. Oznacza, że jestem tysiąc trzydziestym siódmym nieumarłym w okręgu Santa Cruz, któremu wydano licencję.

Zwykle plakietkę identyfikacyjną nosi się na łańcuszku, jak wojskowe nieśmiertelniki czy psi numerki, co z pewnością obraża zarówno personel wojskowy, jak i psy. Niektórzy zombie noszą bransoletki z numerem, a znów inni, o anarchistycznych zapędach, nie noszą identyfikatora wcale. Bo oprócz tego, że plakietka pozwala wygodnie zidentyfikować zombie i odstawić go do domu, pozwala też łatwiej namierzyć rozrabiaków. A nie każdy zombie chce zostać namierzony. Nie każdy zombie ma dom, do którego może wrócić. Nie każdy zombie ma rodziców tak wyrozumiałych jak moi.

- Dwieście dolarów! - krzyczy ojciec za kierownicą, wioząc do domu matkę i mnie. Twarz ma czerwoną z wściekłości. - Dwieście dolarów!

Właśnie tyle kosztowało wykupienie mnie ze schroniska TPO.

Mój pierwszy pobyt w schronisku był gratisowy, jako że zmartwychwstałem bez

wiedzy rodziców. Ale każda kolejna wizyta wiąże się z wpłatą kaucji, która idzie na pokrycie kosztów zapewnienia schronienia i podwózki przez PDZ. Łącznie z podatkiem i napiwkami.

- Masz pojęcie, jakiego wstydu mi dzisiaj narobiłeś? - mówi ojciec, zerkając na mnie we wstecznym lusterku i zatrzymując się na czerwonym świetle. - Pomyślałeś o tym, zanim wyszedłeś z domu?

- Nie sędzę, żeby Andy chciał nam narobić wstydu, Harry - mówi matka, odwracając się na przednim siedzeniu, żeby na mnie popatrzeć. Uśmiecha się jak mamuska z sitcomu z lat pięćdziesiątych. - Prawda, skarbie?

Szczerze mówiąc, nie znam odpowiedzi. Może w głębi duszy chciałem zawstydić ojca. Od kiedy wróciłem do domu, wiecznie mnie tylko potępia. Nie okazuje żadnego wsparcia. Żadnego współczucia. Ojcowskiej miłości. Może jestem jak ignorowane dziecko, które domaga się uwagi, tyle że zamiast wrzeszczeć, daję się złapać PDZ i wrzucić do klatki w schronisku.

Niewiele brakuje, żebym kiwnął głową w odpowiedzi na pytanie matki, ale w końcu zaprzeczam i się uśmiecham. W moim uśmiechu musi być coś niepokojącego czy psotnego, bo matka sama przestaje się uśmiechać i, zestresowana, odwraca się, patrząc na ruch na skrzyżowaniu.

Siedzący w samochodzie obok mały chłopiec gapi się na mnie przez szybę, z szeroko otwartymi oczami i buzią. Pokazuję mu język i dzieciak zaczyna wrzeszczeć.

- A w ogóle co ty robiłeś we wsi, do diabła? - pyta ojciec, dodając gazu, bo zapaliło się zielone.

Moja tablica leży na siedzeniu obok mnie. Kładę ją na kolanach, wydaję marker, piszę „Spacerowałem” i odwracam tablicę do rodziców.

- Spacerowałeś? - mówi ojciec. - Nie możesz sobie spacerować, kiedy ci się zachce. I jeszcze w niedzielę. Jezu Chryste, ależ tu śmierdzi.

- Harry, nie bądź dla niego taki surowy - mówi matka. - Miał ciężki dzień.

- Nie obchodzi mnie to - odpowiada ojciec, opuszczając szybę. - To mu nie daje prawa łązić po wsi i narażać nas na koszt. Chyba że chce zostać odesłany do ośrodka badawczego.

Ojciec grozi, że się mnie pozbędzie, od kiedy wróciłem do domu.

- Może po prostu się nudził - broni mnie matka. - Ostatecznie spędza większość czasu zamknięty w piwniczce i tylko ogląda telewizję. Ja też bym się znudziła.

- Trudno - odpowiada ojciec. - Ma swoje miejsce w społeczeństwie i lepiej, żeby się z tym pogodził, jeśli chce zostać w moim domu.

Bardzo często rodzice dyskutują o mnie, jakbym siedział w innym pokoju. Ale dzisiaj

mnie to nie irytuje i nie budzi we mnie chęci, żeby wymachiwać zdrową ręką i wrzeszczeć. Wciąż jestem na haju po przygodzie z Ritą. Schwytali nas we wnyki przy akompaniamencie obelg i pogardliwych uwag. Wciąż słyszę śmiech Rity, kiedy ładowali nas do furgonetki. Ten śmiech nie był nerwowy ani pogardliwy, ale radosny i wolny - tak samo śmieje się człowiek na kolejce górskiej, kiedy zapomina o strachu i zdaje sobie sprawę, że o wiele zabawniej jest cieszyć się przejażdżką.

W schronisku Rita i ja dostaliśmy oddzielne klatki, naprzeciw siebie. Trochę jak Charlton Heston i Linda Harrison w oryginalnej *Planecie małp*. Kiedy staliśmy przy kratkach, trzymając się prętów, przyciskając twarze do metalu i uśmiechając się w milczeniu, niemal spodziewałem się, że przyjdzie goryl w mundurze i zacznie tłuc w pręty, żeby przegonić nas w głąb klatek.

Matka Rity przyjechała po nią bardzo szybko. Przed odjazdem Rita podeszła do mojej klatki i zapytała, czy wszystko u mnie w porządku. A potem przywołała mnie gestem, oparła się o kratę i pocałowała mnie w usta.

- Do zobaczenia, Andy - powiedziała i wyszła stamtąd jak bogini.

Kiedy uśmiecham się na to wspomnienie, mój uśmiech nie jest już psotny ani złośliwy. Ale ani mama, ani tata tego nie zauważają. Są zbyt zajęci mówieniem o mnie w trzeciej osobie.

12

Trzydzieści dwa... trzydzieści trzy... trzydzieści cztery...

Siedzę w gabinecie mojego terapeuty i znów patrzę, jak czerwone cyferki na zegarze odmierzają ciszę sekunda po sekundzie. Minęło prawie pięć minut, od kiedy usiadłem w fotelu, a Ted siedzi za moim prawym ramieniem, stuka długopisem w notes i robi delikatne miny. Ma mniej zmarszczek niż ostatnim razem, co oznacza, że znów zrobił sobie zastrzyki z botoksu.

Odświeżacz powietrza w kącie wydaje syk, wypuszczając liliowy powiew do pokoju.

- Jak się dzisiaj czujesz, Andrew?

Zastanawiam się przez chwilę i piszę odpowiedź na tablicy:

„Niespokojny”.

Mijają kolejne dwie minuty. Mam nadzieję, że nie będziemy tak siedzieć do końca sesji. Bo mogłem zostać w domu i oglądać *Mystic Pizza* na FX.

...siedemnaście... osiemnaście... dziewiętnaście...

Wiem przynajmniej, że Ted robi notatki. Chyba że wyraża na piśmie własny niepokój. Ostatecznie siedzi w gabinecie sam na sam z zombie.

- Może powinniśmy zgłębić źródło tego twojego niepokoju - mówi.

Wzdycham. Nie potrzeba wielkiego zgłębiania, by ustalić, że ktoś, kto został wyrzutkiem społecznym i spędza całe dni, oglądając kablówkę, pijąc wino i tęskniąc za swobodami, które zostały mu odebrane w majestacie prawa, może się czasem czuć niespokojny. Zrobiłem, co w mojej mocy, żeby się pogodzić ze swoją sytuacją i wszelkimi trudnościami, jakie się z nią wiążą. Jedno z ulubionych powiedzonek Helen brzmi: „Zaakceptuj swoją rzeczywistość”.

Więc próbuję. Ale od Halloween coraz trudniej mi ją akceptować. Myślałem, że to uczucie minie, ale wręcz przeciwnie, stało się jeszcze bardziej wyraziste. Przez ostatnie kilka dni wypuszczałem się na spacer, kiedy rodzice już spali, przechodziłem przez jar i ledwie zdążyłem do piwniczki przed godziną policyjną. Zupełnie jakbym czegoś szukał i nie mógł zgadnąć czego.

Teoretycznie właśnie w tym powinien pomagać terapeuta - w zrozumieniu siebie i własnych zachowań. Motywów działania. Pragnień. Ale myślę, że większość oddychaczy, którzy potrzebują tego rodzaju pomocy, nie ląduje w gabinecie sztucznie zakonserwowanego, narcystycznego terapeuty, którego pomysłem na rozwój osobisty jest chirurgia plastyczna.

Ted znów stuka długopisem w notes i robi miny. Jeszcze przez chwilę patrzę na cyfrowy zegar - na sekundy odmierzające minuty, na minuty pożerające godzinę - i zastanawiam się, czy Ted w ogóle zabierze się do zgłębiania źródła mojego niepokoju.

- Jak wyglądało twoje dzieciństwo? - pyta.

Przewracam oczami i zastanawiam się, ilu pacjentów Teda popełniło samobójstwo.

Rozważam udzielenie mu odpowiedzi na odczepne, jakiegoś nijakiego i zdawkowego „Okej” czy „Zwyczajnie”. Bo takie było. Tata pracował. Mama sprzątała dom i gotowała posiłki. Andy chodził do szkoły, uprawiał sport i sprawiał wymagane minimum kłopotów. Nic spektakularnego. Nic katastroficznego. Nic straszego. Ale zamiast trzymać się scenariusza, piszę:

„Byłem maltretowany”.

- Naprawdę? - pyta Ted.

Nie, nie naprawdę. Ale dlaczego nie?

- To było molestowanie czy znęcanie się psychiczne? - pyta.

„Jedno i drugie”.

Ted notuje coś i znów zaczyna stukać długopisem.

Odświeżacz powietrza wypuszcza kolejną chmurkę liliowego zapachu. Ja osobiście wolałbym lawendę. A może gardenię.

- Jak ci się teraz mieszka z rodzicami? - pyta Ted.

„Cudownie”.

- Cudownie? - dziwi się i marszczy brew.

Trudno mi zachować powagę, ale chyba nigdy nie miałem takiego ubawu z oddychaczem.

- Nie ma żadnej wrogości czy niechęci?

„Ani odrobinę” - piszę.

- Fascynujące - mówi Ted, robiąc kolejne bezużyteczne notatki.

...czterdzieści dwa... czterdzieści trzy... czterdzieści cztery...

- A jak ty i twoi rodzice spędzacie razem czas? - pyta.

„Gramy w chińczyka”.

- W chińczyka? - mówi takim tonem, jakby nigdy nie słyszał o takiej grze. - Grasz z rodzicami w chińczyka?

„I w twistera”.

13

Pierwszy piątkowy wieczór każdego miesiąca to swego rodzaju towarzyskie wydarzenie dla naszej grupy. Wycieczka w plener.

Jerry nazywa ją Śmiertelnym Tournee.

Spotykamy się na którymś z cmentarzy, żeby złożyć hołd krewnemu czy przyjacielowi któregoś członka grupy i przypomnieć sobie, że choć sami już nie żyjemy, to nie jesteśmy też martwi. To ma nam pomóc docenić szansę, jaką dostaliśmy, by jakoś kreatywnie wykorzystać naszą egzystencję. Ma nam pomóc zdać sobie sprawę, jacy jesteśmy wyjątkowi. Jak dla mnie, to tylko przypomnienie, że nie mam życia towarzyskiego. A może śmierci towarzyskiej? Czy nieśmierci towarzyskiej? Wszystko jedno. Czuję się mniej więcej tak wyjątkowy jak majonez.

Dzisiaj spotykamy się na cmentarzu Oakwood Memorial, który znajduje się naprzeciw Szpitala Dominikańskiego. To musi bardzo podnosić chorych na duchu. Jestem ciekaw, czy umierających pacjentów i tych w podeszłym wieku umieszczają w południowym skrzydle, z oknami na cmentarz, żeby mogli się przyzwyczajać do widoku.

Do nowiu brakuje ledwie paru dni, więc cmentarz jest pogrążony w niemal kompletnych ciemnościach - odrobina nastrojowego światła dociera tylko ze szpitalnego parkingu. Zombie zasadniczo nie widzą najlepiej, przez co łażenie po cmentarzu w nocy jest dość ekstremalną przygodą. Nawet jeśli za życia miałeś doskonały wzrok, to po zmartwychwstaniu zaczyna się on pogarszać niemal natychmiast. Im dłużej jesteś nieumarłym, tym gorzej widzisz. Zombie, którzy są nieumarłymi przez dłuższy czas, często noszą okulary.

Tom, idący przed nami, potyka się i ze stęknieniem pada na nagrobek.

Może głupio myślę, ale banda żywych trupów, płacząca się w piątek po dziesiątej wieczorem po cmentarzu to nie jest najlepszy sposób na przełamywanie stereotypów.

Choć niektóre zachodnioafrykańskie i karaibskie kultury wierzą, że zombie powstają na skutek zaklęcia wudu albo przez zarażenie wirusem, to większość ludzi uważa nas za mięsożerne potwory. Stereotyp ten podtrzymują hollywoodzkie filmy i autorzy horrorów, którzy nie pomagają nam raczej w naszej beznadziejnej walce o zmianę publicznego wizerunku. Ale też z drugiej strony, trudno wynająć dobrego publicystę, kiedy nie dysponuje się budżetem dorównującym forsie Twentieth Century Fox czy wydawnictwa Random House. I kiedy większość publicystów myśli, że będziemy chcieli wyżreć im mózg.

Jeśli chcecie znać moje zdanie, to media są głównym winowajcą w podsycaniu niechęci do zombie. Przy tylu kanałach z całodobowymi wiadomościami i przy publiczności, która woli sensacyjne i przerażające newsy od tych zwyczajnych i podnoszących na duchu, zombie mają więcej złej prasy niż prezydent, kongres i O. J. Simpson razem wzięci.

Za każdym razem, kiedy zombie zrobi coś złego - nawet jeśli został sprowokowany do ataku - historia trafia do ogólnokrajowych wiadomości i jest wałkowana w nieskończoność, wypełniając eter opiniami i relacjami naocznych świadków oraz nawoływaniami do masowej eksterminacji. Zamiast kręcić reportaże o nieumarłych organizujących spotkania AN, zbiórki zabawek czy kiermasze wypieków, media skupiają się na marginesie naszej populacji, podsycając lęk swoimi mylącymi doniesieniami. Przecież to, że niektóre kobiety nie potrafią prowadzić, nie oznacza, że wszystkie są złymi kierowcami. Okej. Zły przykład. Ale wiecie, o co mi chodzi. Oddychacze wierzą w to, w co chcą wierzyć, nie zważając na fakty.

A oto inne popularyzowane przez media mity na temat zombie:

Poruszamy się powoli.
Mamy niemal zerową inteligencję.
Widzimy impulsy elektromagnetyczne.
Dysponujemy nadludzką siłą.
Jesteśmy spokrewnieni z wampirami.
Głuchniemy po kilku tygodniach od zmartwychwstania.

I chociaż nasze nerwy węchowe wciąż funkcjonują, to wbrew popularnym wierzeniom nie jesteśmy w stanie wyczuć oddychaczy z kilku kilometrów.

Jedną z niewielu cech, którą media przedstawiają zgodnie z prawdą, jest niemożność odczuwania fizycznego bólu. Ale nasze uczucia wciąż można boleśnie zranić.

- Jesteśmy - oznajmia Tom, kiedy docieramy do grobu jego siostry, zagryzionej na śmierć przez pitbuila. To chyba rodzinna przypadłość.

Stajemy w kółku.

- To jest Donna - mówi Tom. - Donno, to moi koledzy.

Wszyscy mruczą:

- Cześć, Donna!

A Jerry dodaje:

- Jak leci?

Ja tylko macham.

- Ile lat miała twoja siostra, kiedy zginęła? - pyta Naomi, zapalając papierosa.

- Zaledwie czternaście - odpowiada Tom. W świetle zapalniczki Naomi dziura pod jego lewym okiem wygląda jak czarne, szpecące znamię. - To przez nią zostałem trenerem psów. Pomyślałem, że może uda mi się zapobiec podobnej tragedii, żeby nie spotkała kogoś innego.

- Uups - mówi Carl.

Jerry prycha, Rita chichocze. Ich śmiech jest zaraźliwy. Nie mogę się nie uśmiechnąć.

Dzisiaj Rita ma na sobie czarną spódnicę do kostek, czarny kardigan i biały golf, zaledwie o ton jaśniejszy od jej skóry. W ciemności wydaje się niemal, że pod kardiganem jest naga.

To nasze pierwsze spotkanie od niedzielnego spaceru i pocałunku na pożegnanie w schronisku TPO. Czuję się trochę skrępowany. Nie bardzo wiem, jak się zachować i co burknąć. A na dodatek mam poczucie winy. Cmentarz przypomina mi o Rachel. Nie są to okoliczności, w jakich chciałbym wspominać moją żonę, ale nic nie poradzę. Ale kiedy Rita

spogląda na mnie i się uśmiecha, poczucie winy rozplywa się bez śladu.

Kiedy już mamy z głowy hołd dla siostry Toma, idziemy na grób matki Helen. Tom znów się potyka i wywraca na kolejny nagrobek, rozrywając sobie szwy na prawym barku. Teraz jego prawa ręka dynda jak szmaciana. Jerry i Rita nie mogą przestać się śmiać. Z trudem opanowują chichot, kiedy Helen prosi nas o chwilę ciszy dla uczczenia jej matki, która zmarła na zawał serca, siedząc na toalecie w domu towarowym Macy's.

Po odwiedzinach u matki Helen przez następne czterdzieści pięć minut odwiedzamy groby świeżo zmarłych, nie po to, żeby złożyć im hołd, ale sprawdzić, czy wciąż są zmarłymi.

Rozumie się samo przez się, że niektórzy nieumarli budzą się już po pogrzebie, więc jednym z celów naszego Śmiertelnego Tournee jest odnajdywanie tych świeżo złożonych na spoczynek i nasłuchiwanie wszelkich odgłosów, które mogłyby świadczyć, że nie spoczywają w spokoju. Takich jak walenie, wrzaski, płacz i histeryczny śmiech.

Nie zawsze łatwo je usłyszeć, biorąc pod uwagę, że izoluje je półtorametrowa warstwa ziemi albo trzydziestocentymetrowa ściana z marmuru i betonu. Nie wspominając już o solidnej trumnie. Ale jesteśmy nieumarłymi i nadajemy na tej samej długości fal, co pozwala nam usłyszeć to wszystko, co żywi wolą ignorować.

Oddychacze zwykle nie są tak wyczuleni na nieumarłych, więc nie słyszą ich krzyków o pomoc. A nawet gdyby słyszeli, raczej niczego by nie zrobili. Ekshumacja zwłok kosztuje mnóstwo pieniędzy. Nie wspominając już o zamieszaniu, wstydzie i potępieniu, kiedy sprowadza się nieumarłego w swoje życie.

Nie znajdujemy żadnych pochowanych nieumarłych, w czym nie ma nic dziwnego. Przeciętnie co roku zmartwychwstaje jeden na dwieście trupów. W okręgu Santa Cruz umiera trochę ponad cztery tysiące trzysta osób rocznie, co daje jakieś dwa tuziny zombie. Większość z nich zmartwychwstaje przed pogrzebem. Od czasu do czasu nawet w trakcie.

Tak właśnie było z Jerrym.

Jego kumpel nakręcił wszystko na wideo i sprzedał do programu *Najzabawniejsi zombie świata*. Jerry nagrał ten odcinek i przyniósł taśmę na jedno ze spotkań, żeby wszyscy mogli sobie obejrzeć.

Był to typowy pogrzeb. Ojciec stoi na podium, przemawia z powagą, głosem stłumionym przez emocje. Słysząc płaczących ludzi. Trumna, otoczona zdjęciami, zamknięta i zasypana kwiatami. I nagle jeden z wieńców zsuwa się z niej, wieko otwiera się powoli, słysząc piski i wrzaski, przewracane krzesła, przed kamerą przemykają przerażone, rozmazane twarze, ojciec cofa się z podium i potyka, krzycząc „Dobry Boże!” I nagle Jerry siada w trumnie, wyciąga watę spod powiek i rozgląda się po sali, mrugając.

Kamera robi zbliżenie i kadr wypełnia Jerry, ze zdartymi policzkami, z głową owiniętą gazą. W tle słychać wycie ojca. Jerry mruga i kręci głową, jeszcze raz rozgląda się dookoła, patrzy na trumnę. I nagle spogląda prosto w obiektyw i mówi:

- Ziom, to moja kamera?

Jako że trumna podczas pogrzebu miała być zamknięta, balsamista darował sobie zszywanie ust Jerry'ego. Żałuję, że ja nie miałem takiego farta. Mój balsamista był pedantem. Co do joty trzymał się podręcznika. We wszystkie otwory ciała upchał mi watę nasączoną antybakteryjnym żelem i ubrał mnie w obcisły, plastikowy kombinezon, żeby zapobiec wyciekaniu płynów. Piekielnie się namęczyłem, żeby zdjąć to cholerstwo.

- Okej - mówi Helen, kiedy już stoimy wszyscy za główną kaplicą. - Chciałabym, żeby następne dziesięć minut każde z was spędziło samo. Opróżnijcie umysły ze wszystkich negatywnych myśli, ze wszystkich odgórných założeń, kim jesteście, i połączcie się z uniwersum. Pozwólcie myślom odpłynąć. Nie zmuszajcie się do niczego. Pozwólcie sobie poczuć tę chwilę i po prostu trwajcie.

Czasami zastanawiam się, ile kwasów wzięła matka Helen, kiedy była z nią w ciąży.

Każde z nas oddała się w innym kierunku, a Helen zostaje przy kaplicy, pilnując nas jak świetliczanka podczas przerwy obiadowej. Po chwili wszyscy nikną w ciemności. Widzę tylko ogień papierosa Naomi, płynący gdzieś z mojej prawej.

Próbuję iść za radą Helen, skupić się na niczym. Próbuję oczyścić umysł. Nie wychodzi. Mogę myśleć tylko o Ricie i Rachel. Rachel i Ricie. O tej, która dzieliła ze mną szmat życia, i o tej, która dzieliła ze mną dziesięć minut w furgonetce PDZ. Jedna pachniała lawendowym mydłem i perfumami White Linen, druga leciutko zalutuje gnijącym ciałem. Rachel jest martwa i sztywna, Rita - nieumarła i całkiem sexy. Nie sądziłem, że kiedykolwiek będę miał takie dylematy.

Choć wciąż czuję więź z Rachel i wciąż chwilami przytłacza mnie rozpacz, to zdaję sobie również sprawę, że rozdzieliło nas coś więcej niż śmierć. Teraz rozdziela nas kultura. Klasa. Przepaść, która otwiera się między żywymi a nieumarłymi. Nawet gdyby Rachel przeżyła, nie moglibyśmy pozostać parą. Pomijając już nawet kwestie wychowania córki, oddychacze zwykle nie pozostają ze swoimi nieumarłymi małżonkami. Rachel zginęła i jest łatwiej. Niczyje uczucia nie zostają zranione. Nie trzeba dokonywać żadnego wyboru.

Tyle że to ostatnie to nie do końca prawda. Ja muszę dokonać wyboru. Moja żona jest martwa i pochowana pod ziemią, a Rita jest tutaj, nieumarła i pod ręką. Jest jedną z naszych. A ja, jako nieumarły, mam dość ograniczone możliwości romansowania. Nie byłem nigdy na wieczorku dla samotnych zombie, ale słyszałem, że to istny bufet dla robali.

Czasami, nocą, kiedy nie mogę zasnąć, wciąż słyszę głos matki, drżący i piskliwy, kiedy stała u szczytu schodów do piwniczki, zakrywając rękami nos i usta, tego dnia, kiedy przywieźli mnie do domu.

- Czego... czego ci potrzeba, Andy?

Potrzeba mi mojego życia, ot co. Potrzeba mi wszystkiego, co kiedyś miałem i co zostało mi odebrane. Wszystkiego, czego nie wolno mi już robić. Ale przede wszystkim potrzeba mi kogoś, z kim mógłbym dzielić tę egzystencję. Kogoś, kto mnie zrozumie. Kogoś, kto mnie przytuli i pocieszy późną nocą, kiedy pustka i rozpacz otaczają mnie jak ściany trumny. Kogoś takiego jak Rita.

Nie mam czasu dłużej szukać usprawiedliwień dla własnego zainteresowania kimś innym niż zmarła żona, bo nagle słyszę kobiecy krzyk.

Kiedy krzyczy oddychacz, biorą w tym udział właściwie tylko tchawica i płuca. Nie ma w tym pierwotnej siły. Taki krzyk brzmi jak gwizd czajnika, w którym kończy się para. Za to krzyk zombie brzmi jak godowy zew szopa pracza - gdyby ów szop był na cracku i ważył siedemdziesiąt kilo.

To jest krzyk zombie.

Dobiega gdzieś z przodu, trochę z lewej. Kilka minut wcześniej widziałem papierosa Naomi po prawej, a Helen została przy kaplicy, więc to musi być Rita.

Kolejny krzyk, odgłosy szamotaniny i śmiechy oddychaczy, a potem głos Toma, głośny i władczy:

- Hej! Zostawcie ją w spokoju.

Idę w stronę Rity i Toma tak szybko, jak się da, ale i tak prześcignąłby mnie każdy ślimak. Kiedy tak kuśtykam między nagrobkami, słysząc zbliżające się głosy pozostałych członków grupy, Tom znów krzyczy, ale tym razem rozpaczliwie.

- Puszczajcie go! - krzyczy Rita. - Puszczajcie...!

Jej słowa przerywa odgłos uderzenia drewna o ciało.

Kiedy do nich docieram, Tom leży na ziemi, atakowany przez dwóch młodych oddychaczy w dżinsach i bluzach. Trzeci oddychacz stoi na straży, trzymając Ritę na dystans. Pomaga sobie kijem bejsbolowym i szczypcami do wyciągania szwów.

Chcę pomóc Ricie i Tomowi, ale niewiele mogę zrobić z potrząskaną ręką i kostką. Gdybym był superbohaterem, nosiłbym imię w rodzaju Nieumarły Kulas albo Zombie Niedojda.

Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to wrzasnąć.

- Szybciej, chłopaki! - mówi ten na straży głosem nakręconym od adrenaliny,

wymachując w moją stronę szczypcami. Tom wydaje z siebie ostatni, rozpaczliwy krzyk, kiedy jeden z oddychaczy urywa mu rękę i bije go po twarzy jego dłonią. W następnej chwili wszyscy trzej uciekają, pohukując i śmiejąc się. I wymachując w powietrzu ręką Toma.

Carl i Jerry mijają nas pędem, goniąc oddychaczy. Gdyby nie złamana kostka, biegłbym razem z nimi. Zamiast tego podchodzę do Rity, żeby sprawdzić, czy nic jej nie jest. Zjawiają się też Naomi i Helen.

- Co się stało? - pyta Naomi, pomagając Tomowi wstać.

- Usłyszałem krzyk Rity i zobaczyłem, jak tych trzech przyspila ją do ziemi - wyjaśnia Tom. - Próbowałem ich odstraszyć, ale zanim się obejrzałem, siedzieli już na mnie i przecinali mi szwy.

- Chłopaki z bractwa - mówi Rita. Włosy ma rozczochrane, gęste pasma wiszą jej na twarzy. Poza tym wygląda na to, że nic jej nie jest. - Oderwałam to jednemu od bluzy.

Wyciąga rękę, pokazując nam srebrny znaczek z greckimi literami ΣΧ.

- Słyszałam o tym - mówi Helen. - To coś w rodzaju inicjacji. Muszą ukraść nieumarłemu część ciała.

- Mnie nie próbowali kraść żadnych części ciała - złości się Rita. Sugestia w jej głosie jest oczywista.

Tym razem zamiast wrzasku wydaję z siebie jęk.

- Oddychacze są obrzydliwi - mówi Naomi, gasząc papierosa w swoim pustym oczodole.

Po kilku minutach Carl i Jerry wracają z pustymi rękami.

Carl opiera się o nagrobek.

- Czekał na nich samochód - mówi. - Nie dopadliśmy ich na czas.

Tom wzdycha i siada, zakrywając twarz lewą dłonią.

- Przykro mi, ziom - mówi Jerry.

- Zapamiętaliście numer rejestracyjny? - pyta Naomi.

Carl kręci głową.

- Było za ciemno.

- A jakie to ma znaczenie? - pyta Rita. - Przecież i tak nikt nam nie pomoże.

Ma rację. Policja będzie chciała wiedzieć, co robiliśmy na cmentarzu. College weźmie stronę studentów. A rada bractwa Sigma Chi będzie bronić swoich członków. Jeśli przedstawimy znaczek jako dowód, prawdopodobnie zostaniemy oskarżeni o kradzież. Żaden adwokat nie weźmie naszej sprawy. Żaden świadek nie poprze naszych zarzutów. Żaden sąd ani opinia publiczna nie staną po naszej stronie. Nawet Amnesty International nie zechce

interweniować. Przecież z technicznego punktu widzenia nie jesteśmy ludźmi.

Jako że nie jesteśmy żywi, wszelkie przestępstwa popełniane na naszą szkodę są uznawane co najwyżej za wykroczenie. W najlepszym razie. Więc nie mamy żadnej ochrony prawnej. Żadnych adwokatów z urzędu. Żadnych możliwości obrony przed prześladowaniami i upokorzeniami, jakich doświadczamy ze strony społeczeństwa.

Jeśli nigdy nie widziałeś, jak banda pijanych studentów wrywa twojemu koledze rękę ze stawu, a potem bije go w twarz jego dłonią, to pewnie nie zrozumiesz.

14

Siedzę w domu w swojej podziemnej kawalerce i piszę list do mojego kongresmena.

Właściwie to raczej petycja. I nawet nie o działania, ale o zaprzestanie działań. Nic wymyślnego. Nic nierozsądnego. Proszę tylko rząd, by oddał nieumarłym ich niezbywalne prawa, wśród których jest również prawo do ochrony przed rozczłonkowaniem i kradzieżą części ciała podczas inicjacji bractw studenckich.

Wydaje mi się, że to jest zapisane gdzieś w konstytucji, tuż za poprawką uchylającą prohibicję.

Przez pierwsze miesiące po zmartwychwstaniu wiodłem samotniczą egzystencję w piwniczce rodziców Owszem, - lżyli mnie wszyscy, od wyrostków po starców, i słyszałem straszne opowieści o okropnościach, jakie spotykają zombie. Grożono mi nawet wysłaniem do zoo, laboratoriów i ośrodków badawczych - i to wszystko mój ojciec! Ale o tym, jak niebezpiecznie jest być zombie, przekonałem się dopiero, gdy byłem świadkiem ataków na Waltera i Toma.

Rozczłonkowanie Waltera otworzyło mi oczy. Kradzież ręki Toma dotknęła mnie osobiście. Może dlatego, że stałem tam i patrzyłem w oczy oddychaczy, którzy na niego napadli. Może dlatego, że zaatakowali także Ritę. A może dlatego, że Tom jest moim przyjacielem i wiem, jakie to dla niego żenujące.

Musicie zrozumieć parę rzeczy, jeśli chodzi o Toma.

Po pierwsze, mieszka z matką. Oczywiście, ja też, ale Tom mieszkał z matką, jeszcze zanim psy kanaryjskie wgrzyły się w niego jak Mike Tyson w ucho Evandera Holyfielda.

Po drugie, Tom jest kimś, kogo Jerry pewnie nazwałby mądziółem. Debilem. Jest

słodki i naiwny. To taki facet, z którego wszyscy by się śmiali, nawet gdyby był oddychaczem. Są spore szanse, że Tom był tym dzieciakiem w waszej szkole, który nosił sztruksy i kraciastą koszulę, który jadł lunch sam i któremu wiecznie kradziono ciuchy z szafki przy sali gimnastycznej. I któremu wyciągano majtki pod szyję.

Po trzecie, Tom jest wstydlivy nawet wśród zombie. Oczywiście, wszyscy dotykamy nerwowo swoich szwów i ran albo bawimy się kawałkami wystających kości, ale Tom ma obsesję na punkcie swoich luźnych strzępów skóry, jakby nie mógł przywyknąć do myśli, że są prawdziwe. Albo jakby mu się zdawało, że może je jakoś zdematerializować.

A teraz urwali mu rękę. Ukradli. Dla zgrzyw. Bez żadnych względów dla jego uczuć czy jego poczucia równowagi. I to po prostu nie jest w porządku. Coś musi się zmienić. Coś trzeba zrobić. Takiej agresji mówimy: „nie”.

Więc piszę list. Petycję. Prośbę o respektowanie konstytucyjnych praw. A dokładnie chodzi mi o pierwszy paragraf czternastej poprawki, który głosi mniej więcej: „Żaden stan nie będzie wprowadzał w życie praw, które naruszają przywileje jego obywateli, ani pozbawiał nikogo życia, wolności czy własności bez należnego procesu, ani pozbawiał żadnej osoby równego statusu wobec prawa”.

Problem, na który natrafiam, dotyczy definicji „obywateli” i „osób” - bo takie właśnie określenia występują w czternastej poprawce i całej konstytucji. Język trąci żargonem i chwilami jest trudny do zrozumienia; występują tylko niejasne wzmianki o osobach, i ani słowa o zombie. A co z życiem, wolnością i prawem do szczęścia? Co z oczywistą prawdą, że wszyscy ludzie są równi? To wszystko zapisano w Deklaracji Niepodległości. A gdyby tak dopisać „nawet jeśli są nieumarłymi?” Wtedy interpretacja konstytucji byłaby jasna i oczywista. Miły pomysł. Ale dość nierealny, jeśli się nad tym zastanowić. Bardziej wskazówka niż konkret.

Na razie oczywiste jest tylko to, że nic się dla nas nie zmieni, jeśli nie zrobimy czegoś, co podniosłoby nasz status do rangi istot ludzkich. Jeśli nie zmienimy sposobu postrzegania nas przez oddychaczy. A przecież problem społeczny zombie nie pojawił się z dnia na dzień. Jesteśmy zauważalną częścią kultury już prawie od stu lat.

Podczas Wielkiego Kryzysu egzystowaliśmy wśród rzesz bezdomnych i staliśmy w kolejkach po chleb razem z bezrobotnymi, co nie przysporzyło nam sympatyków, jako że odbieraliśmy część pożywienia żywym. Na początku lat 30. bardziej niepopularny od zombie był chyba tylko Herbert Hoover.

Druga wojna światowa dała nam okazję przysłużyć się społeczeństwu, jako że większość zombie płci męskiej zaciągnęła się do wojska. Ale nasz udział był trzymany w

tajemnicy przez rząd, a nasz wkład w zwycięstwo został wymazany z podręczników historii. Oddychacze nie chcą wiedzieć, że pierwsze oddziały, które wylądowały w Normandii, składały się z amerykańskich nieumarłych.

Gdy w latach 50. zaczął się ruch na rzecz przyznania praw obywatelskich Afroamerykanom, zombie coraz częściej byli ofiarami dyskryminacji i przemocy. Publiczne lincze były na porządku dziennym i nie trzeba było być statutowym członkiem Ku-Klux-Klanu, żeby sobie poużywać. To nie były dobre czasy.

W latach 60. niektórzy z nas uciekli albo do Wietnamu, albo do hippisowskich komun. Ale kiedy skończyła się wojna i odloty na kwasie, wróciliśmy do tej samej rzeczywistości, od której uciekaliśmy. Tyle że skończyły się publiczne lincze. I zaczęło disco.

Trzydzieści lat później właściwie nic się nie zmieniło.

Myślę, że najwyższy czas, żeby coś z tym zrobić.

15

To zdumiewające, ile dobrego jedzenia marnują oddychacze.

Mleczne szejki. Colę XXL. Podwójną latte.

Bajgle. Zupę jarzynową. Croissantsy z szynką i serem.

Whoppersy. Big maki. Longery.

Można by pomyśleć, że bardziej powinno im zależeć na zjedzeniu tego wszystkiego, niż na rzucaniu jedzeniem w bezbronnego zombie, który pikietuje na Soquel Avenue przed opuszczoną kostnicą, chodząc w tę i z powrotem jak cel w elektronicznej grze i nosząc transparent z napisem:

„Zombie chcą praw obywatelskich”.

Nie liczę już nawet oddychaczy dbających o zdrowie, którzy zatrzymują się, żeby wysypać na mnie torbę pełną zdrowych produktów rolnych, wiejskich jajek i organicznego tofu.

Jestem tu niecałe pół godziny, a już wyglądam jak po bitwie na torty w niemej komedii. Aż dziw, że jeszcze nikt nie zadzwonił po Policję dla Zwierząt, ale domyślam się, że za dobrze się bawią, rzucając we mnie fast foodem i kawą, żeby przejmować się przepisami. Poza tym, choć wyglądam jak archetyp zombie, nie sprawiam groźnego wrażenia. No bo jak

groźnie może wyglądać ktoś pokryty lodami, serem topionym i kręconymi frytkami?

Nad moją głową zaczęła krążyć para kruków, polując na resztki śmieciowego żarcia, ociekające ze mnie na trawnik nieczynnej kostnicy. Nie bardzo wiem, co kazało mi wybrać to miejsce, ale kruki, jako zwiastuny śmierci i tak dalej, jeszcze dodają temu smaczku. Problem w tym, że nie wiem do końca, czy są bardziej zainteresowane żarciem u moich stóp, czy mną.

- Straszdyło! - dociera do mnie krzyk z przejeżdżającego forda mustanga, a zaraz za krzykiem kanapka z delikatesów Erika trafia mnie w skroń, rozpryskując kiszoną kapustę i wołowinę. Jakby po namyśle, za kanapką podąża pojemnik teksaskiego chili i trafia mnie w krocze.

Następnym razem będę pamiętał, że nie ma sensu jeść lunchu w domu.

Ta różnorodność dóbr, które na mnie lądują, każe mi się zastanawiać, czy przejeżdżający oddychacze rzeczywiście ciskają we mnie to, co akurat przypadkiem mają w samochodzie, czy też wpadają specjalnie do 7-Eleven, Burger Kinga czy Safeway, żeby zaopatrzyć się w amunicję. Biorąc pod uwagę, że większość produktów nie jest nawet napoczęta i że parę samochodów wracało ze świeżą dostawą, nie jest to chyba zwykły odruch serca.

W pewnym sensie czuję się podniesiony na duchu, że chce im się robić wycieczki specjalnie dla mnie, choć martwię się, że mój przekaz może się zagubić wśród tej radosnej zabawy w „walnij zombie”. Ale mam przynajmniej nadzieję, że zapiszę się w ich pamięci. Trochę jak te reklamy telewizyjne, których nie znosisz, ale nie możesz ich zapomnieć.

- Zombie cuchną! - wrzeszczy kolejny kierowca i ciska burrito z Taco Bell. Rozpryskuje się na moim transparencie i zjeżdża na ziemię.

Spoglądam na burrito, w papierku, tylko trochę nadgryzione. Fasola i sos wylatują na trawę. Cienias. Gdyby choć rzucił gorditę supreme albo enchirito, może zrobiłby na mnie wrażenie. Ale niedojedzone burrito za siedemdziesiąt dziewięć centów? Błagam.

Nie boję się ataku bandy nastolatków, chłopaków z bractwa czy wsioków. W dzień oddychacze raczej powstrzymują się od jawnych aktów przemocy wobec zombie. Może się wstydzą. Psychologia tłumu działa zwykle po zachodzie słońca, kiedy odwagę podsycą piwo, whiskey i ciemność. Oddychacze właśnie tacy są. Nie chcą patrzeć na własną wredną naturę w jasnym blasku słońca. Wolą dawać jej upust po ciemku, kiedy trudniej ją dostrzec, a łatwiej ignorować.

W poniedziałkowe popołudnie moje bezpieczeństwo nie jest problemem. Nie zostanę rozczłonkowany ani podpalony. Jedyne, co mi zagraża, to jadalne pociski i wkurzające komentarze. Oczywiście prędzej czy później jakiś nadgorliwy oddychacz złapie komórkę i

zadzwonili po PDZ.

Słyszę syreny, ale na początku nie zwracam na nie uwagi. Szpital Dominikański jest niecałe dwa kilometry dalej, więc karetki przejeżdżają tędy codziennie. Kiedy wycie przybiera na sile, zza zakrętu wyłania się migający kogut, a kruki z gwałtownym łopotem skrzydeł porzucają uczcę. Wiem już, że jadą po mnie.

Nawet nie próbuję uciec. Bo i po co? Przecież nikogo nie prześcignę. A poza tym to tylko pogorszyłoby sprawę. Więc odkładam swój transparent, wyciągam z włosów zabłąkane nitki kiszanej kapusty i idę w stronę syren, by okazać chęć współpracy. Jeśli zostaną zabrani w uprzęży dla zombie, przynajmniej zachowam odrobinę godności.

W chwili kiedy furgonetka PDZ zatrzymuje się z piskiem przed kostnicą, ktoś rzuca we mnie dużym kubkiem koktajlu Jamba Juice, który trafia mnie w pierś i eksploduje, pokrywając mi twarz i włosy zieloną, słodką mazią.

16

- Dlaczego tu jesteśmy? - pyta Helen.

Helen, praktykując prywatnie, prowadziła poradnię dla zombie, zanim stała się jednym z nich. To głównie dzięki jej wcześniejszym doświadczeniom pozwolono jej na prowadzenie lokalnego oddziału Anonimowych Nieumarłych.

Mimo że większość oddziałów jest prowadzona przez moderatorów zombie, nie jesteśmy całkowicie niezależni. Helen musi zgłaszać każdego nowego członka grupy do Okręgowego Wydziału Rezurekcji, a raz w miesiącu wpada urzędnik do spraw kontaktów, żeby sprawdzić, czy nasz rozkład idzie zgodnie z planem i czy zachowujemy się jak grzeczne małe zombie. Ale zwykle nie zostaje zbyt długo.

Myślę, że ma to coś wspólnego ze smrodem.

Albo z tym, w jaki sposób Carl grzebie sobie palcami w ranach po nożu na twarzy.

Jesteśmy w połowie naszych dziewięćdziesięciu minut i większość tego czasu spędziliśmy, dyskutując na temat kradzieży prawej ręki Toma i możliwości jej odzyskania. Ale nasze możliwości są mniej więcej takie jak w przypadku Waltera. Czyli albo pogodzimy się z tym, co się stało, albo zaryzykujemy coś więcej niż tylko utratę kończyny.

Dzisiejsze przesłanie na tablicy głosi:

„Dlaczego tu jesteśmy?”

Jerry pochyla się do mnie.

- Ziom, jestem tu, bo wypiliśmy butelkę jacka i wypaliłem trzy ogromne skręty.

Powiedz mi coś, czego nie wiem.

- Jerry chciałbyś się czymś podzielić z grupą? - pyta Helen.

Policzki Jerry'ego są żywo czerwone od szorowania po asfalcie, wygląda więc, jakby się ciągle rumienił.

- Mówiłem tylko, że nie byłoby mnie tutaj, gdybym miał zapięty pas.

- Może - odpowiada Helen. - A może nie. Ale nie dlatego tu jesteśmy.

Niewiele brakowało, a nie dotarłbym na spotkanie. Po moim „małym głupim wyczynie”, jak to nazwał, ojciec zagroził, że zostawi mnie w schronisku przez tydzień, czyli na maksymalny okres, jaki przechowują zombie, którzy mają opiekunów. Po tygodniu stałbym się własnością władz, a od tego już niedaleko na stół jakiegoś niedoszęłego chirurga plastycznego, który ćwiczy do egzaminów semestralnych.

Mama nie wysuwała żadnych argumentów w mojej obronie. Stała z boku, gdy ojciec beształ mnie przez kraty klatki. W końcu nie spełnił swojej groźby, ale tylko dlatego, że zostawienie mnie tutaj kosztowałoby go dodatkowe pięćdziesiąt dolarów dziennie.

Cieszę się, że nie musiałem zostać w schronisku przez cały tydzień. Warunki mieszkalne nie są takie złe i nie ma wielkiej różnicy w smaku między suchą kocią karmą a kotletami mojej mamy, ale brakowałoby mi spotkań z Ritą.

Dziś siedzi naprzeciw mnie, ze znaczkiem ΣX, wpiętym w lewe ucho. Ma na sobie biały sweter i czerwoną jedwabną apaszkę, która pod jej bladą twarzą wygląda jak rzeka krwi. Nie ma rękawiczek. Trzyma dłonie na kolanach i maluje paznokcie lewej dłoni czerwonym lakierem. Zanim lakier zdąży wyschnąć, podnosi dłoń do ust i wylizuje każdy paznokieć do czysta.

Nagle zastanawiam się nad tym, jakby to było być jej paznokciem.

- Wszyscy ocaleliśmy z jakiegoś powodu - kontynuuje Helen. - Czy ktoś może mi powiedzieć dlaczego?

Odpowiada jej cisza. Rozglądamy się po twarzach pozostałych ocalałych. Nawet Carlowi udaje się powstrzymać od złośliwego komentarza.

Siedzący obok Rity Tom podnosi rękę i macha palcami w powietrzu.

Podziwiam go za to, że pojawił się na dzisiejszym spotkaniu. To, że ktoś ukradł ci rękę, jest nie tylko poniżające i zenujące, ale także bolesne mentalnie. Choć Tom nie miał pożytku z tej ręki i nie czuje fizycznego bólu z powodu jej braku, została mu pusta panewka

stawu. Będzie mu ciągle przypominała o tym, co utracił. Poza tym trudno mu utrzymać równowagę.

- Tom, nie musisz podnosić ręki - mówi Helen.

- Ach, no tak. Jasne - odpowiada, opuszczając rękę. - No więc, myślę, że jesteśmy tutaj, bo nie powinniśmy być martwi.

- Genialne - mówi Carl, parszkając śmiechem. - Trzeba być wegetarianinem, żeby wymyślić taką bzdurę.

- Dlaczego jesteś takim dupkiem? - pyta Naomi.

Gdy mówi, prawa część jej ust wisi bezwładnie pod pustym oczodołem.

- Och, nie wiem - odpowiada Carl. - Może dlatego, że moje życie towarzyskie składa się z siedzenia z wami w tym pokoju dwa razy w tygodniu, zamiast z chodzenia do kina, spacerowania po plaży czy partyjki golfa.

Carl był członkiem Klubu Marina, gdzie grał w tenisa i golfa i gdzie co tydzień jadał obiady z towarzyską śmietanką okręgu Santa Cruz.

Naomi zaciąga się papierosem i wydmuchuje dym prosto w twarz Carla.

- Jesteś rozgoryczony, ale to nie daje ci prawa do rozładowywania swojej frustracji na nas. To bezcelowe.

- Co za wspaniałe nawiązanie do kolejnego punktu - mówi Helen. - Dziękuję ci, Naomi.

Helen wstaje i podchodzi to tablicy. Rzucam okiem na Ritę, która teraz wylizuje paznokcie prawej dłoni. Jej język jest czerwony. Ciekawe, czy smakuje jak Revlon czy Estee Lauder.

Helen odwraca się do nas i siada. Na tablicy pod „Dlaczego tu jesteśmy?” widnieje napis:

„Znajdź swój cel”.

- Tom, twoim zdaniem jesteśmy tutaj, bo nie powinniśmy być martwi - mówi Helen.

Tom przytakuje i rozgląda się, masując lewą dłonią pustą panewkę po prawej ręce.

- Chciałbyś to rozwinąć? - pyta Helen.

- Jasne - odpowiada Tom. - Bo widzicie, to, że zostałem wegetarianinem, nie było do końca świadomym wyborem.

- To mnie nie dziwi - przerywa Carl.

- W każdym razie - kontynuuje Tom - nie zostałem wegetarianinem z jakiegoś konkretnego powodu ani też ze względów zdrowotnych. Po prostu przestałem odczuwać potrzebę jedzenia mięsa. Nie prosiłem się o to. Tak mi się akurat przytrafiło, więc się z tym

pogodziłem.

- No i co z tego? - pyta Jerry. Jego usta zrobiły się fioletowe od dietetycznego napoju winogronowego, który pije. - Więc jesteśmy nieumarli, bo powinniśmy przestać jeść big maki?

- Nie. Chodzi mi o to, że ta sytuacja to zupełnie coś innego - odpowiada Tom. - O to też się nie prosiłem, ale czuję, że nie ocalałem przypadkiem, ale z jakiegoś konkretnego powodu.

- W konkretnym celu - mówi Helen.

Tom przytakuje.

Rozglądam się po pokoju. Patrzę na Carla, dłubiącego w ranach po nożu. Na Toma z pustą panewką i bez połowy twarzy. Na Ritę oblizującą paznokcie. Na Jerry'ego z czerwonymi policzkami i fioletowymi ustami, który szczerzy się jak idiota. Na Naomi, której oczodoł jest jak czarna postrzępiona dziura.

- Nikt nie wie na pewno, dlaczego ocaleliśmy właśnie my, a inni nie - mówi Helen. - Ale zgadzam się z Tomem. Wszyscy jesteśmy tutaj z jakiegoś powodu. Wszyscy mamy jakiś cel. I każde z nas musi odkryć, co jest tym celem.

- Jeśli mnie pytacie - mówi Jerry - to moim celem jest wyjaśnić wszystkim paniom nową definicję sztywnego członka.

Jerry śmieje się ze swojego żartu, parszcząc i kiwając głową, i pokazując wszystkie zęby jak medale.

Fakt, że śmieje się tylko Jerry, widocznie bawi Ritę, bo i ona zaczyna się śmiać. Potem przyłącza się Tom, a za nim Naomi, i po chwili śmieją się już wszyscy. Ta scenka przypomina mi sen, który miałem niedawno.

Siedzimy wszyscy w limuzynie, w takim superdługim hummerze. Jerry ma butelkę swojego ukochanego jacka daniel'sa i polewa alkoholem bezpośrednio swój mózg, żeby szybciej się upić. Tom wciąż odczepia swoją prawą rękę i mocuje ją z powrotem, jakby robił magiczną sztuczkę, a Hellen się śmieje i unosi tył bluzki, żeby pokazać rany wylotowe. Naomi gada z kimś przez komórkę i pije szampana, a nad pustym oczodołem ma malutki, ręcznie malowany znaczek „wolne pokoje”, który sterczy z jej brwi. Carl obsługuje grill - dym ulatuje do góry, przez szyberdach limuzyny. Przekrawa stek, a potem wsuwa nóż z powrotem w jedną z ran na twarzy. Rita siedzi na wprost mnie, bez żadnego kaptura, golfu, apaszki, tylko w czarnej wieczorowej sukience z cienkimi ramiączkami, sięgającej do kolan. Jej odsłonięte ciało jest alabastrowe i pokryte szramami, i te szramy są wspaniałe.

Nie wiedziałem, jak rozumieć ten sen, ale obudziłem się z niego z dobrym

przecuciem - z całą pewnością czułem jego pozytywne wibracje. Może to fałszywa nadzieja, ale atmosfera w limuzynie była oczywista.

Wszyscy byliśmy szczęśliwi.

Przez następne pół godziny Helen odpuszcza sobie zwykłą ramówkę spotkania i mówimy o tym, co byśmy robili, gdybyśmy mogli robić, co chcemy, i nie musieli się przejmować, czym jesteśmy, jak wyglądamy i co o nas myślą inni. To znaczy mówią wszyscy pozostali. Ja piszę na tablicy i chrząkam, a od czasu do czasu piszczę, co znów doprowadza wszystkich do śmiechu. Nawet Carl się przyłącza i udaje mu się wziąć konstruktywny udział w rozmowie. Wciąż jest dupkiem, ale takim dupkiem, jakiego chciałoby się mieć pod ręką.

- Okej - mówi Helen, patrząc na zegarek. - Zanim skończymy, chciałabym wszystkim przypomnieć, że na spotkanie w przyszły piątek każdy przyprawdza ocalałego.

Myśl o tym ekscytuje mnie chyba bardziej niż innych. Nie powiedziałem nikomu o mojej petycji, bo zamierzam przynieść ją na następne spotkanie, kiedy będzie nas dwa razy więcej i będę mógł zebrać podwójną liczbę podpisów. Nie wiem, czy będzie to miało znaczenie, biorąc pod uwagę, że w świetle prawa nasze podpisy są warte mniej więcej tyle, co obietnice polityków, ale wolę posłać ją z tyloma podpisami, ile uda mi się zebrać.

Cieszę się też, że znów zobaczę Raya i bliźniaków. No, powiedzmy Raya. Może przyniesie na spotkanie parę słoików sarniny.

- A teraz - mówi Helen - na resztę spotkania dobierzcie się w pary i poćwiczcie nawiązywanie kontaktu emocjonalnego.

Tom, który siedzi obok Rity, odwraca się do niej, zanim udaje mi się ruszyć. Jerry pędzi do Naomi, co pozostawia mnie i Carla. Siedzimy na przeciwnych końcach półokręgu i gapimy się na siebie.

- Och, na litość boską - burczy Carl, po czym wstaje i podchodzi do mnie. - Chodź, Andy. Miejmy to z głowy.

Wstaję i mniej więcej obejmuję Carla. Stoimy twarzą w twarz, a że jestem parę centymetrów wyższy, więc patrzę na czubek jego głowy. Jego siwiejące włosy są matowe, skóra sucha i złuszczone. Powinien częściej myć głowę. Potrzebuje też silniejszego dezodorantu czy perfum. Ale przecież nie mogę narzekać.

Przytulanie się ma nam dać poczucie akceptacji, emocjonalnej i fizycznej pociechy. Ma nam przypomnieć, że wciąż jesteśmy istotami ludzkimi. Na razie czuję tylko zażenowanie. Nie jestem homofobem, nie mam też permanentnego wzrodu, jak Jerry. Ale to ćwiczenie przypomina mi tylko, że moja ręka jest bezużyteczna jak dziurawa piłka.

- Skupcie się na tym, co czujecie - mówi Helen. Chodzi po sali i przemawia łagodnym,

cichym głosem. - Nie myślcie o tym, jak łączy się to z waszymi wspomnieniami czy z uczuciami, które chcielibyście odzyskać. Pamiętajcie, nie jesteśmy tu po to, żeby rozmyślać o przeszłości. Przeszłość była waszą poprzednią rzeczywistością.

Już nam to mówiła, niemal na każdym spotkaniu. I zalecała, żeby wzmocnić tę myśl pozytywną wizualizacją, która skupia się na terażniejszości. Więc powinno się zacząć od pierwszego wspomnienia po kraksie, strzelaninie czy ataku psa. Bo tylko to się liczy. Od tego zaczęła się nasza nowa egzystencja.

17

Większość oddychaczy, gdy zapytasz ich o pierwsze wspomnienia, przypomina sobie karmienie piersią, jazdę na trójkołowym rowerku, strach przed ciemnością, przebieranie w piżamę przed snem, odkrycie swojego pępka, zabawy owadami, pierwszy dzień w szkole, pierwszą maskotkę albo pierwszą świąteczną choinkę.

Nikt nie pamięta swoich narodzin.

Eksmitowania z macicy i wyciskania przez kanał rodny. Skóry pokrytej płynem owodniowym i krwią łożyskową. Pojawienia się na świecie pełnym hałasu, dziwnych zapachów i oślepiającego światła. Człowieka w białej masce i rękawiczkach, który kleszczami chwyta twoją miękką, plastyczną głowę.

Nic dziwnego, że noworodki płaczą.

Moja nowa egzystencja, narodziny jako zombie, zaczęła się, gdy małe dziewczynki zaczęły na mój widok upuszczać lody i uciekać z krzykiem.

No i co powiecie na takie pierwsze wspomnienie?

Pewnie mogło być gorzej. Mogłem się obudzić, kiedy balsamista napełniał mi jamy ciała przeciwbakteryjnym żelem.

Oprócz wspomnień, które woleliby stłumić, i problemów z akceptacją własnego wyglądu, nieumarli cierpią na mnóstwo dolegliwości, które byłyby wyzwaniem nawet dla najbardziej współczującego i wykwalifikowanego terapeuty. Oczywiście większość tych dolegliwości jest spowodowana przez oddychaczy.

Myślę o Annie.

Myślę o tym, że nie wolno mi się z nią zobaczyć, porozmawiać, pisać listów czy e-

maili ani komunikować się z nią w jakikolwiek inny sposób. Chcę tylko wiedzieć, jak się ma, czy wszystko z nią w porządku i czy się jakoś trzyma.

Po prostu wiedzieć, że jest.

Gdy twoje życie się rozpadło, a ty urodziłeś się na nowo jako nieumarły, nic nie wydaje się realne. Ani to, co się z tobą dzieje teraz. Ani to, co niesie przyszłość. Ani to, co pamiętasz z przeszłości. Teraźniejszość jest zbyt surrealistyczna, przyszłość zbyt ponura, a przeszłość została przejęta, sprzedana, подарowana, zlicytowana i wsadzona do przechowalni. I może dobrze, bo przynajmniej nie przypomina ci o wszystkim, co utraciłeś.

Jeszcze bardziej nierealnie jest wtedy, gdy żona i córka, z którymi dzieliłeś życie, znikają razem z całą resztą. Paf. Jak magiczna sztuczka. W jednej chwili siedzisz w samochodzie i wracasz z przyjęcia do domu, a w następnej jesteś zombie idącym chwiejnym krokiem po poboczu. Nie masz domu. Nie masz żony. Nie masz córki. Zostały wymazane z twojej egzystencji. Żadnych listów pożegnalnych, pamiątek, zdjęć. Niczego, co mogłoby ci o nich przypominać. Czasem się zastanawiasz, czy w ogóle istniały. A może to był tylko sen, który śniłeś, dopóki nie obudziłeś się w tym koszmarze.

Nie widziałem zwłok Rachel ani nie byłem na jej pogrzebie, musiałem więc uwierzyć na słowo rodzicom, że została pochowana pod kamieniem nagrobnym, w jednej z najdroższych kwater na cmentarzu Soquel. Ale przynajmniej mam nagrobek. Jakiś znak. Jakiś namacalny dowód, że Rachel istniała i że właśnie to się z nią stało, kiedy ja chwilowo nie żyłem.

Jeśli chodzi o Annie, nie ma takiego dowodu. Nic namacalnego. Nic, co mógłbym wskazać palcem i mieć pewność, że wiem, co się z nią stało. Że wciąż żyje. Że kiedykolwiek istniała.

Myślę o tym, patrząc na dziewczynkę mniej więcej w wieku Annie, która wpatruje się we mnie wielkimi, niebieskimi oczami, z zaciekawioną buzią, obramowaną jasnymi warkoczykami, zupełnie takimi samymi, jakie nosiła Annie. Jest ubrana w różowe spodnie, różowe botki i różową bluzę na suwak z kapturem. Wokół, w promieniu jakichś dziesięciu metrów od parkowej ławki, na której siedzę, krzyczy i wrzeszczy ze dwudziestu dorosłych, przerażonych moją obecnością. Ale nie ta mała. Stoi niecałe trzy metry ode mnie i jest spokojna jak dalajlama.

A dlaczego nie miałyby być? Nikomu nie robię krzywdy. Nikomu nie zagrażam. Siedzę na ławce ze swoją tablicą, na której grube, czarne litery układają się w napis: „Zombie też są ludźmi”.

Kilku dorosłych krzyczy do mnie z bezpiecznej odległości, grożąc mi fizyczną

krzywdą, jeśli choćby dotknę dziewczynkę. Zabawne, że nikt z nich nie ma odwagi zbliżyć się i uratować tę małą ślicznotkę przed wielkim, złym zombie.

Dziewczynka patrzy na moją twarz, spogląda na tablicę, a potem znów na twarz, jakby próbowała coś zrozumieć. Wreszcie wskazuje moją pierś, na proklamację równości, i pyta:

- To prawda?

Kiwam głową.

Zanim dziewczynka ma czas zadać mi kolejne pytanie, jej matka szarżuje jak zawodnik rugby, porywa córkę i ucieka z nią, a ja zostaję sam w swoim dziesięciometrowym kręgu bezpieczeństwa.

Jestem ciekaw, jakie poczynilibyśmy postępy, gdyby nie pojawiła się matka. Czy ta mała usiadłaby koło mnie. Może odpowiedziałbym jej na więcej pytań. Czy to by cokolwiek zmieniło?

Jestem pewien, że dziewczynka zapyta rodziców o zombie, którego widziała dzisiaj w parku, i o tablicę, którą miał na szyi. I będzie chciała wiedzieć, czy to prawda. Czy zombie też są ludźmi? I rodzice na pewno wyjaśnią jej, że zombie ludźmi nie są. Zombie to brudne, obrzydliwe kreatury, których nie wolno dotykać i którym nie można ufać. I na pewno z biegiem czasu, kiedy podrośnie, uwierzy w to wszystko.

Ale mam nadzieję, że nie będzie słuchać rodziców i nauczy się myśleć sama za siebie. Mam nadzieję, że przekona kolegów, by myśleli tak samo. Mam nadzieję, że kiedyś będę mógł siedzieć na ławce w parku, nie mając wokół siebie dziesięciometrowej strefy strachu.

Wciąż o tym myślę, kiedy podjeżdża furgonetka Policji dla Zwierząt.

18

Siedzę w swojej piwniczce w środowy wieczór, jedząc ciasteczka Oreo, pijąc Chateau La Tour Haut-Brion rocznik 1982, po trzysta pięćdziesiąt dolarów za butelkę, oglądając *Szczęki* na kanale Bravo i marząc o truflach.

Słyszę, jak rodzice chodzą na górze i kłócą się ze sobą. Nie słyszę, co mówi mama, ale ojciec wykrzykuje zdania w rodzaju: „Cholerny okaz z wesołego miasteczka” i „Co jest takiego złego w oddaniu go na cele naukowe?” Robię głośniejsze, żeby ich zagłuszyć, gdy nagle ktoś puka w tylne drzwi piwniczki.

Nie spodziewałem się gości.

Moi przyjaciele oddychacze co do jednego doznali wygodnej amnezji, która wymazała z ich głów wszelkie wspomnienia o przyjaźni. Czasem widuję ich, idąc na spotkanie AN - jeśli są uśmiechnięci, uśmiechy znikają na mój widok. I chociaż nigdy nie rzucają obelg ani się ze mnie nie nabijają i nie przyłączają się do śmiechu innych oddychaczy, zawsze odwracają oczy.

Nikt z ocalałych z grupy mnie nie odwiedzał, bo też nigdy ich nie zapraszałem. Rodzice na pewno byliby zachwyceni - pokój pełen zombie, obsiadających meble i zasmradzających dom, grających w *Milionerów* i słuchających Green Day i Bachman-Turner Overdrive.

Ciekawe, czy mama podawałaby drinki.

Pukanie rozlega się znowu, tym razem głośniejsze. Może to Rita, która wpadła, żeby mnie wyciągnąć na wieczorny spacer. Ale nie pozwalam sobie w to wierzyć, bo mocno się rozczaruję, jeśli to nie będzie ona. Ktokolwiek to jest, mam nadzieję, że nie będzie miał nic przeciwko okruszkom ciasteczek w bordeaux.

Gdy otwieram drzwi, widzę w nich Jerry'ego, z plecakiem zarzuconym na jedno ramię, w bejsbolówce założonej daszkiem na bok i z szerokim wyszczerzeni na twarzy, jakby chciał krzyknąć: „Niespodzianka!” Obok niego stoi Tom z trochę mniej entuzjastyczną miną. Bez wielkiego przekonania podnosi na powitanie rękę, która mu pozostała.

- Andy, staruszk - mówi Jerry. - Co słychać?

Wskazuję telewizor, na którym Robert Shaw zjeżdża po pokładzie statku ku nieuniknionej śmierci, po czym wypijam łyk bordeaux i podsuwam butelkę Tomowi. Odmawia. Jerry nie czeka, aż go poczęstuję. Bierze butelkę i przechyla ją niemal do góry nogami, wlewając zawartość w uniesione usta - przypomina mi pisklaka, który właśnie dostał przetrawiony pokarm. Co, biorąc pod uwagę okruszki na dnie, nie jest tak dalekie od rzeczywistości.

- Ziom! - mówi, plując. - Co w tym jest, do cholery?

Sięgam do kieszeni swoich spodni dresowych i wyciągam z niej dwa ciasteczka Oreo.

- Rany - mówi, ciągle plując na podłogę winem, śliną i rozmoczonymi ciasteczkami. -

Obrzydliwe.

Tom wyciąga lewą dłoń w kierunku ciastek.

- Mogę jedno dostać?

Daję mu oba. Zjada je bez śladu radości. Potem zabieram butelkę Jerry'emu, zanim ją upuści i zmarnuje więcej wina. To, co już wylądowało na podłodze, jest warte jakieś

trzydzieści siedem dolców i pięćdziesiąt centów.

- Zapomnij o winie i ciasteczkach - mówi Jerry, spluwając ostatni raz. - Wkładaj buty. Idziemy się zabawić.

Brzmi kusząco, ale jest już po dwudziestej pierwszej. Po ostatniej wycieczce do schroniska ojciec jest skłonny rozczłonkować mnie osobiście, jeśli urządzę jeszcze jedną demonstrację, więc nawet pomijając godzinę policyjną, nie jestem specjalnie chętny na wyprawę bez przyzwoitki. Ale nagle Jerry wymawia magiczne słowa.

- Idziemy do Raya.

Niecałe dwie minuty później jesteśmy już za drzwiami i drepczemy ścieżką między domami w stronę jaru. Jerry wyjaśnia, że uznał, iż wizyta u Raya może rozweseli Toma, pozwoli mu przestać martwić się o rękę. Być może w motywach Jerry'ego jest trochę prawdy, ale czuję raczej, że Tom został wyciągnięty z domu, by Jerry mógł sobie pooglądać dalszy ciąg kolekcji „Playboyów”.

Tom, któremu brakuje ręki, ma problemy z przejściem przez jar. Nawet Jerry ześlizguje się parę razy i ląduje na tyłku, klnąc i podciągając spodnie. Może to dlatego, że cieszy mnie wizyta u Raya, a może dlatego, że pokonywałem ten jar dziesiątki razy, ale z jakiegoś powodu nie mam żadnych problemów. Ani jednego potknięcia czy poślizgu. Zupełnie jakbym wreszcie się nauczył, jak działa moje nowe ciało.

Trzymamy się bocznych ulic i nieużytków, szerokim łukiem omijając centrum Soquel, i wychodzimy na Old San Jose Road tuż przed polem, na którym po raz pierwszy zobaczyliśmy Raya i bliźniaków. Mija nas parę samochodów, ale nie licząc spóźnionego trąbnięcia i okrzyku: „Straszydła!”, docieramy do spichlerza bez żadnych incydentów.

- Policja dla Zwierząt! - krzyczy Jerry, otwierając tylne drzwi i wchodząc do środka.

Tom wchodzi za Jerrym, a ja zabezpieczam tyły. Światło przesącza się przez kamienne ściany spichlerza. Jeszcze nie widzę Raya, ale słyszę jego głos.

- Wchodźcie - mówi z tym swoim zaśpiewem wiejskiego chłopaka. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy go zastali przy dojeniu krowy. Ale on siedzi przy ognisku twarzą do nas, z butelką piwa w dłoni, a obok niego leży do połowy opróżniony słoik z sarniną. Bliźniaków nigdzie nie widać.

Ray pociąga łyk piwa i kiwa nam głową na powitanie.

- Widzę, że przyprowadziliście nowego przyjaciela.

- To jest Tom - mówi Jerry.

Tom nie odezwał się słowem od chwili, kiedy poprosił mnie o ciasteczka. Widocznie jest głodny, bo wskazuje ręką na słoik leżący obok Raya i pyta:

- Co to jest?

- Cudowny Przysmak Raya - odpowiada gospodarz, wyciągając kawałek widelcem. - Sarnina. Świeżo zawekowana. Proszę, weź sobie słoik, jeśli jesteś głodny.

- Jestem wegetarianinem - mówi Tom z lekkim żalem.

- Każdy ma swój gust - odpowiada Ray. - Ale uwierz mi, kiedy mówię, że nie wiesz, co tracisz.

Tom może nie wiedzieć, co traci, ale ja wiem, więc wlokę się do ogniska i siadam obok Raya, który zaopatruje mnie w słoik i widelec.

Jerry'ego nie interesuje jedzenie.

- Przyniosłem je z powrotem - mówi, wyciągając z plecaka stos „Playboyów” z czcigodną archeologa wydobywającego starożytne manuskrypty. - Mógłbym pożyczyć więcej?

- Jesteś pewny, że nie chcesz potrzymać ich dłużej? - pyta Ray.

- Nie-e - odpowiada Jerry. - Zeskanowałem wszystkie zdjęcia na komputer i wydrukowałem. Już prawie mi wystarczyło, żeby zakleić cały sufit w sypialni.

Jerry mówi to z dumą.

Gdyby Jerry był oddychaczem, mógłby się po prostu zalogować na playboy.com i ściągnąć zdjęcia prosto na swój komputer. Ale że nieumarli nie mogą używać Internetu, Jerry musi to robić staroświecką metodą.

- Wybieraj, co chcesz - mówi Ray, wskazując gestem w stronę magazynu za moimi plecami. - I częstuj się sarniną, jeśli masz ochotę.

Gdy Jerry przerzuca numery „Playboya”, zabieram się do słoika z sarnim mięsem jak dziecko do deseru lodowego. Smakuje prawie jak kurczak, ale zalatuje dziczyzną, co stawia mi przed oczami obrazy skradania się w lesie w poszukiwaniu pożywienia. Nigdy nie polowałem na sarny ani na kaczki, ani na nic innego, co nie byłoby przetworzone i nie leżałoby na dziale mrożonek w Safewayu. Nigdy nawet nie zarzuciłem wędki. Ale siedząc tutaj przy ognisku i zajadając zawekowaną sarninę, aż sos spływa mi po brodzie, czuję się niemal jak dzikus.

Tom wciąż stoi parę kroków od ogniska, masuje pustą prawą panewkę i wygląda jak ostatni dzieciak, czekający, aż ktoś wybierze go do drużyny.

- Nie stój tak - mówi Ray. - Napij się piwa.

Tom chwilę się zastanawia, ale w końcu przytakuje i siada, a Ray przynosi cztery butelki budweisera ze spiżarni. Wręcza każdemu z nas po piwie i zajmuje miejsce przy ognisku naprzeciwko Toma.

- Za nowych przyjaciół i stare nawyki - mówi, wznosząc butelkę.

- I za zdjęcia gołych lasek - dodaje Jerry, siadając z plikiem „Playboyów”.

Tom i ja się nie odzywamy. Tom, bo jest skrępowany, a ja, bo nie mogę. I jestem zbyt zajęty mięsem.

Przez kilka minut słyhać tylko odgłosy jedzenia, picia i przewracania stron czasopisma, i okazyjne „Boże święty!” Jerry'ego.

- No więc, Tom - zaczyna Ray. - Jaka jest twoja historia?

Tom wypija łyk piwa i mówi:

- Zostałem zagryziony przez parę psów kanaryjskich.

- Auć - mówi Ray. - To musiało boleć.

- Tak. - Tom dotyka płatów mięsa na swojej twarzy. - Powinienem być zostać przy pudlach.

- Jesteś w tej grupie ocalałych? - pyta Ray.

- Hej, Tom - przerywa Jerry, zanim kumpel ma czas odpowiedzieć. Podnosi jeden z numerów, otwarty na stronie z Miss Września z 1997 roku. - Chcesz sobie pooglądać?

Tom przez kilka chwil gapi się na rozkładówkę, po czym kręci głową. Myślę, że tak jak u mnie to raczej kwestia skrępowania niż braku zainteresowania. Bo który facet nie chciałby zobaczyć czegoś więcej, kiedy patrzy na półmetrowe, błyszczące zdjęcie przedstawiające całe ciało dwudziestoletniej blondynki w szpilkach i strategicznie rozmieszczonej koronkowej bieliźnie? Ale gdy masz tylko jedną rękę, ciężko jest przerzucać strony i jednocześnie pić piwo. Wyjadanie mięsa ze słoika jest już wystarczająco trudne. Muszę ścisnąć słoik w zgięciu prawego kolana, żeby się nie wyrócił.

- No więc - ciągnie Ray. - Pies urwał ci rękę?

Tom się rozgląda, jakby czekał, aż odpowie ktoś inny, po czym zdaje sobie sprawę, że pytanie było skierowane do niego.

- Nie - mówi, patrząc na swoje piwo. - Została ukradziona.

- Ukradziona? - dziwi się Ray.

Tom niechętnie opisuje incydent na cmentarzu Oakwood Memorial.

- Wiecie, gdzie mieszkają te chłopaki z bractwa? - pyta Ray.

- Należą do Zygmunta Kał - odpowiada Jerry.

- Sigma Chi - poprawia go Tom.

- Jakkolwiek.

Jerry przysuwa sobie słoik z Cudownym Przysmakiem Raya i odkręca pokrywkę, cały czas przerzucając wydanie z września 1997.

- Próbowalesz odzyskać rękę? - pyta Ray.

Tom kręci głową.

- Rozmawialiśmy o tym, ale zdecydowaliśmy, że będzie z tym za dużo kłopotu.

- Za dużo kłopotu sprawiłoby odebranie czegoś, co należy do ciebie? - dziwi się gospodarz.

Do tej pory nie patrzyliśmy na to w ten sposób, ale skoro tak to ujmuje...

- Hej - mówi z pełną buzią Jerry, oblizując palce. - To jest całkiem niezłe. Powinieneś tego spróbować, Tom.

- Jestem wegetarianinem.

- Gówno prawda - odpowiada Jerry. - Mówiłeś mi, że jesz ryby.

- To nie to samo - mówi Tom. - Jest różnica między mięsem a rybą.

- Jak tam chcesz - odpowiada Jerry, pokazując powszechnie znany gest masturbacji.

- Mam trochę tuńczyka, jeśli masz ochotę - mówi Ray, wstając. - Komuś jeszcze piwka?

Jerry i ja podnosimy rękę.

- Masz tuńczyka? - pyta Tom z niedowierzaniem.

- Świeżo złowionego i wsadzonego do słoików - odpowiada Ray, wspinając się do swojego schowka. - Chociaż nie mogę przypisać sobie tej zasługi.

- Kto go złowił? - pyta Tom.

- Mój znajomy - odpowiada Ray, pojawiając się ze słoikiem i trzema piwami. Podaje po butelce Jerry'emu i mnie po czym wręcza Tomowi słoik i widelec.

Z miejsca, w którym siedzę, zawartość słoika wygląda dokładnie jak sarnina, ale mój wzrok nie jest już taki jak kiedyś.

Tom unosi słoik do światła, po czym umieszcza go między stopami, odkręca pokrywkę i podnosi do góry, żeby powąchać zawartość.

- Nie pachnie jak tuńczyk - mówi.

- Powiedz, co o tym myślisz - mówi Ray. - Sam jeszcze tego nie próbowałem.

Tom widelcem odrywa kawałeczek tuńczyka i kładzie sobie na języku. Wyraz powątpiewania marszczy mu brwi, ale bierze kolejny kawałek, tym razem używając wszystkich trzech zębów widelca, a jego brwi zabawnie podjeżdżają do góry na nadgryzionej twarzy.

- Dobrze - mówi, zanurzając widelec po raz kolejny i wyjmując kawał tuńczyka; sos błyszczy w świetle ogniska, gdy Tom zsuwa tuńczyka z widelca do ust. - Naprawdę dobre.

Rozmowa zamiera na kilka następnych minut. Tom pożera zawartość słoika, a Jerry wraca do swoich hedonistycznych uciech. Zanim kończy mi się drugie piwo, Tom ma już

pusty słoik i palcem wybiera pozostałości.

- Jeśli chcesz, chętnie dam ci więcej do domu - mówi Ray.

- Dzięki - odpowiada Tom, oblizując palce. - Byłoby super.

- Właściwie wszyscy możecie sobie wziąć do domu po słoiku - mówi Ray. - Ale w zamian poproszę was o pomoc w pewnej sprawie. Chciałbym coś zrobić.

- Jasne - mówi Tom.

- O co chodzi? - pyta Jerry.

- Goo - mówię.

19

Jedziemy chevroletem lumina rocznik 2001. Ray prowadzi. Jerry siedzi obok niego, ja przycupnąłem za Jerrym, a Tom po mojej lewej, zdenerwowany i niepewny. Z moją niesprawną lewą ręką, spoglądając na puste miejsce po prawej ręce Toma, czuję się, jakbyśmy byli syjamskimi bliźniakami tuż po operacji rozdzielania.

Ray nastawił radio w samochodzie na KPIG 107.5, miejscową stację, która puszcza mieszankę country, folku i klasycznego rocka. Kiedy tak jedziemy na północ nadmorską autostradą numer 1 w stronę Santa Cruz, w kabinie ryczy *Magie Bus* The Who.

Słyszałem tę piosenkę dziesiątki razy, ale z głośników z tyłu docierają do mnie jakieś nieznane chórki, lekko fałszujące, choć pasujące do reszty. Mimo to ledwie je słyszę, bo zagłusza je falset Jerry'ego, który śpiewa z zespołem, robiąc sieczkę z tekstu.

Patrzę przez okno, kiedy Ray skręca z autostrady i jedzie przez jakieś przedmieścia, omijając główne ulice. Pewnie nie powinienem się tu wypuszczać, biorąc pod uwagę, że ojciec jest o jedno cuchnące pierdnięcie od odesłania mnie do zoo dla zombie, ale co innego mam robić? Siedzieć bez przerwy w pokoju, skacząc po kanałach z reality TV, prymitywnymi sitcomami i filmami poskracanymi na potrzeby telewizji, z setkami reklam, wciskającymi mi produkty, których nie wolno mi kupować i których nie mogę używać?

Jeśli mam powoli gnić, to nie chcę tego robić, gapiąc się na *Zamianę żon*.

Magie Bus cichnie i zaczyna się kawałek Stevie Raya Vaughana. Piosenka jest znajoma, ale nie na tyle, żebym pamiętał tytuł. Co dziwne, te nieznane chórki z The Who śpiewają teraz ze Stevie'em Rayem.

- Myślisz, że to się uda? - pyta Tom.

Patrzę na niego - na jego przekrwione oczy spoglądające z podartej twarzy, pełne nadziei - i wiem, że ta nadzieja zgaśnie jak zdmuchnięta, jeśli nie powiem mu tego, co chce usłyszeć.

Szczerze mówiąc, nie wiem, czy to się uda ani czy wyjdziemy z tego cało. Nie wiem, czy to dobry pomysł, szczególnie kiedy przypominam sobie, co spotkało Waltera.

Waham się przez chwilę. Chcę dodać Tomowi otuchy, mimo własnych wątpliwości, ale nie chcę mu dawać fałszywej nadziei. Kiedy patrzę w puste miejsce, gdzie powinna być prawa ręka Toma, dociera jednak do mnie, że dla nas każda nadzieja jest fałszywa.

Tom wciąż patrzy na mnie i walczy, by zachować tę pełną nadziei minę. Unoszę rękę, pokazuję mu kciuk i mówię:

- Arr splorch.

Tom nie ma pojęcia, co powiedziałem, ale to nie ma znaczenia. Jego zrujnowana twarz rozciąga się w uśmiechu.

Pięć minut później zatrzymujemy się na ulicy, trzy posesje od domu Sigma Chi.

Większość bractw z Uniwersytetu Kalifornijskiego Santa Cruz ma siedziby poza miasteczkiem studenckim, co jest dla nas dużym plusem, bo dzięki temu nie musimy się przejmować ochroną kampusu. Co prawda zbliża się jedenasta i ryzykujemy, że zastanie nas tu godzina policyjna, ale z drugiej strony, mamy zamiar włamać się do domu pełnego oddychaczy, pozostających pod opieką prawa i kalifornijskiego systemu szkolnictwa, więc martwić się teraz o godzinę policyjną to jak martwić się o mandat za złe parkowanie, kiedy idzie się obrobić bank.

- No więc, jaki jest plan? - pyta Jerry.

- Widzę to tak - odpowiada Ray. - Ktoś musi odwrócić uwagę, a cała reszta pójdzie na mały rekonesans i poszuka ręki Toma.

- Brzmi banalnie - mówi Jerry.

Tom kiwa twierdząco głową. Luźna skóra na jego policzkach łopocze w górę i w dół, przez co jego twarz wygląda, jakby próbowała odlecieć.

- No więc, Tom i Andy raczej nie nadają się na rekonesans i poszukiwania - mówi Ray - więc będą musieli tak zająć wszystkich, żeby ktoś miał czas wejść do środka, złapać rękę Toma i uciec.

Wszyscy patrzymy na Jerry'ego, który kiwa głową przez kilka sekund, aż nagle otwiera szerzej oczy, kiedy do niego dociera.

- Ja? Dlaczego ja?

- Bo ja muszę zostać w pobliżu i zadbać o to, żeby nic się nie stało naszym niepełnosprawnym przyjaciółom - odpowiada Ray.

Jerry otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale zamyka je i mamrocze tylko:

- Szlag.

Tom jęczy i zakrywa oczy dłonią.

- Nie napinaj szwów - mówi Ray do Jerry'ego. - Będziesz miał pomoc.

- Pomoc? - pyta Jerry, patrząc kolejno na Raya, Toma i na mnie. - Jaką pomoc?

- Nigdy nie lekceważ zaradności Raya - mówi Ray i wciska guzik na środku deski rozdzielczej, otwierając bagażnik.

Lumina kołysze się w przód i w tył, gdy wieko bagażnika otwiera się za nami. Dziesięć sekund później pojawiają się Zack i Luke, po obu stronach samochodu, jak dwa diabelfki z pudełka.

To wyjaśnia dodatkowe chórki w *Magic Bus*.

20

Stoję z Tomem w cieniu drzew naprzeciw domu Sigma Chi i spoglądam wzdłuż ulicy na chevroleta zaparkowanego pół kwartału dalej. W świetle latarni samochód wygląda jak bezpieczna przystań, jak jedyne schronienie. Oczywiście dopadły mnie wątpliwości, które zwykle pojawiają się po podjęciu ryzykownej decyzji, choćby nawet wynikała ona z głębokiego przekonania o słuszności własnych działań. Trochę jak u Jezusa na krzyżu, tyle że bez bólu, Rzymian i darmowej podróży do nieba.

Szybko zbliża się północ, a ja mam tylko jedną sprawną rękę, jedną sprawną nogę i za chwilę zrobię z siebie przynętę, żeby reszta mogła odzyskać rękę Toma. Ale zdrowy rozsądek ustępuje narastającemu pragnieniu, by sprawiedliwości stało się zadość. By brakująca kończyzna Toma wróciła na miejsce, a ci, którzy ją ukradli, zostali ukarani. Mimo to wciąż słyszę tykanie swojego wewnętrznego zegara, odmierzającego minuty do godziny policyjnej.

- Widzisz już coś? - pyta Tom.

Kręcę głową, nie wiedząc nawet, czy on mnie widzi. Tom ma gorszy wzrok ode mnie. Ja nie widzę znaku drogowego na najbliższym skrzyżowaniu, dwa domy dalej, a co dopiero sygnału Raya, że mamy zaczynać.

Kiedy Ray da sygnał ręką, ja i Tom, zachowując się jak prawdziwi zombie z Hollywood, mamy powlec się przez ulicę, na ganek domu Sigma Chi i wyciągnąć członków bractwa na zewnątrz. Ray, który najmniej z nas wszystkich przypomina zombie i w słabym świetle, wśród pijanych studentów może uchodzić za oddychacza, zainterweniuje jako nasz opiekun i przeprosi, że nas spuścił ze smyczy, zanim ktoś nas spierze aluminiowym kijem albo podpali. Kiedy członkowie bractwa będą zajęci nami trzema, Zack, Luke i Jerry zakradną się do domu tylnym wejściem i odszukają rękę Toma.

Jeśli plan A nie wyjdzie, plan B wygląda następująco: wpaść szturmem do domu, wystraszyć wszystkich na śmierć i mieć nadzieję, że ręką Toma się znajdzie, zanim przyjedzie Policja dla Zwierząt.

A co tam. Raz się nie żyje.

Chociaż nie wiem, co mamy robić, jeśli coś pójdzie nie tak. Tom może przynajmniej uciekać, ale ja nie mam tego luksusu, co oznacza, że będę musiał stanąć do walki. Jeśli do tego dojdzie, to mam nadzieję, że zabiorę ze sobą przynajmniej jednego z nich.

Tom szepcze coś po mojej lewej. Po chwili orientuję się, że powtarza sobie jeden z eufemizmów Helen:

- Jestem ocalałym... Jestem ocalałym... Jestem ocalałym...

W domu Sigma Chi nie widać żadnego ruchu, a przed domem nie ma ani śladu Raya. Przez to oczekiwanie jestem zdenerwowany coraz bardziej, w czym nie byłoby nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że naprawdę to odczuwam. Nie tylko wspomnienie zdenerwowania, ale wszystkie fizyczne objawy, które mu towarzyszą. Po raz pierwszy, od kiedy umarłem, czuję coś, co dziwnie przypomina adrenalinowego haja.

Ale nie mam czasu głębiej się nad tym zastanowić, bo we wnętrzu domu rozlega się wrzask. Po paru sekundach okno na górze eksploduje deszczem tłuczonego szkła, gdy wypada przez nie ciało, turla się po dachu, spada za krawędź i ląduje twarzą w dół na trawniku od frontu.

- Czy to sygnał? - pyta Tom.

Wrzaski w domu przybierają na sile, hałas wylewa się przez rozbite okno, a zza domu wybiega pędem Ray i krzyczy:

- Plan B! Plan B!

Patrzymy z Tomem, jak Ray wybiega na chodnik i pędzi w stronę chevroleta. Zaczynają się zapalać światła na gankach sąsiednich domów, w tym również domu za nami.

Ciało, które wypadło z okna na trawnik przed Sigma Chi, wstaje i rusza biegiem w naszą stronę, unosząc w powietrze trzy ręce.

- Mam ją, ziom! - wrzeszczy Jerry, wymachując triumfalnie ręką Toma.

Tom, stojący obok mnie, zaczyna szlochać z radości.

W domu bractwa panuje istne piekło. Ludzie krzyczą i wrzeszczą, cienie przemykają w oknach jak duchy. Otwierają się frontowe drzwi i dwóch oddychaczy wybiega na ulicę, ściganych przez Zacka albo Luke'a - nie potrafię stwierdzić, który to, ale śmieje się w głos.

Kiedy razem z Tomem biegniemy przez ulicę w stronę Jerry'ego, Ray podjeżdża chevroletem i wysiada, nie gasząc silnika.

- Bierzcie samochód - mówi, przebiegając obok nas w kierunku domu bractwa.

- A wy? - krzyczy Tom.

- Po prostu spadajcie stąd! - odwrzaskuje Ray. I znika za domem.

Mnie nie trzeba dwa razy powtarzać. W oddali słyszę syreny i myśl o przejeździe w furgonetce Policji dla Zwierząt zupełnie nie pasuje do myśli o chwale i sprawiedliwości, które pchnęły nas do tej misji.

Jerry rzuca zdobycz Tomowi, który chwyta ją jedną ręką jak gwiazda boiska futbolowego i wskakuje na przednie siedzenie pasażera. Ja rzucam się na tylną kanapę i zamykam za sobą drzwi. Nie mam czasu nawet zapiąć pasa, kiedy Jerry wciska gaz do dechy i chevrolet rusza z kopyta przy pierwszych dźwiękach *Magic Carpet Ride* Steppenwolf.

Wyglądam przez tylną szybę. Syreny są coraz głośniejsze, a na ulicę zaczynają wychodzić sąsiedzi. Dobrze, że zostawiamy to za sobą.

- Juhuuu! - wrzeszczy Jerry, biorąc ostry zakręt. Zjeżdżam po tylnej kanapie w stronę drzwi i uderzam twarzą o szybę. - Trzymajcie się za jaja, chłopaki. Będzie jazda!

Przed kolejnym zakrętem udaje mi się naciągnąć pas i się przypiąć.

- Zwolnij! - mówi Tom, trzymając w objęciach swoją rękę. Jerry ostro skręca w lewo, aż piszcza opony i tył chevroleta znosi w prawo. - Zwolnij, zwolnij!

Gorsza od jazdy na tylnym siedzeniu jest chyba tylko jazda na tylnym siedzeniu, kiedy się nie może mówić. Kiedy mogę wyrazić swoje obawy jedynie wrzaskiem.

Na ulicach nie ma dużego ruchu, ale choć samochodów jest niewiele, Jerry wymija je wszystkie, zjeżdżając na przeciwny pas. Udało nam się szczęśliwie uciec z miejsca zbrodni, więc ostatnia rzecz, jakiej chcemy, to ściągać na siebie uwagę, ale Jerry wciąż jest dwudziestojednoletnim wariatem drogowym i nie ma zamiaru słuchać głosu rozsądku.

- Hej - mówi Tom, przyglądając się odzyskanej kończynie. - To nie moja ręka.

- Nie? - dziwi się Jerry.

- Nie.

- Jesteś pewien?

- Tak, jestem pewien! - Tom podnosi głos. - Patrz! - Lewą ręką unosi tę drugą za nadgarstek. Nawet z tylnego siedzenia widzę, że ręka jest dobre pięć centymetrów krótsza niż ręka Toma. I porośnięta gęstym, czarnym włosom.

Jerry wyprzedza volkswagena vanagona i zerka na Toma.

- Ups...

- Ups? - złości się Tom. - Ups?

- Ziom, tam ich było chyba ze dwadzieścia. Nie mogłem wziąć wszystkich, więc zabrałem tę, która wydawała mi się podobna do twojej.

- Czy ona wygląda jak moja? - pyta Tom, wymachując ręką Jerry'emu pod nosem.

- Ziom, przecież powiedziałem, przepraszam.

- No i co ja mam z tym zrobić? - złości się Tom, rzucając rękę na deskę rozdzielczą.

- Przymierzyć - proponuje Jerry.

- Przymierzyć? Czy ja wyglądam jak potwór Frankensteina?

Jerry spogląda na niego.

- Bo ja wiem... Jeśli już o tym wspomniałeś...

Przed nami widać czerwone światło, a Jerry jedzie osiemdziesiąt w terenie zabudowanym. Wydaję z siebie ostrzegawczy pisk, ale Jerry tylko dodaje gazu. Gdybym mógł się oblać zimnym potem, tobym się oblał.

- Czerwone, czerwone, czerwone! - wrzeszczy Tom, na chwilę zapominając o prawej ręce, a lewą wskazując przed siebie.

Jerry zaczyna nucić melodyjkę z *Mission: Impossible* i wciska gaz do dechy. Tom i ja wyrzucamy z siebie identyczne: „Niiiiieeeee!”

Na ułamek sekundy przed wjazdem na skrzyżowanie światło zmienia się na zielone.

- Spokojnie, babcie - mówi Jerry. - Wszystko pod kontrolą.

Tom osuwa się na fotelu, zakrywając oczy ręką. Ja wciąż siedzę za Jerrym, czujny i skupiony. Gdybym był żywy, serce łomotałoby mi jak szalone i pocilyby mi się dłonie. Nieobecność tych fizycznych symptomów dziwnie mnie uspokaja. A poza tym nie mogę się nadziwić, że z mojego gardła wyszedł artykułowany dźwięk. Chociaż ani Tom, ani Jerry tego nie zauważyli. A jeśli tak, to do nich nie dotarło. Ale wyraźnie krzyknąłem „Niiiiieeeee”. A przynajmniej tak mi się wydaje. Chcę sprawdzić, czy uda mi się to powtórzyć albo powiedzieć coś innego, ale jestem trochę niespokojny i skrępowany, więc próbuję cichutko, śpiewając razem ze Steppenwolf:

Chodź ze mną, mała

Polecimy czarodziejskim dywanem?

Większość słów wciąż brzmi jak bełkot, ale kilka wychodzi całkiem dobrze, albo prawie, i zastanawiam się, czy jest jakaś dziwna, kosmiczna więź między piosenkami, które leciały dzisiaj w radiu a moją nową zdolnością wydawania artykułowanych dźwięków.

Czy to jest zaczarowany autobus? Czy wciąż będę umiał mówić, kiedy ta przejażdżka czarodziejskim dywanem dobiegnie końca? Czy może to początek czegoś więcej? Ale to nie ma znaczenia. Wiem tylko, że przez ostatnie dwa tygodnie stanąłem na nogi. I nie mogę się doczekać, co będzie jutro. Oczywiście pod warunkiem, że Jerry nie unicestwi nas w ognistej kraksie.

Jerry pokrzykuje radośnie, mknąc Chestnut Street w stronę autostrady numer 1, ignorując znaki stopu i ograniczenia prędkości, choć Tom siedzi nadąsany i smutny na fotelu pasażera. Jerry zerka na mnie w lusterku, więc odpowiadam mu uśmiechem, pokazuję uniesiony kciuk i pokrzykuję razem z nim.

21

Czasami sam siebie przyprawiam o dreszcze.

Zwykle dzieje się to w środku nocy, kiedy się budzę, nie pamiętając, że moja lewa ręka jest niesprawna albo że się powoli rozkładam i dziwi mnie, co tak śmierdzi.

Czasem widzę swoje odbicie w lustrze i jestem o krok od wrzasku, aż rozpoznaję wyraz przerażenia na własnej twarzy i dociera do mnie, że to ja.

A czasem, choć bardzo rzadko, siedzę w piwniczce na materacu, gapiąc się w trzydziestodwucalowy telewizor, który kupili mi rodzice, i nagle moje spojrzenie zaczyna błądzić po butelkach leżących pod ścianami. Wyobrażam sobie, że każda z nich jest pełna magicznego eliksiru, który wyleczy inny fragment mojego ciała.

Grgich Hills Cabernet Sauvignon rocznik 1986 uleczy moją lewą rękę, Beringer Foundes' Estate Merlot z 2000 roku lewą nogę, Castello di Brolio Chianti z 1995 odda mi twarz, a Pinot Noir Monticello z 1999 przywróci mi głos. Ojciec ma tu też najróżniejsze chardonnay, sauvignon blanc, chenin blanc i rieslingi, ale ja nigdy nie przepadałem za winem. To jakby pić coronę zamiast guinnessa. Po prostu nigdy nie widziałem w tym sensu.

Tego ranka oglądam klipy z lat 80. na VH1, płucząc gardło Pinot Noir Monticello rocznik 1999.

Pewnie tylko mi się tak wydaje, ale wino ma dzisiaj jakby bardziej intensywny smak.

Po każdej rundce płukania przełykam magiczny eliksir i wypróbuję głos, śpiewając z telewizorem. Nie żebym ryczał na całego. Nie znam większości tekstów, a duża część z tego, co znam, wychodzi w postaci mamrotanego bełkotu, jakbym bał się odkryć, że się łudzę, myśląc, że naprawdę wraca mi zdolność mówienia. Ale kiedy zaczyna się *Bohemian Rhapsody* Queen, podkreścam dźwięk do takiego poziomu, żeby zagłuszył moje skrzeczenie. Może jest trochę za głośno. Ojciec zaczyna łomotać w drzwi piwniczki, krzycząc, żebym „ściszył ten cholerny jazgot!”

Udaję, że go nie słyszę.

Tu też nie znam całego tekstu. Ale kiedy telewizor gra tak głośno, to nie ma znaczenia. Kaleczę piosenkę, chrypię niezrozumiałe słowa, kwaczę jak kaczka, która uczy się mówić po holendersku. Ale od czasu do czasu wykwakuję coś, co brzmi znajomo, wydaję z gardła jakieś stęknienie czy skrzek, które przypominają mowę. Takie słowa jak „też”, „nie” czy „oko”. Oczywiście, to tylko małe kroczki. Ale przecież jestem na początku drogi, jak nowo narodzone dziecko.

Narodzone, by żyć w świecie rozkładu.

Uczące się na nowo chodzić i mówić.

Pijące mleko z piersi nadziei.

Nie rozumiem, jak to możliwe fizjologicznie, że wraca mi zdolność mówienia. Może wcale nie jest możliwe. Może po prostu uczę się wydawać dźwięki, które udają słowa. Tak czy inaczej to coś nowego. A kiedy większość nowości w twojej egzystencji sprowadza się do nowego odcienia smrodu, do utraty kolejnej części ciała czy do nowej hodowli larw, wszystko, co zdaje się podążać w odwrotnym kierunku, jest zdecydowaną zmianą na lepsze.

Kiedy piosenka się kończy i zaczyna się przerwa na reklamy, przyciszam dźwięk, triumfalnie przeplukuję gardło winem i słucham, jak ojciec rzuca mięsem zza drzwi. Zwykle, kiedy ojciec przeklina moje istnienie, mój nastrój robi się zdecydowanie gorszy. Trochę trudno myśleć pozytywnie, kiedy jedno z rodziców sugeruje, że lepiej przysłużyłbyś się ludzkości, włączając do niszcarki gałęzi.

Tym razem jego obelgi mnie bawią. Zaczynam się śmiać, prychając pinotem przez nos na całe posłanie, co tylko pobudza mnie do jeszcze głośniejszego śmiechu. Po chwili śmieję się już tak szaleńczo, że pewnie zakrztusiłbym się na śmierć, gdyby to było możliwe. I nagle ogarnia mnie pragnienie, żeby dzielić z kimś tę chwilę. Mieć kogoś, kto śmiałby się ze mną.

Kogoś, kto doceniłby zmiany, jakich doświadczam. Kogoś, kto rozumiałby, co czuję.

W telewizji mężczyzna i kobieta idą ulicą, trzymając się za ręce i ściągając na siebie spojrzenia wszystkich przechodniów. Mają tak promienne uśmiechy, tak idealne twarze. Nie wiem, co reklamują, ale przypomina mi się mój spacer z Ritą przez wieś, i ogarnia mnie żal, że nie jesteśmy jak ta para z telewizji.

Dotykam własnej twarzy, przebiegam palcami po zygzakach szwów i zastanawiam się, czy głos to jedyna rzecz, którą mogę poprawić. Czy jest coś, co mogłoby sprawić, że wyglądałbym mniej trupio. Czy jest jakiś sposób, żebym był tak szczęśliwy jak ta para na ekranie.

Aż dociera do mnie, że to reklama ubezpieczeń na życie.

22

- Chodzi o to - mówi mama, kiedy rozprawdzam korektor mięką gąbeczką do makijażu - żeby granica zlewała się ze skórą i żeby warstwa nie była za gruba, nie przypominała gipsu. Inaczej tylko podkreślisz wszystkie skazy, zamiast je ukryć.

Ulubiony korektor mamy to ciepły beż Yves'a Saint-Laurenta, który dobrze pasuje do jej cery. Ja potrzebowałbym raczej odcienia ciepła mąka. A moja skóra jest tak sucha, że natychmiast wchłania całą wilgoć z makijażu.

- Przed nałożeniem korektora powinieneś oczyścić i nawilżyć skórę - tłumaczy. - Dzięki temu będzie gładza i bardziej podatna. Może warto byłoby spróbować jakiegoś łagodnego peelingu.

Kiedy zapytałem mamę, czy ma coś, co pomogłoby zamaskować szwy na mojej twarzy, miałem raczej nadzieję na słoik kremu czy inny prosty środek, z którym mógłbym eksperymentować sam. Ale ona złapała cały swój zestaw do makijażu, podświetlane lustro powiększające i posadziła mnie przy kuchennym stole.

- No dobrze, ten korektor nie bardzo pasuje do koloru twojej cery - mówi bez cienia ironii - więc po prostu musimy użyć jaśniejszego podkładu. I dobrze rozetrzeć.

Choć mama używa liczby mnogiej, ma na myśli wyłącznie mnie. Mimo całego jej entuzjazmu, chęci pomocy przy zamaskowaniu szwów i uczynieniu mnie „bardziej ludzkim”, jak to taktownie ujęła, wciąż nie chce mnie dotykać. Pokazuje tylko palcem, udziela

wskazówek i podsuwa tubki, buteleczki czy słoiczki. Chyba sama nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo brzydzi ją myśl o fizycznym kontakcie z własnym synem, ale przynajmniej spędzamy razem czas.

Płynny podkład wygląda jak ciasto na naleśniki, kiedy rozsmarowuję go po policzkach maciupką, wilgotną gąbeczką. Z czystej ciekawości - i wiedząc, że zawsze warto spróbować czegoś nowego - wypijam łyżeczek, żeby się przekonać, czy smakuje jak ciasto. Nie smakuje.

- Andrew! - beszta mnie matka. - Taka buteleczka kosztuje trzydzieści pięć dolarów.

Bylibyście zdumieni, ile formaldehydu zawiera jedna buteleczka płynnego podkładu. Szczególnie odżywczy jest Cover Girl.

Kiedy podkład jest już rozprowadzony na moich policzkach, czole i podbródku, pora na puder konturujący, który ma wygląd i konsystencję kakao instant. Kusi mnie, żeby spróbować i tego, ale mama mnie pilnuje, więc tylko nakładam go pędzlem na twarz.

- Pamiętaj, żeby nakładać ruchami do dołu, kochanie - mówi. - Wtedy nie będą ci sterczeć włoski na twarzy.

Po pudrze konturującym przychodzi pora na przejrzysty puder matujący. Ja tam nie widzę różnicy, tyle że ten jest chyba drobniejszy i wklepuje się go kosmetyczną gąbką, zamiast nakładać pędzlem. Mama próbuje mnie namówić, żebym nałożył dla wykończenia trochę różu, ale mnie się jakoś nie wydaje, żeby różane policzki wyglądały u mnie naturalnie. Chociaż po korektorze, podkładzie i dwóch warstwach pudru, nie użyłbym słowa „naturalny”, by opisać swój wygląd.

Mama obchodzi stół, staje metr ode mnie i schyla się, żeby zajrzeć mi przez ramię.

- Moim zdaniem jest idealnie - mówi, uśmiechając się do mnie w lusterku. - A ty jak myślisz, kochanie?

Zdaje się, że potrzebuję drugiej opinii.

W tej chwili wchodzi ojciec, widzi mnie w podomce, z włosami zaczesanymi do tyłu i przypiętymi wsuwkami, żeby nie włożyły na wytapetowaną twarz.

- Jezu Chryste! - rzuca i odwraca się na pięcie. Wychodzi z kuchni.

Jestem niespokojny. Nakręcony. Mój mózg nie chce się wyłączyć.

A na dodatek maska z podkładu i korektora, którą pomogła mi nałożyć matka, tak ściągnęła mi skórę, że czuję się, jakby ktoś napompował mi twarz formaliną.

Oczywiście balsamowanie nie pomoże ci się pozbyć kurzych łapek, zmarszczek od śmiechu i nie odejmie ci piętnastu lat z nekrologu, ale może sprawić, że twoja twarz będzie tak sztywna i nienaturalna jak piersi gwiazd porno. A poza tym cały zabieg jest dosyć inwazyjny.

Jeśli nigdy nie obudziliście się w kostnicy z rurką wsuniętą w tętnicę szyjną, czując, jak twarz wam się nadyma niczym balon z helem, to pewnie nie zrozumiecie.

Po usunięciu makijażu ręcznikiem do rąk i wypiciu butelki chardonnay Napa Valley Pahlmeyer rocznik 2005 już w ogóle nie chce mi się spać i szukam sobie jakiegoś zajęcia. Moje możliwości są zawężone do telewizji i wina, więc biorę pilota i zaczynam przerzucać kanały, usiłując powtarzać dialogi z różnych programów, pracując nad wymową. Ale po piętnastu minutach oglądania *Strażnika Teksasu* i *Bajeru z Bel-Air* nie mogę już dłużej.

Nie chcę siedzieć w domu i gapić się na Hallmark i Nickelodeon. Mam ochotę pograć w tenisa albo pojeździć na rowerze, albo powłóczyć się po Santa Cruz. Na myśl o oddychaczach wrzeszczących i uciekających na mój widok zaczynam się śmiać i, zanim zdążycie powiedzieć *Noc żywych trupów*, jestem już za drzwiami piwniczki i ruszam na nocny spacer.

Spacerowanie po drugiej w nocy to świetny sposób zafundowania sobie rozczłonkowania. Ale siedzenie w piwniczce rodziców coraz bardziej zaczyna przypominać dożywotnie więzienie. A wycieczka do Sigma Chi i próba odzyskania ręki Toma bardzo mnie ośmieliła.

Oczywiście nie jestem kompletnym idiotą, więc trzymam się w cieniu i udaję bezdomnego pijaka, ilekroć przejeżdża samochód. I mimo że przy ludziach wciąż muszę udawać kogoś innego, czuję przepelniającą mnie radość. Ach, ta wolność, to czarne, rozgwieżdżone niebo, to zimne, listopadowe powietrze na mojej twarzy. Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, przysięgłbym, że widzę własny oddech.

Z początku idę bez żadnego konkretnego celu. Ot, po prostu zwykły zombie na nocnej przechadzce. Ale nagle orientuję się, że kuśtykam wzdłuż Old San Jose Road, wydeptując drogę, którą pokonałem niezliczoną liczbę razy od wypadku. Tyle że tym razem, zamiast cmentarza Soquel i grobu mojej żony, moim celem okazuje się opuszczony spichlerz.

Ray nie śpi i podtrzymuje żar w ognisku. Bliźniacy siedzą po jego lewej, oparci o siebie, z przymkniętymi oczami i z pustym wekiem na ziemi obok. Choć oczywiście miałem

nadzieję, że udało im się uciec bez szwanku po katastrofie w domu bractwa, czują ulgę i radość na ich widok.

- Witam - mówi Ray, unosząc rękę powitalnym gestem, na widok którego wzruszenie ściska mnie w gardle. Zwykle kiedy ktoś unosi rękę na mój widok, trzyma w niej pocisk z przeterminowanego jedzenia, krucyfiks albo paralizator.

Siadam naprzeciwko bliźniaków, uśmiechając się i kiwając głową, szczęśliwy, że wyszedłem z piwniczki i jestem wśród towarzyszy, którzy mnie akceptują. Nawet bez buzującego ognia jest tu ciepło. Przytulnie. Oto schronienie przed rządami oddychaczy, przed ich zasadami. Cotygodniowe spotkania w domu kultury tego nie dają. Przecież nie przychodzimy tam wyłącznie dla własnej przyjemności. Spotkania są prowadzone według zasad oddychaczy i nikt nie zaprosi nas, żebyśmy wpadli na comiesięczną degustację ciast Klubu Rotariańskiego.

Nie zauważyłem tego wcześniej, ale teraz czuję, że jestem głodny.

Zanim mam czas zapytać, Ray wstaje bez słowa, wyciąga słoje Cudownego Przymaku i butelkę budweisera. Otwiera jedno i drugie i stawia na ziemi przede mną. Kiedy sięgam po mazak, żeby mu podziękować, orientuję się, że zostawiłem tablicę w domu.

- Ęki - mówię. Słowo, zgrzytające jak żwir, bardziej przypomina śmiertelne rzeźenie niż podziękowanie, ale Ray odgaduje intencję.

Patrzy na mnie i mówi:

- Nie ma za co.

Jem palcami, rozkoszując się konsystencją mięsa i smakiem, który stał się tak bogaty i wspaniały, i o niebo przewyższa wszystko, co jadłem przez ostatnie miesiące. Może to przez fakt, że jem dziczyznę ze słoika, nie używając sztućców. Ale to uczucie pierwotnego głodu, którego doświadczyłem ostatnim razem, jest silniejsze. A co więcej, jest przyjemne.

Przez kilka minut po prostu siedzimy tak sobie we czwórkę. Słychać tylko trzaski i syki ogniska. I moje pomruki zadowolenia.

Po mojej lewej jeden z bliźniaków beka, a drugi chichocze.

Dojadam zawartość słoika, wycieram palce o dzinsy i wydaję z siebie długie, zadowolone westchnienie.

- To naprawdę przyjemny odgłos - mówi Ray i wypija łyk piwa. - Odgłos zadowolenia.

Przytakuję i w odpowiedzi unoszę swoje piwo.

- I nic lepiej nie zadowoli człowieka niż dobry posiłek i piwo - mówi Ray. - Prawda, chłopcy?

Zack i Luke kiwają głowami.

- Oczywiście poczucie zadowolenia może mieć też swoje wady - kontynuuje Ray. - Stajesz się zbyt zadowolony, czujesz się zbyt dobrze i zaczynasz zapominać, dlaczego na początku w ogóle było ci źle.

Bliźniacy, którzy prawie spali, gdy przyszedłem, siedzą teraz jeden przy drugim z oczami wlepionymi w Raya, a ich głowy kiwają się w rytm jego słów.

- Zadowolenie rodzi lenistwo - mówi dalej Ray. - A ktoś, kto ma skłonność do lenistwa, łatwo może pozwolić, żeby inni mówili mu, co mu wolno, a co nie.

Słowa Raya toczą się płynnie, są gładkie i pełne przekonania, w tonacji kazania. Jest kimś na kształt kaznodziei zombie. Mesjasza nieumarłych. A Luke i Zack, siedzący i kiwający głowami w rytm jego słów, są jego apostołami.

Słucham Raya i zauważam, że moja głowa również zaczęła się kiwać.

- Ty mi nie wyglądasz na lenia, Andy - mówi Ray.

Kręcę głową i mówię:

- Ee.

Brzmi to raczej jak stękanie w toalecie niż wyparcie się grzechu lenistwa. Ale sens dociera.

- Tak też myślałem - mówi Ray, wypijając resztę piwa. Zanim pusta butelka Raya zdąży dotknąć podłogi, Luke wstaje i wręcza mu pełną, potem podaje jedną mnie i wraca do brata. Stukają się butelkami i piją jednocześnie, jakby jeden był lustrzanym odbiciem drugiego.

Nadal przyprawiają mnie o gęsią skórkę, ale zarazem są tacy swojscy.

- Nie możesz sobie pozwolić na lenistwo - mówi Ray. - Satysfakcja to luksus. Zadowolenie to ekstrawagancja. Jak ja to zawsze mówię, nie możesz ciągle czekać, aż ktoś rozwiąże za ciebie problemy czy poprawi twój los. Prędzej czy później będziesz musiał sam sobie pomóc.

Słucham Raya i nie mogę nie myśleć o słowach Helen, tych zagrzewających, inspirujących zdaniach, które wypisuje na tablicy:

„Nie jesteś sam”.

„Jestem ocalałym”.

„Nadzieja to nie jest brzydkie słowo”.

Choć doceniam, że Helen stara się nas zainspirować i podnieść nasze morale, to chyba rozumiem, do czego zmierza Ray. Jesteśmy sami, więc musimy polegać tylko na sobie. Nie może nas satysfakcjonować samo przetrwanie. A jeśli popadniemy w samozadowolenie, to

już w ogóle nie ma na co liczyć.

Przypomina mi się jeszcze jedno powiedzonko Helen, to, które napisała na tablicy pod koniec ostatniego spotkania:

„Znajdź swój cel”.

Siedząc tak i słuchając, jak Ray mówi, prawie wierzę, że mi się uda.

24

Dzisiejsze spotkanie ma zdecydowanie odświętny charakter. Jeśli można użyć słowa „odświętny”, opisując bandę ożywionych, rozkładających się trupów.

Nasza liczba niemal się podwoiła. Zjawił się Ray, jak obiecał, przyprawdzając ze sobą Zacka i Luke'a. Naomi, Carl i Helen przyprawdzili własnych gości. Brakuje tylko Toma, który pewnie za bardzo się wstydził rąk nie od kompletu, żeby się pokazać.

Nikt inny z grupy nie wie o próbie odzyskania jego ręki. A ponieważ nie mówili o tym w wiadomościach, Jerry i ja postanawiamy się tym nie chwalić. We trzech wymyśliliśmy historyjkę, że Tom wybrał się do składnicy części ciał i załatwił sobie nową rękę. Dość często się zdarza, że zombie potrzebują części zamiennych, a składnica jest całkiem przyjaznym miejscem, pod warunkiem że przyjdiesz z oddychaczem i płacisz gotówką. Wybór jest raczej marny, więc nasza historia jest wiarygodna. Do licha, widywaliśmy już zombie z dwiema lewymi rękami.

Na tablicy Helen widnieje napis „Witamy ocalałych”, podkreślony i z wykrzyknikami. Brakuje tylko uśmiechniętej buźki.

Sterczę w pobliżu stołu z przekąskami, próbując ciasteczek, i żałując, że nie mam odwagi wypróbować paru nowych słów, których się nauczyłem. Właściwie to tylko dwa słowa: „Cześć, Rita”. Ale na razie wychodzi mi tylko „śc, Ita”, co brzmi raczej jak głupia zaczepka niż jak pozdrowienie, więc milczę i zadowolam się obserwacją mojego obiektu pożądania, który spogląda w moją stronę i się uśmiecha.

Dziś Rita ma na sobie biały golf, białą szydełkową czapkę i białe dżinsy. Wygląda trochę jak zombie śnieżynka.

Urzędnik do spraw kontaktów z Okręgowego Wydziału Rezurekcji, najwyraźniej przytłoczony taką liczbą zombie w swoim pobliżu, stoi z plecami przy ścianie, tak blisko

wyjścia, jak się da. Byłoby miło, gdyby poczuł się trochę swobodniej, więc kuśtykam do niego i próbuję go poczęstować ciasteczkami orzechowym. Urzędnik błędnie tak bardzo, że może nieomal uchodzić za jednego z nas.

Po kilku minutach wychodzi.

Z wyjątkiem Raya, który przyszedł się przywitać, nikt z nowo przybyłych do mnie nie podchodzi, więc patrzę tylko, jak wszyscy inni nawiązują znajomości, jedzą ciastka, piją poncz i gawędzą.

- Jak umarłeś?

- Zabalsamowali cię?

- Gdzie miałaś być pochowana?

- Ziom, czy ty jesteś umalowany?

Jerry stoi przede mną, w czapeczce na bakier i z krokiem spodni w kolanach. Zanim udaje mi się wymyślić jakieś marne usprawiedliwienie i napisać je na tablicy, po mojej prawej zjawia się Rita.

- Andy jest umalowany - oznajmia Jerry.

- Naprawdę? - dziwi się Rita.

Odwraca się, żeby na mnie spojrzeć, przygląda się mojej twarzy. Jej oczy są jak ciemne gwiazdy w jej białej twarzy. Nagle przestaje mnie obchodzić ktokolwiek inny. Jak dla mnie, w sali nie ma nikogo prócz nas.

Rita wyciąga rękę i wskazującym palcem dotyka boku mojego nosa. Przyciskając lekko, przeciąga palcem po moim policzku. Na jej opuszcze zostaje cienka warstewka korektora i podkładu. Rita wkłada palec do ust i oblizuje do czysta.

- Mmmmm - mówi. - Yves Saint-Laurent.

Jerry patrzy na Ritę z otwartymi ustami, po czym zamyka je i spogląda na mnie.

- Ziom.

- Okej - mówi Helen. - Usiądźcie, proszę. Może już zaczniemy.

Rita, Jerry i ja siadamy razem. Ray, ze swoim plecakiem, zajmuje miejsce obok nas, a Zack i Luke siadają z drugiej strony, zsuwając krzesła jak najbliżej, jak dwa kociaki szukające ciepła. Nie dziwiłbym się, gdyby zaczęli się nawzajem wylizywać.

Obok bliźniaków siedzi Carl ze swoim gościem, kobietą koło pięćdziesiątki, Leslie. Leslie ma brytyjski akcent i żadnych widocznych szram, tylko bladą, sinawą cerę. Cóż, jak my wszyscy.

Nie znam historii Leslie i nie wiem, jak poznała Carla, ale sądząc po tym, jak Carl wierci się na krześle i próbuje ukryć nerwowy uśmiezek, przysiągłbym, że jest w niej

zabujany. A poza tym nie jest wredny, jak zwykle na spotkaniach, więc wiem, że coś jest na rzeczy.

Po drugiej stronie Raya siedzą Naomi i nastolatka o imieniu Beth, która zginęła w wypadku samochodowym. Nie znam szczegółów, ale jest oczywiste, że cały impet uderzenia przyjęła na twarz.

Obok Beth siedzi Ian, który jest chyba w moim wieku. Ian przyszedł z Helen i właściwie nie wiem nic więcej. W granatowym garniturze wygląda raczej jak oddychacz niż jak jeden z nieumarłych. I używa mnóstwo wody kolońskiej.

- Po pierwsze, pragnę przywitać wszystkich nowych przybyszów - mówi Helen, rozkładając ramiona, jakby chciała ogarnąć nasz powiększony półokrąg plastikowych krzeseł i ożywionych zwłok. - Wiem, że dla niektórych z was przyjście tutaj było trudne, może nawet przerażające, więc chciałabym wam podziękować za zrobienie pierwszego kroku i wyciągnięcie do nas ręki.

Carl zaczyna bić brawo, ale orientuje się, że nikt inny nie klaszcze, więc przestaje i w zamyśleniu zaczyna dłużyć w jednej ze swoich ran. Cała reszta, szczególnie stali bywalcy, gapi się na niego bez słowa.

- Carl, dziękuję za entuzjazm - mówi Helen. - No więc, zanim przejdę do dzisiejszego tematu, chciałabym poprosić zarówno nowo przybyłych, jak i stałych bywalców, żebyście opowiedzieli swoją historię ocalenia. Carl, może zaczniemy od ciebie.

Carl wstaje, znów uśmiecha się nerwowo, przetyka ślinę i jękając się, opowiada o tym, jak został zadźgany nożem. Naomi śmieje się z jego zachowania, ale Carl się jej nie odgryza. Kończy i siada.

- Witam, mam na imię Leslie - mówi jego gość, wstając i przyglądając niebieską sukienkę, która jest ledwie o odcień ciemniejsza od jej cery. - Obawiam się, że moja historia nie jest tak ekscytująca jak Carla. Po prostu w zeszły czwartek miałam zawał serca i umarłam.

- Rany - mówi Jerry. - Jesteś kompletnie nowa w tym nieumarłym świecie, co?

- Zupełnie - odpowiada Leslie.

- Jak ci idzie? - pyta Helen.

- To oczywiście był niemały szok - odpowiada Leslie. Jej angielski akcent sprawia, że bycie nieumarłym wydaje się niesłychanie oficjalne i poprawne. - Ale Carl był taki kochany.

Wszyscy spoglądamy na Carla, który uśmiecha się skrępowany i wstaje.

- Przepraszam - mówi. - Muszę skorzystać z toalety.

Naomi znowu wybuchła śmiechem, a Carl wychodzi.

- No więc, jak to było? - pyta Rita.

- Cóż, kiedy obudziłam się w piątek rano na stole pod prześcieradłem - ciągnie Leslie - myślałam, że nadal żyję, aż uświadomiłam sobie, gdzie jestem.

- A gdzie to było? - pyta Helen miękkim głosem.

- Gdy usiadłam i odsłoniłam prześcieradło, zobaczyłam dwóch mężczyzn w chirurgicznych strojach i maskach, którzy otwierali klatkę piersiową nieżywego chłopca leżącego na stole obok.

Grupa kiwa ze zrozumieniem głową i mruzczy.

- I co zrobiłaś? - pyta Rita.

- W pierwszej chwili po prostu się zawstydziałam - odpowiada Leslie. - Nie byłam ubrana, więc próbowałam się zakryć prześcieradłem. Potem zauważyłam szwy biegnące wzdłuż mojej klatki piersiowej. A potem jeden z tych ludzi mnie zauważył i zaczął krzyczeć.

Kolejne pomruki i potakujące głowy.

- Jak poznałaś Carla? - pyta Naomi.

- Zostałam zabrana do schroniska TPO, skąd odebrała mnie córka - odpowiada Leslie.

- Carl siedział w klatce obok.

W tej chwili Carl wraca z toalety. Podchodzi do swojego krzesła, ale nikt się nie odzywa. Jest tak cicho, że słyszę, jak Jerry się rozkłada.

- Co? - pyta Carl, zatrzymując się i sprawdzając, czy ma zapięty rozporek.

- Ziom - mówi Jerry. - Ty w schronisku?

Carl się rozgląda, jakby został przyłapany na masturbacji.

- Powiedziałam im, że tam się poznaliśmy - wyjaśnia Leslie.

- No... Tak, cóż - odpowiada Carl. - To było zwykłe nieporozumienie. Możemy kontynuować?

Zack i Luke wstają ramię w ramię i recytują historię o skoku na główkę z mostu kolejowego do rzeki San Lorenzo. Sposób, w jaki opowiadają tę historię, jest trochę niesamowity. Każdy z nich mówi parę słów, potem drugi podejmuje wątek, mówi dalej, a potem na odwrót, zupełnie jakby mieli jeden umysł i dwoje ust.

Po nich jest Jerry ze swoją zabawną historyjką wypadku samochodowego. Gdy ją kończy, oferuje każdemu możliwość dotknięcia jego odsłoniętego mózgu. Tylko bliźniacy korzystają z okazji, cała reszta odmawia.

Zaczynam wstawać, żeby pokuśtykać do tablicy i opowiedzieć moją historię, ale Rita kładzie mi rękę na ramieniu i zatrzymuje na krześle.

- Andy ocalał z wypadku samochodowego, podczas którego doznał poważnych obrażeń i nie może mówić - wyjaśnia, patrząc na mnie z uśmiechem. - Ale to nie oznacza, że

nie jest dobrym słuchaczem.

Siedzę i słucham, jak Rita opowiada moją historię, zahipnotyzowany przez jej usta - soczyście czerwone i układające się w słowa, które powinny być moimi słowami. Czuję się zaszczycony, że opowiada za mnie, dzieląc się ze wszystkimi moją historią. Powiedziałbym nawet, że opowiada ją lepiej ode mnie.

Kiedy moja historia dobiega końca, Rita opowiada o swoim samobójstwie. Jaka czuła się samotna i zrozpaczona, jak wyrzutek wśród żywych - bez przyjaciół, bez wspólnoty, bez poczucia przynależności. Aż pewnego dnia, gdy stała w kuchni swojej kawalerki, jedząc resztki pizzy i słuchając The Smiths, po prostu złapała nóż do steków i podcięła sobie żyły, a potem gardło. Bez planowania. Bez listu pożegnalnego. Zwyczajnie przyłożyła ostrze do ciała i pociągnęła.

Nigdy nie opowiadała swojej historii w taki sposób. Jej opis zawsze był krótki i rzeczowy, pospieszne sprawozdanie z czegoś, czego się wstydziła. Ale tym razem nie ma w niej wstydu. Nie ma wyrzutów sumienia. Chce się tylko podzielić swoją opowieścią.

- Ciągle pamiętam to uczucie, kiedy patrzyłam, jak krew tworzy kałużę wokół mnie - mówi Rita. - Czułam, jak wypływa ze mnie siła, jak ulatuje ze mnie życie. Wiedziałam, że udało mi się zakończyć moją samotną egzystencję, ale dwa dni później obudziłam się w kostnicy i zdałam sobie sprawę, że ciągle nie jestem martwa.

Głowy kiwają się ze zrozumieniem. Z ust Jerry'ego rozlega się pełne współczucia:

- Pech.

- Ale chociaż ciągle jestem wyrzutkiem wśród żywych - kontynuuje Rita, omiatając wzrokiem półokrąg zombie i zatrzymując oczy na mnie - nie czuję się już samotna.

Gdybym mógł się rumienić, miałbym na twarzy poparzenie trzeciego stopnia.

Ray się przedstawia i opowiada, jak został zastrzelony z broni myśliwskiej przez właściciela ziemi, na której polował. Jak żona wygoniła go z domu i jak wprowadził się do spichlerza. Wreszcie wstaje, otwiera plecak i wręcza każdemu po słoiku Cudownego Przysmaku Raya. Kilku członków grupy studiuje nieufnie zawartość słoików, ale Rita, Jerry i ja poręczamy za jakość, co satysfakcjonuje sceptyków.

Opowiadanie Naomi o tym, jak zabił ją własny mąż, jest krótkie i pełne gorzkości. Po wszystkim zapala jednego ze swoich nasączonych formaldehydem papierosów i udaje jej się wypalić połowę, zanim Helen prosi ją, żeby go zgasiła. Robi to w swoim pustym oczodole.

Czasem jest taką ekshibicjonistką.

Gość Naomi, Beth, zginęła przez pijanego kierowcę i teraz mieszka z rodzicami i młodszą siostrą. Jej twarz i czaszkę wzdłuż i w poprzek przecinają szwy, a lewa strona jej

głowy została ogolona, kiedy lekarze usiłowali zatrzymać krwawienie do mózgu.

- Jak ci się mieszka z rodziną? - pyta Helen.

- Mama dużo płacze - wyjaśnia Beth, nerwowo bawiąc się włosami po prawej stronie głowy. - Tata ostatnio większość czasu spędza w pracy. A siostra zaprasza koleżanki, żeby się mogły na mnie pogapić.

Nic na to nie poradzę, że patrząc na Beth, myślę o Annie. Zastanawiam się, czy lepiej mieć córkę zombie, czy być zombie i mieć córkę oddychacza. Przypuszczam, że ani jedno, ani drugie nie jest dobre, ale przynajmniej gdybym to ja był tym żywym, miałbym prawo wychowywać własną córkę.

Przez większość czasu staram się nie myśleć o Annie, o tym, co porabia, i jak bardzo za nią tęsknię. To nie jest zgodne z naturą, by ojciec próbował zapomnieć, że ma córkę, ale kiedy nie wolno ci się w żaden sposób komunikować z własnym dzieckiem, to jedynym skutkiem myślenia o nim jest potworny, nieznośny ból, który nigdy nie mija.

Ale czasem, kiedy widzę cudze dzieci bawiące się albo wracające ze szkoły, wydaje mi się, że słyszę głos Annie, jej śmiech. A czasami zdarza mi się czuć zapach jej włosów. Zawsze lubiła szampon tropical kiwi.

Gdy Beth kończy swoją historię, Jerry przysuwa się do mnie i mówi:

- Ona jest totalnie sexy, ziom.

- Jerry, ona ma dopiero szesnaście lat - szepcze Rita.

I ma ogoloną połowę głowy. I twarz poszatkowaną szwami.

- No i co z tego? - pyta Jerry. - Jest totalnie seksowną szesnastolatką.

Jerry wypija łyk napoju winogronowego, sięga do kieszeni spodni, wyciąga z niej puszkę cukierków odświeżających i wrzuca sobie dwa do ust.

- Dziwnie mocne - mówi z uśmiechem.

Muszą być bardziej niż dziwnie mocne, żeby zrobić wyłom w oddechu Jerry'ego.

Z kolei Helen opowiada swoją historię. Postrzelono ją w pierś, kiedy próbowała mediować w trakcie rodzinnej kłótni jednej ze swoich pacjentek. Kończy i zwraca się do swojego gościa, który wygląda tu trochę nie na miejscu w garniturku od Brooks Brothers i krawacie od Armaniego.

Może to dlatego, że jestem świeżo po przyspieszonym kursie używania podkładów, korektorów i pudrów, ale widzę, że on też ma makijaż.

- Iana poznałam ponad rok temu, gdy byłam jeszcze oddychaczem - mówi Helen. - Do zeszłego tygodnia nie wiedziałam, że jest jednym z nas. Myślę, że wszyscy uznacie jego historię za wyjątkową. A może również inspirującą.

Ian jest trzydziestodwuletnim adwokatem, który pewnej soboty się upił, upadł w alejce, uderzył głową o asfalt, stracił przytomność i zadławił się własnymi wymiocinami.

O tak. Inspirujące. Zdecydowanie.

- Sześć godzin później - mówi Ian - obudziłem się. Dopiero w domu, pod prysznicem, zorientowałem się, że coś jest nie tak. Czułem się jakoś dziwnie. Właściwie nie chory, ale jakby coś w środku nie działało jak trzeba. Do tego czułem własny smród i ten smród nie chciał się zmyć. Zużyłem całą kostkę mydła i pół butelki szamponu, ale i tak śmierdziałem.

- Więc kiedy ci zaświtało, że nie jesteś już żywy? - pyta Helen.

- No więc, po prysznicu - mówi Ian - pochyliłem się do lustra, żeby obejrzeć swoją cerę, która zrobiła się jakaś szarawa, i zauważyłem, że na lustrze nie ma pary od mojego oddechu. Oddychałem, oddychałem... I nic. Potem sprawdziłem sobie puls. I wtedy znowu zemdlałem.

Jerry rechocze. Nikt inny się nie śmieje.

- Gdy doszedłem do siebie - opowiada dalej Ian - pomyślałem, że to tylko zły sen. Jak mogłem być martwy? Wtedy zdałem sobie sprawę, że to rzeczywistość. Rozbiłem w łazience lustro, a do tego muszę klozetową i kilka płytek na podłodze. Kiedy już skończyłem rozbijając rzeczy, usiadłem i próbowałem się rozplakać, aż zrobiło mi się od tego niedobrze. Potem zasnąłem. Gdy się obudziłem, wysikałem się podwójnie dezodorantem i ochlapałem wodą kolońską, zszedłem na dół do sklepu, kupiłem dwie butelki wody kolońskiej, pastę do zębów, płyn do płukania ust, mydło, szampon, dezodorant i mnóstwo kosmetyków do makijażu. Resztę wieczoru spędziłem, nakładając makijaż, aż udało mi się uzyskać odcień w miarę podobny do naturalnego.

Muszę przyznać, że naturalny wygląd Iana jest nieporównanie lepszy niż mój. Muszę go spytać, jakiego używa podkładu. I czy może mi polecić jakiś dobry korektor.

- Dlaczego nakładasz makijaż? - pyta Rita.

- Żebym mógł pracować - odpowiada Ian. - Dobrze zarabiam jako adwokat i mam ładny dom. Nie chciałem z tego rezygnować.

Cisza. W końcu odzywa się Naomi.

- Nikt nie wie, że nie żyjesz?

- Na razie udało mi się nabrać wszystkich w firmie - odpowiada Ian. - Ale musiałem przestać umawiać się na randki. I chodzić na siłownię. I grać w tenisa. I musiałem oddać psa, bo ciągle chciał się we mnie tarzać.

Wiem coś o tym.

- Jak dawno temu powstałeś z martwych? - pyta Helen.

- W ostatnią niedzielę minęły trzy tygodnie.

Słychać ogólny pomruk niedowierzania.

- Ale jak? - pyta Rita. - Jak ty...?

- Mam znajomego, który prowadzi krematorium w Salinas. Zapłaciłem mu, żeby mnie zabalsamował - odpowiada Ian. - Właściwie to była raczej łapówka, żeby go uciszyć. I płacę mu pięćset dolarów miesięcznie, żeby trzymał gębę na kłódkę i żeby dostarczał mi formalinę.

To nie fair. Ja, żeby otrzymać zalecaną dzienną dawkę formaldehydu, piję hurtowe ilości odżywki Alberto VO5, a ten koleś dostaje czysty towar.

- Skoro nikt nie wie, że umarłeś - pyta Carl - to po co ryzykowałeś przyjście tutaj?

- Helen prosiła mnie, żebym przyszedł - odpowiada Ian. - Byłem jej winien przysługę i nie mogłem odmówić.

- Jaką przysługę? - pyta Naomi.

- Gdyby nie Helen - odpowiada Ian - moja siostra już by nie żyła.

Okazuje się, że tą pacjentką Helen od domowej kłótni była siostra Iana. Helen uratowała jej życie.

- No dobrze - mówi Helen. - Czego możemy się nauczyć z historii Iana?

Wszyscy rozglądają się po sobie, czekając, aż ktoś inny udzieli odpowiedzi. Na szczęście zgłasza się Jerry.

- Że dobrze jest znać kogoś, kto pracuje w krematorium?

- Nie - odpowiada Helen. - To znaczy, owszem, to prawda, ale nie to jest najważniejsze.

- A - mówi Jerry. - Jeśli masz zamiar umrzeć, postaraj się, żeby nikogo przy tym nie było.

- Niezupełnie - odpowiada Helen, obchodząc nasz półokrąg z krzeseł. - Wszyscy jesteśmy ocalałymi. Wszyscy jesteśmy tutaj, w tej sali, bo wszyscy doświadczyliśmy czegoś nadzwyczajnego. Dostaliśmy drugą szansę. I mimo że zmagamy się z większymi przeciwnościami i z większym cierpieniem, niż byśmy chcieli, nie możemy pozwolić, aby nas to złamało. Nie wolno nam się poddać.

Helen podchodzi do tablicy i pod „Witamy ocalałych” pisze dzisiejsze przesłanie:

„Nigdy się nie poddawaj”.

- Powiedzcie to teraz ze mną.

Resztę spotkania spędzamy na czymś w rodzaju moderowanej rozmowy, podczas której poznajemy się lepiej i pomagamy sobie nawzajem znaleźć jakieś zajęcie, które pozwoliłoby nam zachować nadzieję.

Ray i bliźniacy wydają się zadowoleni ze swojej egzystencji, ale Beth i Leslie, jako że wstały z martwych stosunkowo niedawno, są bardziej przytłoczone ograniczeniami, jakie wiążą się z ich nowym statusem. Jerry proponuje, że będzie im służyć jako ktoś w rodzaju duchowego przewodnika, a Beth propozycja bardzo pochlebia. Resztę wieczoru spędzają, siedząc obok siebie, porównując szwy i rany. To naprawdę słodkie. Na swój zgniły, cuchnący sposób.

Co do nas, stałych bywalców, wygląda na to, że każdy robi coś, by poprawić swoją egzystencję.

Rita zaczęła chodzić na spacer. Jerry pracuje nad jakimś artystycznym projektem z wykorzystaniem „Playboya”. Naomi kibicuje rozgrywkom golfowym, żeby uporać się z gniewem na byłego męża. Carl, kiedy nie pomaga innym zombie, których poznaje w schronisku, oddaje się medytacji. A Helen, oczywiście, pomaga reszcie z nas.

To wszystko każe mi się zastanowić nad własnymi wysiłkami w kierunku samodoskonalenia.

Owszem, pracowałem nad głosem i nauczyłem się nakładać korektor. Pikietowałem, zostałem oszczany przez pudła i obrzucony produktami spożywczymi. Ale poza pomocą w akcji odzyskania ręki Toma, czy raczej czyjejś ręki dla Toma, właściwie nikomu nie pomogłem, tak jak robi to Helen. Nie zrobiłem nic, żeby poprawić własne życie, jak Naomi czy Carl. I nie znalazłem sobie konstruktywnego hobby, jak Jerry.

Więc kiedy wyciągam swoją petycję dotyczącą praw zombie, sądzę, że to tylko marna namiastka jakiegoś prawdziwego działania, i pokazuję ją z braku laku. Spodziewam się tylko zdawkowych pochwał, czegoś w rodzaju braw dla gwiazdki, rozgrzewającej znudzoną publiczność przed wyjściem gwiazdy. Ale wszyscy są zachwyceni. Zaskoczeni. Pod wrażeniem. Więc opowiadam im o swoich demonstracjach i przejażdżkach do schroniska. I o dziewczynce, która wskazała mój transparent i spytała, czy to prawda. Czy zombie to też ludzie?

- To cudowne, Andy - mówi Helen, podpisując moją petycję.

- Dobra robota - dorzuca Carl, wciąż udając czarującego faceta.

- Jesteś pełen niespodzianek, co? - mruczy Rita, ale tak cicho, że nie słyszy jej nikt inny.

Wszyscy pozostali członkowie grupy podpisują moją petycję, z wyjątkiem Iana, który nie chce narażać swojego statusu oddychacza, i oczywiście, Toma, którego nie ma. Ray nie sądzi, żeby petycja odniosła jakikolwiek skutek, ale i tak podpisuje.

Wszyscy ściskają mi rękę i całują mnie w policzek, dziękując za napisanie petycji.

Nagle jestem bohaterem. Zombie godziny. Szanowanym i podziwianym. Upaja mnie duma i poczucie osiągnięcia. Już nie jestem gwiazdką, czuję się jak prawdziwa gwiazda. Jak gwoździe programu, grający przed wymagającą publicznością. Jakbym musiał przebić wszystko, co zrobiłem do tej pory.

- Ziom - mówi stary. - Co będzie następne?

Zanim dociera do mnie, co robię, piszę na tablicy:

„Odwiedzę swoją córkę”.

- Cudownie! - mówi Helen.

- Kiedy jedziesz? - pyta Rita.

- Ziom - mówi Jerry. - Nie wiedziałem, że masz córkę.

Gdybym mógł mówić, jękałbym się.

„Jadę jutro” - skłamałem.

- No to gratulacje - mówi Helen. - To wielki krok. Będziesz musiał nam o tym opowiedzieć na następnym spotkaniu.

Gdybym mógł się pocić, to już bym łśnił.

Nie chcąc więcej odpowiadać na pytania na temat mojej zmyślonej wycieczki, łapię plecak i uciekam, żeby zrobić zmyślone siku. Po powrocie staję przy wejściu do sali i obserwuję innych.

Ray rozmawia z Ianem, pochylając się nad nim i niemal szepcząc mu do ucha. Głowa Iana kiwa się potakująco. Jerry siedzi przechylony na bok, a Beth dziobie palcem jego mózg. Rita i Helen śmieją się z czegoś, a Naomi i Leslie rozmawiają o Carlu, który stoi obok nich, zażenowany i wkurzony. Bliźniacy nie gadają z nikim i w milczeniu dotrzymują sobie towarzystwa.

Nie potrafię się zmusić, żeby tam wrócić.

Ciała niektórych zombie są jak chodzący eksperyment naukowy, służąc za pożywkę całej gamie bakterii, grzybów i larw. To są nieszczęśnicy, którzy nie zostali zabalsamowani i którzy znoszą upokorzenie rozkładu, rozpadając się powoli. Ich mięśnie zanikają, ich skóra się zsuwa, ich organy wewnętrzne zamieniają się w rosół.

W kręgach zombie nazywamy tych biedaków rosolakami.

I właśnie czuję się jak taki rosolak.

Nie wiem, dlaczego wymyśliłem tę historyjkę o odwiedzinach u Annie. To pewnie wina pychy albo po prostu dałem się porwać chwili. A może tak podziałało na mnie spotkanie z dziewczynką w parku. Nieważne. Nie powinienem był ich okłamywać. Jestem rosolakiem do kwadratu.

Zanim ktokolwiek zauważy mnie w drzwiach, cofam się i ruszam do wyjścia.

Wiem, że to zły pomysł wracać samemu, szczególnie wieczorem, i że pewnie tylko pogarszam całą sprawę, wychodząc bez słowa, ale nie chcę wracać do środka i opowiadać kolejnych kłamstw o odwiedzinach u Annie. Szczególnie Ricie.

Przynajmniej nie pada. A ponieważ większość sklepów i przedsiębiorstw we wsi zamyka podwoje o siódmej, mogę wędrować bocznymi ulicami, nie musząc wysłuchiwać obelg z przejeżdżających aut i uciekać przed rozczłonkowaniem. Mimo to wiem, że oddychacze są wszędzie wokół. Słyszę ich, jak czekają na stolik w Tortilla Flats, albo wsiadają do samochodów po kolacji w Golden Buddha, albo śmieją się i bełkoczą, wychodząc chwiejnym krokiem z drzwi pubu Sir Froggy's.

Te dźwięki budzą we mnie głęboką tęsknotę. Zadumę. I złość. Ja też chcę być częścią tego gwaru. Chcę się bawić wieczorem na mieście. Chcę się śmiać z przyjaciółmi, wytaczając się z baru po wypiciu zbyt wielu drinków. Ale zamiast tego muszę się wlec w cieniu, w milczeniu, pełen żalu nad samym sobą i niezadowolony z własnego towarzystwa.

Nie mogę pójść do baru i zalać robaka. Nie mogę się przejść po plaży, żeby zastanowić się nad własnym istnieniem. A nie chcę wracać do domu, siedzieć samotnie w piwniczce i oglądać telewizji. I słuchać, jak rodzice kłócą się o mnie.

Mogę pójść tylko w jedno miejsce.

25

Cmentarz Soquel nie należy do ładnych miejsc, nawet hojnie skąpany światłem księżyca tuż przed pełnią. Zamiast miękkiego i wypielęgowanego trawnika, jak na cmentarzu Evergreen, tutaj na łysych plackach ziemi rosną mlecze i inne chwasty. Przerośnięta i wyklószona trawa zasłania kamienie nagrobne, z których wiele ma ponad sto lat. Wielkie place trawy w centralnej części cmentarza usychają albo już uschły.

Tu przynajmniej wiedzą, jak zrobić nastrój.

W pobliżu środka cmentarza stoi najwyższe drzewo w okolicy, cyprys, niemal idealnie prosty, z miotełką igieł na czubku i jedyną gałęzią sterczącą z boku. Pozostałe gałęzie zostały obcięte tuż przy pniu, przez co cyprys wygląda trochę jak jednoręki Tom.

Tuż za cyprysem, przed dużym, białym nagrobkiem, na którym napisano tylko Davis

Peck, ziemia została rozkopana. Zastanawiam się, czy to przygotowania na przyjęcie, czy raczej ślady niespodziewanego odejścia. Tak czy inaczej, jest to otwarty grób, wejście do łona śmierci. Na jego widok dostaję dreszczy. Może dlatego, że wiem, że taki sam grób był przygotowany dla mnie. A może po prostu naoglądałem się za dużo filmów o zombie. Tak czy inaczej, obchodzę grób Davisa Pecka szerokim łukiem i próbuję się czymś zająć, czytając napisy na nagrobkach.

Eleanor DeMont zmarła w 1920 roku w wieku szesnastu lat. Jej kamień stoi u stóp krzywego dębu. Na innym nagrobku śpi zwinięty, marmurowy kot pod imieniem Lilith. Jest też grób Świętego Mikołaja (Albert Moyer 1917-1987) i wspólny kamień dla matki i dwójki dzieci, którzy zmarli razem czwartego lipca 1989 roku.

Niektóre nagrobki są niezwykle, niektóre działki pięknie urządzone - są na nich lilie, japońskie klony, kaktusy czy kamienne chodniczki. Ale te stanowią wyjątek. Większość grobów jest zaniedbana, nagrobki są spłowiałe i zniszczone przez żywioły - niektóre okryte mchem albo pokryte ptasimi kupami.

Jeden z nowszych nagrobków należy do mojej żony.

Wciąż nie rozumiem, dlaczego ja wróciłem, a Rachel nie. Nikt tego nie wie na pewno. Ani naukowcy, ani rząd, ani *Wiadomości z kraju i ze świata*. Istnieją niedowiedzione teorie genetyczne, dlaczego niektórzy ze zmarłych doświadczają rezurekcji, ale nikt nie ma ostatecznej odpowiedzi, chyba żeby wierzyć w legendy o czarach wudu i wirusach zombie, jakich pełno w Internecie i hollywoodzkich filmach. Co za stek bzdur.

Siadam przy grobie Rachel i otwieram słoik sarniny, który Ray dał mi na spotkaniu. Nie mam widelca, więc jem palcami. Po dłoni cieknie mi sos i tłuszcz. Mięso jest tak samo pyszne jak za pierwszym razem. Teraz jedzenie sprawia mi już zmysłową przyjemność, która staje się wręcz uzależniająca.

To trochę niezręczne wcinać ze smakiem kolację na grobie żony, z głową pełną najróżniejszych myśli o przeszłości i teraźniejszości. Gdybym mógł porozmawiać z Rachel, powiedziałbym jej te wszystkie oczywiste rzeczy - jak bardzo tęsknię za naszym wspólnym życiem, jak mi przykro, że zasnąłem za kierownicą, i że zakochuję się w dziewczynie zombie.

Ktoś tu mówił o niezręcznych chwilach.

Czasami próbuję rozmawiać z Rachel w myślach, i to pomaga. Ale byłoby o wiele bardziej oczyszczające, gdybym mógł naprawdę zwerbalizować moje myśli. Wiem, że i tak nie mogłaby mnie słyszeć, a przynajmniej tak sądzę, ale kiedy siedzę wieczorem przy jej grobie na cmentarzu Soquel, mam wrażenie, że moje milczenie jest jak bomba, która nie wybuchła.

Wyrzucenie z siebie oczywistych lamentów i przeprosin zajęłoby niewiele czasu, bo powtarzałem je w głowie tyle razy, że są jak dobrze wyćwiczone kwestie zblazowanego aktora. Kiedyś miały w sobie pasję i znaczenie. Teraz są tylko słowami, które straciły wszelki sens. Są jak pacierz klepany tylko dlatego, że po prostu masz taki zwyczaj, nie dlatego, że jest ci od tego lepiej albo że masz taką szczerą potrzebę. A mimo to powtarzasz te słowa, bo są znajome i wygodne. I pozwalają ci unikać reszty kwestii wyrastających z twojego niezadowolenia.

Zapytajcie kóregokolwiek oddychacza, czego by sobie życzył. Choćby życzenie było najbardziej nie z tej ziemi, nierozsądne czy mało prawdopodobne, nigdy nie będzie niemożliwe. Bogactwo, sława, operacja plastyczna, żeby wyglądać jak Marilyn Monroe. Jest nawet technologia zapłodnienia in vitro, która kiedyś pozwoli donosić mężczyźnie płód w jamie brzusznej.

Dziwaczne, owszem. Niemożliwe - nie.

Nieumarli, którzy są dziwaczni i niewyobrażalni na dzień dobry, zwykle pragną i życzą sobie odzyskać życie, co jest niemożliwe. Nierozsądne. Niewyobrażalne. A jednak wciąż wznosi się w naszych głowach, jak balon, którego nie da się złapać. To jedno, krótkie słowo, które nas prześladowuje i przypomina, jak wiele straciliśmy.

Nadzieja.

To leży w ludzkiej naturze - wierzyć, że zdarzy się coś dobrego, że niezależnie od wszelkich przeszkód, przeciwności losu i rozczarowań w końcu wszystko się jakoś ułoży. Choć z technicznego punktu widzenia zombie nie są już ludźmi. I co z tego wynika? Jaka jest nasza natura? Na co możemy mieć nadzieję? Ku jakim celom powinniśmy podążać?

Rozwój osobisty?

Doskonalenie duchowe?

Wolniejszy rozkład?

Nie mamy praw obywatelskich ani żadnych innych, jeśli się nad tym zastanowić, więc dlaczego mielibyśmy się spodziewać czegokolwiek dobrego? Jak możemy znaleźć w sobie rozpęd, by podążać do jakiegokolwiek celu, jeśli ostateczny cel - to jedyne, czego chcemy wszyscy - jest nieosiągalny?

Patrzę na kamień nagrobny Rachel, obwodzę palcami litery jej imienia, a potem kładę się i przyciskam ucho do ziemi, nasłuchując, czy nie dobiegnie mnie jej wołanie spod prawie dwóch metrów ziemi, ale słyszę tylko nadjeżdżający samochód.

Po Old San Jose Road przemykają światła, samochód mija cmentarz. Nie widzę postaci w środku, ale wyobrażam sobie mężczyznę za kierownicą, jego żonę na fotelu

pasażera i córkę siedzącą z tyłu. To mogłaby być moja rodzina. To byłaby moja rodzina. Gdybym tylko nie zasnął i nie zniszczył wszystkiego.

„Nie zniszczyłeś wszystkiego - mówi w mojej głowie głos matki. - Ty tylko popełniłeś błąd i teraz musisz się nauczyć, jak najlepiej wykorzystać swoją sytuację”.

Kiedy mama powiedziała do mnie te słowa dwa miesiące temu, żałowałem, że nie mam apetytu hollywoodzkiego zombie, bo miałem ochotę wyżyć jej mózg, żeby się zamknęła. Nie miała pojęcia, z czym muszę się zmierzyć i co straciłem. Ale teraz rozumiem, że chciała po prostu, żebym poczuł się lepiej. I mimo różowych okularów, przez które patrzy na powolny rozkład własnego syna, miała rację. Muszę jak najlepiej wykorzystać to, co mam.

Wstaję chwiejnie i myślę o mądrościach, które Helen próbowała nam przekazać przez ostatnie miesiące, o sloganach, które wypisywała na swojej tablicy.

„Dlaczego tu jesteśmy?”

„Znajdź swój cel”.

„Nigdy się nie poddawaj”.

I dociera do mnie, że wszystkie moje demonstracje i petycja, którą napisałem, to stanowczo za mało. Muszę rozepchnąć granice mojej egzystencji. Muszę rzucić wyzwanie instytucjom, które zdegradowały mnie do statusu nieczłowieka. Ostatecznie, co mam do stracenia? Nawet jeśli bycie gnijącym trupem bez praw i bez przyszłości nie jest najgorszą rzeczą, jaka mogła mnie spotkać, to do dna już nie jest daleko.

Każdy może się przyzwyczać do pewnego poziomu poniżenia, ale przychodzi taki moment, kiedy trzeba się postawić. Jak mówi Ray, jeśli nie masz tego, co ci potrzebne, weź to sobie. Albo znajdź sposób, by stało się twoje.

Prędzej czy później sam będziesz musiał sobie pomóc.

26

Przystanek autobusowy koło mojego domu to tylko nieosłonięta ławka. Bardzo przyjemna podczas ciepłej, słonecznej pogody. Jednak w zimny, deszczowy, listopadowy dzień jest mniej więcej tak przyjemna jak zużyta pielucha. Ale nie powinienem narzekać. Gdyby nie to, że władze okręgu zmuszają pasażerów transportu publicznego do stania w deszczu, pewnie zaraz podjechałaby furgonetka Policji dla Zwierząt.

Nikt z trójki oddychaczy czekających na autobus nie zauważa, że dwa metry od nich stoi zombie w pelerynie przeciwdeszczowej. Większość oddychaczy, mimo swoich popisów odwagi w dużych grupach czy w bezpiecznych samochodach, robi się nerwowa, kiedy spotyka zombie. Szczególnie kiedy się tego nie spodziewają.

Jak na przykład na przystanku.

Albo w kolejce po bilety do kina.

Albo przy ladzie w mięsnym.

Rozglądam się spod kaptura peleryny, wdzięczny za deszcz, i za jasny korektor, i za podkład, który kupiła mi mama. W świetle słońca, kiedy mojego stanu nie przysłaniają cienie, żaden makijaż nie pozwoliłby mi dotrzeć tak daleko bez zwrócenia na siebie uwagi. I choć wciąż trochę ciągnę za sobą lewą nogę, moje utykanie nie jest dziś rano tak widoczne.

Nie jestem tak zdenerwowany, jak się spodziewałem. Właściwie tylko pamięć mi podpowiada, że mogę się wpakować w poważne kłopoty. Mój umysł czy świadomość, czy cokolwiek to jest, rozumie zagrożenie, ale ponieważ mózg przestał wysyłać sygnały alarmowe do nadnerczy, które zresztą też nie działają i nie produkują adrenaliny, moje ciało nie wie, że powinno odczuwać niepokój. Dopóki nikt nie przyjrzy mi się uważniej, wszystko powinno być w porządku.

Mimo to mógłbym przysiąc, że moje pory wydzielają pot.

Kiedy wreszcie podjeżdża autobus - numer 71 do Monterey przez Watsonville - czekam, aż oddychacze wsiądą, a potem ruszam za nimi. Udaje mi się wdrapać do autobusu i nie paść przy tym na twarz. Co zawsze jest miłym początkiem dnia.

Choć nie doświadczam zmysłowych odczuć, jak kiedyś, zanim obumarły moje zakończenia nerwowe i synapsy przestały działać, jestem podekscytowany. Czuję się trochę jak pionier, idący śmiało tam, gdzie nie był jeszcze żaden zombie. Trochę jak nieumarły kapitan Kirk.

Ciekawe, czy Rosa Parks też się tak czuła.

Ale kiedy wrzucam odliczone drobne do kasownika, odwracam się i patrzę na wypełnione do połowy wnętrze autobusu, zamieram.

Otaczają mnie oddychacze.

Jeśli pokuśtykam przejściem, żeby szukać schronienia na końcu, mogę ściągnąć na siebie uwagę, a wtedy zostanę stąd wyrzucony i zawleczony do schroniska, zanim autobus zdąży włączyć się do ruchu. Jeśli zajmę najbliższe puste siedzenie, ryzykuję, że wszyscy wsiadający będą mnie mijać, a może nawet ktoś usiądzie obok mnie.

- Proszę zająć miejsce - mówi kierowca.

Nie wiem, czy to przez świadomość, że wszyscy w autobusie się na mnie gapią, czy dlatego, że oddychacz odezwał się do mnie normalnym tonem, czy dlatego, że przed chwilą zbecześciłem pamięć Rosy Parks, ale mój paraliż mija i zajmuję pierwsze wolne siedzenie, dwa rzędy za kierowcą. Siadam przy oknie, mając nadzieję, że jeśli ktoś siądzie obok mnie, będę mógł udawać, że śpię, co nie powinno być bardzo trudne, skoro przed chwilą udało mi się udawać, że żyję.

Zaczynam się uśmiechać, siedząc na swoim krzeselku w autobusie pełnym oddychaczy, którzy nie wiedzą, kim jestem. Czekam, aż ruszymy, ale autobus stoi w miejscu. Widzę, że kierowca przygląda mi się w lusterku i czuję na sobie oczy wszystkich pasażerów. Wyczuwają, że coś jest nie tak, że jestem jakiś dziwny, ale nie mogą zgadnąć, o co chodzi, bo oczywista odpowiedź nie wchodzi w grę. Zombie nigdy nie próbowałby wsiąść do autobusu. Ale coś jest nie w porządku, choć nikt nie wie co.

A przynajmniej tak sobie wmawiam.

Ogarnia mnie wspomnienie paniki i zniechęcenia, kiedy kierowca zerka na mnie jeszcze raz. Ale w końcu przesuwają dźwignię i drzwi zamykają się z głośnym „puff”. Po chwili autobus wydaje z siebie hydrauliczne pierdnięcie, odbija od krawężnika i jadę. Jadę zobaczyć Annie.

Mam wrażenie, jakby minęło więcej niż cztery miesiące, od kiedy ostatni raz widziałem córkę. Czasami trudno mi sobie przypomnieć, jak ona w ogóle wygląda. Ale cieszy mnie myśl, że znów ją zobaczę, że usłyszę jej śmiech. Mam tylko nadzieję, że jakoś przetrwam tę jazdę autobusem.

Kiedy byłem żywy, nigdy nie korzystałem z transportu publicznego Santa Cruz i teraz wiem dlaczego. Siedzenia są niewiele lepsze od średniowiecznych krzeseł tortur, autobus zatrzymuje się co dwie minuty, żeby wpuścić albo wypuścić pasażerów, a spora część oddychaczy, którzy wsiadają, nie pachnie wiele lepiej ode mnie. Ale przynajmniej nie odstaję pod tym względem.

Autobus zatrzymuje się w Soquel, niedaleko domu kultury, do którego chodzę na spotkania. Patrzę przez okno na przechodniów i na samochody pełne oddychaczy. Nikt z nich nie wie, że zombie jest wśród nich, że jedzie publicznym autobusem, bezczelnie gwałcąc wszelkie zasady swojej egzystencji.

Nie jestem przyzwyczajony do poruszania się po mieście w biały dzień bez żadnych szykan, więc czuję się trochę surrealistycznie, jakbym tak naprawdę wcale nie był tutaj, a przeżywał jakieś oddzielenie duszy od ciała. Choć z drugiej strony cała moja egzystencja to przecież oddzielenie duszy od ciała.

Drzwi się otwierają i do autobusu wsiada matka z małym synkiem. Matka wygląda, jakby nie spała od trzech dni i wiedziała, że nie wyśpi się w najbliższym czasie. Jej syn, jakieś osiem, dziewięć lat, jest chyba powodem tej bezsenności.

Chłopiec tupie na schodkach, wskakując na nie obiema nogami naraz, lądując z siłą zapalnika. Na każdym stopniu wyrzuca z siebie eksplozję efektów dźwiękowych.

- Ronnie - mówi matka. - Przestań, proszę.

Ronnie, który dotarł już na górę, podskakuje dalej, wciąż produkując wybuchowe odgłosy.

Ronnie jest dowodem na to, że w szkołach powinno się nauczać o antykoncepcji.

Kiedy Ronnie pędzi alejką w stronę tylnej części autobusu, jego matka wrzuca pieniądze do kasownika, spoglądając na kierowcę ze znużoną, przepraszającą miną, po czym odwraca się i krzyczy za synem:

- Ronnie!

Autobus rusza i matka Ronniego drepcze za synem. Znow spoglądam za okno, myślę o tym, dokąd jadę, i czuję, jak uśmiech wypływa mi na twarz. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Annie. Wiem, że może nie być przygotowana na widok ojca, który maluje się, by ukryć fakt, że się powoli rozkłada. Ale to nie szkodzi. Nie chcę jej wystraszyć. Nie obchodzi mnie nawet, czy będzie wiedziała, że tam jestem. Chcę tylko na nią zerknąć, zobaczyć, jak się uśmiecha, przekonać się, że jest zdrowa i szczęśliwa. Tylko na tym mi zależy.

Poprawiam się na twardym, plastikowym krześle tortur i patrzę, jak wieś zostaje za nami, a myśli o Annie przepelniają mnie spokojem. I nagle coś przełazi pode mną.

- Ronnie! Chodź tutaj!

Patrzę w dół i widzę Ronniego na podłodze, prześlizgującego się na plecach między moimi nogami, twarzą do mnie. Widzę minę małego gremlina, jego wywieszony język, oczy pełne psotnych błysków. Te oczy spoglądają na mnie, prosto w źrenice, i Ronnie zaczyna wrzeszczeć.

To by było na tyle, jeśli chodzi o wycieczkę do Monterey.

Kilka sekund później matka Ronniego stoi w przejściu obok mnie, wykrzykuje jego imię i sięga po drącego się syna, który szamocze się na podłodze pode mną, próbując uciec. Mężczyzna siedzący na miejscu przede mną odwraca się, żeby sprawdzić, co to za awantura. Przygląda mi się uważniej, jego oczy robią się jak dwa spodki i facet podskakuje na siedzeniu, krzycząc:

- Jezu Chryste! To zombie!

Zaczyna się piekło. Wszyscy pasażerowie wokół mnie uciekają z siedzeń,

przepychając się i potykając, byle znaleźć się jak najdalej. Ronnie ciągle wrzeszczy na podłodze autobusu, uwięziony przez własną histerię, a jego matka biegnie na przód autobusu i wrzeszczy do syna i do każdego, kto chce słuchać:

- Ronnie! Ronnie! Niech ktoś pomoże mojemu dziecku!

Ktoś mógłby pomóc jej dziecku, faszując je ritalinem na uspokojenie albo przepisując jakąś regularną terapię elektrowstrząsami.

Autobus zwalnia i zjeżdża do krawężnika, kierowca gorączkowo rozmawia z dyspozytorem przez krótkofalówkę. Wszyscy w autobusie gapią się na mnie i krzyczą, płaczą, przeklinają, próbują wysiąść albo milczą w ciężkim szoku. Ponad dwa tuziny oddychaczy i wszyscy boją się jednego, bezbronnego zombie.

Mimo własnego przerażenia tym gwałtownym zakończeniem podróży do Annie zaczynam się śmiać. Tylko że to nie brzmi jak śmiech. Przypomina raczej ciężki, chrapliwy oddech, jaki można usłyszeć w słuchawce, kiedy dzwoni do ciebie z bocznicek. Ten dźwięk doprowadza wszystkich do spazmów strachu, więc śmieję się jeszcze głośniej.

Ronnie pode mną przestał się rzucać i wrzeszczeć. Leży zwinięty w pozycji płodowej, skamłając cicho. Drzwi się otwierają i prawie wszyscy uciekają z autobusu, łącznie z kierowcą. Zostaje tylko matka Ronniego. Stoi na początku przejścia, zerkając to na mnie, to na drzwi, jakby nie mogła się zdecydować, co zrobić. Nie chcę, żeby ktoś pomyślał, że trzymam drogiego Ronniego jako zakładnika, więc wstaję, przechodzę kilka rzędów dalej i znów siadam. Matka Ronniego zbiera się wreszcie na odwagę, żeby przyjść po syna, i zostaje w autobusie sam.

Słyszę syreny zbliżające się z różnych kierunków. Pewnie mógłbym wstać i wysiąść z autobusu, ułatwić sobie całą sprawę i poddać się bez zamieszania, ale to by było jak przyznanie się, że zrobiłem coś złego. A przecież ja tylko chciałem odwiedzić córkę.

Więc kuśtykam przejściem na początek i zajmuję miejsce w pierwszym rzędzie. Czekam na Policję dla Zwierząt, patrzę na oddychaczy, stojących w deszczu, i myślę o Annie. I zastanawiam się, jak bardzo wścieknie się mój ojciec.

Skrobie parę słów na mojej tablicy tak, żeby Ted nie widział, co piszę. Kątem oka widzę, jak

przygląda mi się z mieszaniną awersji i zaciekawienia.

- Jak się dzisiaj czujesz, Andrew?

Unoszę tablicę, na której napisałem:

„Jak się dzisiaj czujesz, Andrew?”

Jest taki przewidywalny.

Ted wybucha anemicznym śmiechem, który zmienia się w wysiłony uśmiech. Chyba że chce się tylko pochwalić nowymi licówkami na zębach.

...dwanaście... trzynaście... czternaście...

- O ile wiem, miałeś ostatnio jakąś przygodę - mówi Ted.

„A skąd” - piszę.

- Twoi rodzice mówili mi coś innego.

Moi rodzice.

Po katastrofie w autobusie rodzice zostawili mnie w schronisku na dwa dni. Tamtejsi wolontariusze i personel traktują mnie z większym szacunkiem i troską niż większość oddychaczy, a poza tym zawsze to jakaś odmiana po piwniczce z winem. Na psie ciasteczka też nie narzekam.

Wiem, że ojciec chciał mi dać naukę, ale nauczył mnie tylko tyle, że nie ma w sobie za grosz współczucia. Urażam jego zmysły i obrażam jego wrażliwość. Rujnuję go społecznie i ekonomicznie. Wolałby mnie widzieć pożeranego przez larwy niż szczęśliwego.

Na szczęście przynajmniej matka próbuje mnie zrozumieć, wczuć się w to, co przeżywam, nawet jeśli psika na mnie odświeżaczem i zakłada grube rękawice gumowe, ilekroć musi mnie dotknąć.

Teraz siedzi w poczekalni i czeka na mnie, pewnie czytając jakąś babską gazetę i nucąc pod nosem. Co do ojca, to pewnie czatuje w domu z kanistrem benzyny i lampą lutowniczą.

- Kiedy wsiadłeś do autobusu - mówi Ted - chciałeś jechać w jakieś konkretne miejsce?

Nie powiedziałem rodzicom, że jechałem zobaczyć Annie, bo tylko narobiłbym sobie jeszcze większych kłopotów. Może nawet ciotka i wujek Annie wyprowadziliby się z nią do innego stanu. Więc nie zamierzam tego powiedzieć Tedowi. Wiem, że musi zachowywać wyznania pacjentów w tajemnicy, ale coś mi się wydaje, że to nie dotyczy zombie. Ted prawdopodobnie wypaplałby rodzicom, gdzie się wybierałem.

„Chciałem się tylko poczuć normalny” - piszę.

- Normalny - mówi Ted, takim tonem, jakby nie miał pojęcia, co na to odpowiedzieć. -

Normalny...

Znów się uśmiecha i przeciera zęby językiem. Spoglądam na cyfrowy zegar, na czerwone cyferki zmieniające się sekunda po sekundzie, i myślę, że wolabym oglądać *Odpicuj mi brykę* na MTV.

Wycieram swoją poprzednią wypowiedź i piszę:

„O co tu chodzi?”

- Co masz na myśli, Andrew? - pyta Ted z tym swoim wysiłonym, sztucznie rozjaśnionym uśmiechem.

Myślę, że wie, co mam na myśli.

„Dlaczego tu jesteś?”

- W sensie emocjonalnym, duchowym czy egzystencjalnym?

„Co to znaczy?”

Nic. Cisza. On po prostu nie wie, o czym mówi.

„Co ty właściwie robisz?”

- Próbuję ci pomóc, Andrew.

„W jaki sposób to mi pomaga?”

- Nie wiem - mówi Ted. - A w jaki sposób ci to pomaga?

„W żaden”.

Zero odpowiedzi. Tylko kolejne „pssst” liliowego zapachu.

W egzystencji każdego zombie przychodzi taki moment, kiedy zdaje sobie sprawę, że stare metody załatwiania spraw już nie skutkują.

Stare nawyki.

Starzy przyjaciele.

Stare oczekiwania.

Zamiast dawać pociechę i poczucie bezpieczeństwa, rzucają kłody pod nogi, tworzą ograniczenia, które nie pozwalają na rozwój. Nie pozwalają odkryć własnego potencjału.

Prędzej czy później będziesz musiał sobie to wszystko odpuścić.

...pięćdziesiąt siedem... pięćdziesiąt osiem... pięćdziesiąt dziewięć...

„Chyba mam dość”.

W świetle moich ostatnich aktów „młodzieńczego buntu”, jak je nazwała, i narastającej niechęci ojca matka uznała, że może uda się załagodzić rodzinne problemy i różnice zdań, jeśli usiadziemy we trójkę przy wspólnym obiedzie z okazji Święta Dziękczynienia.

- Jak za dawnych czasów - mówi.

Więc siedzimy wszyscy troje przy stole w jadalni, w duszącej, niezręcznej ciszy. Ojciec pakuje do ust sos żurawinowy i indyka, nie odzywając się i nie nawiązując kontaktu wzrokowego ani ze mną, ani z matką. Mama zrezygnowała z prób podtrzymania rozmowy, zgaszona krótkim „Zamknij się już” ojca. Teraz siedzi tylko na krześle, powstrzymując łzy i przygryzając wargę, i dziobie widelcem nadzienie i fasolkę na talerzu.

Rodzice chyba nie są w dziękczynnym nastroju.

Tymczasem ja, i owszem. Mam za co dziękować. Jestem wdzięczny, że jem przy stole. To pierwszy raz, kiedy rodzice zaprosili mnie do wspólnego posiłku, od dnia, kiedy tuż po moim powrocie do domu pękł mi jeden ze szwów i kawałek gnijącej tkanki wpadł do domowego gazpacho matki.

Nie trzeba chyba mówić, że od tamtej pory mama nie gotuje gazpacho.

Na szczęście moje szwy ostatnio trzymają się całkiem dobrze - lepiej niżbym się spodziewał po czterech miesiącach. Więc i za to jestem wdzięczny. Jestem wdzięczny za wiele rzeczy, choć jeszcze miesiąc temu nawet by mi to do głowy nie przyszło.

Jestem wdzięczny za moją grupę wsparcia.

Jestem wdzięczny za Ritę.

I za to, że poznałem Raya.

I jestem wdzięczny, że wraca mi mowa.

Wciąż jest bardzo prymitywna, ale kiedy twój słownik składał się z chrząknięć i skrzeków, przy których Leatherface brzmi jak Pavarotti, wszystko można uznać za postęp.

Oprócz „śc, Ita” udało mi się wyćwiczyć jeszcze parę zdań:

„Enie yąach” (Świetnie wyglądasz.)

„A, oche” (Tak, proszę.)

„Ehuje” (Dziękuję.)

„Ak achę?” (Jak pachnę?)

W ustach dziewięciomiesięcznego dziecka w wysokim krzeselku, z kukurydzianą

papką spływającą po brodzie, te krótkie wybuchy prawie angielskiego pewnie brzmiałyby uroczym. Ale jeśli zaczniesz je z siebie wyrzucać trzydziestoczteroletni, rozkładający się półtrup, któremu spływa po brodzie purée ziemniaczane i sos spod pieczeni... Cóż, powiedzmy, że nikt nie złapie za kamerę wideo.

Więc jem obiad w milczeniu i patrzę na moją rozczarowaną matkę i nabzdyczonego ojca, na całe to żarcie i na cały splendor tego milczącego, przytłaczającego świątecznego posiłku, aż moje spojrzenie pada na indyka, z jego skórą pokrytą bąblami, z jego znikającym ciałem. Im dłużej na niego patrzę, tym większą czuję z nim więź, tym głębszą empatię. I uderza mnie, jak wiele mamy ze sobą wspólnego. Owszem, jest martwy i upieczony, i częściowo pożarty, ale czy tak bardzo różni się ode mnie?

Zjadamy go powoli, obdzieramy mięso z jego szkieletu. Kawałek po kawałku wyłaniają się jego kości i chrząstki, odstaniają się żebra. W końcu zostanie tylko puste truchło. Zastanawiam się, czy i ja jestem niszczonej w ten sam sposób przez oddychaczy?

Czy pożera mnie powoli proces rozkładu?

Czy raczej poczucie degradacji, konieczność egzystowania w świecie rządzonej przez żywych?

Im dłużej gapię się na indyka, tym głębsze czuję z nim powinowactwo. Tym wyraźniej staje się on dla mnie metaforą mojej obecnej egzystencji. Tym lepiej rozumiem, dlaczego Tom został wegetarianinem.

Zanim mój ojciec ma czas odkroić kolejny plaster z piersi czy urwać skrzydełko, łapię indyka za nogę, ściągam go ze srebrnego półmiska i przysuwam do siebie.

- Hej - mówi ojciec, rozpryskując po stole kawałki nadzienia z pełnych ust. - Co to ma znaczyć, do diabła?!

Interwencja.

Wybawienie.

Odkupienie.

Wybierajcie. Ja wiem tylko tyle, że od razu mi lepiej.

Indyk przewraca po drodze miseczkę z sosem mięsny, rozlewając jej zawartość po obrusie i do miseczki z sosem żurawinowym.

- Do cholery jasnej! - wrzeszczy ojciec, rzucając nóż i widelec i sięgając po indyka.

- Ależ, kotku - mówi matka, cała szczęśliwa, że nawiązaliśmy jakąś rozmowę. - Jeśli chciałeś dokładkę, wystarczyło poprosić.

Nie dając ojcu czasu na złapanie za drugą nogę, ściągam sobie siedmiokilowego indyka na kolana, przy okazji zwalając ze stołu talerz, który ląduje na drewnianej podłodze i

pęka na pół, a cała zawartość rozpryskuje się dookoła.

- Andy! - mówi matka. - To mój najlepszy serwis obiadowy.

- Oddawaj indyka - mówi ojciec. Wstaje i rusza na moją stronę stołu, z głową wysuniętą do przodu, jak zawsze, kiedy chce pokazać, że nie żartuje. Kiedy byłem dzieckiem, przerażało mnie to śmiertelnie. Ale już nie jestem dzieckiem. I nie oddam mojego indyka.

Odsuwam się z krzesłem od stołu i wstaję, bardziej pewny siebie niż kiedykolwiek przez ostatnie miesiące. Prawą ręką tulę świąteczne uosobienie mojej egzystencji do brzucha i cofam się w stronę drzwi piwniczki. Ojciec już po mnie sięga, ale wdeptuje w moje purée ziemniaczane i łąduje z łoskotem na podłodze, po drodze rozbijając sobie łokieć o stół.

- Nic ci nie jest, mój drogi? - pyta mama, która wciąż siedzi na swoim krześle, jakby to wszystko było zupełnie normalne.

Ojciec nie odpowiada. Wstaje z podłogi i leci za mną. Już prawie udało mi się zamknąć drzwi piwniczki, kiedy dopada mnie i chwytą za sterczącą nogę indyka. Podejrzewam, że i tak go nie zje. Po prostu nie chce, żebym ja go miał.

Jakaś część mojego mózgu zastanawia się, co właściwie chciałem osiągnąć. W jaki sposób to miało poprawić moją sytuację. Ale cała reszta mnie uważa, że to najzabawniejsze Święto Dziękczynienia, jakie pamiętam, więc wybucham śmiechem.

- To nie jest śmieszne - mówi ojciec, próbując mi wyrwać indyka, ale trzymam go mocno prawą ręką za drugą nogę i nie puszczam. Za plecami ojca widzę mamę, która zaczyna sprzątać moje rozbite nakrycie i narzeka, że zepsuliśmy taki uroczy obiad.

Ojciec i ja dalej walczymy o indyka, ciągnąc za nogi. Skóra i mięso wyślizgują nam się z dłoni, co kojarzy mi się ze złuszczeniem martwych tkanek.

Podczas pierwszych faz ludzkiego rozkładu płyn powstający ze zniszczonych enzymami komórek dostaje się między warstwy skóry i je rozluźnia. Czasami złazi od tego cała skóra z dłoni czy stopy, jak rękawiczka czy skarpetka. W miarę jak proces postępuje, od ciała odchodzą wielkie płaty skóry.

Jak ten kawałek skóry, który właśnie ześliznął się z nóżki indyka, trzymanej przez ojca.

Gdybym jeszcze miał ochotę na tego indyka, to z pewnością odebrałoby mi apetyt.

W następnej chwili nóżka w dłoni ojca odrywa się, a ojciec leci do tyłu i wpada na czarny, zabytkowy kredensik, w którym matka przechowuje kolekcję filiżanek do herbaty. Kredensik przewraca się z rozgłośnym trzaskiem łamanego drewna i tłuczonej porcelany, ja padam na podłogę, trzymając się za brzuch ze śmiechu, z indykiem na brzuchu, a matka wybucha płaczem.

Jak za dawnych czasów.

29

Wydarzenia tragicznego obiadu rozegrały się wczoraj. Dziś mama i tata uciekli z domu, żeby pograć w tenisa z Putnamami w klubie Marina. Wrócą dopiero po lunchu, więc mam przynajmniej trzy godziny, żeby potrenować nowe umiejętności. I nie muszę się krępować czy martwić, że zdenerwuję ojca.

Wychodząc z domu, rodzice zamykają drzwi do piwniczki na klucz, żebym nie zasmrodził wnętrza, więc moje powtarzające się kursy w tę i z powrotem po schodach mają w sobie coś z wysiłków Syzyfa. Ale zamiast odczuwać beznadzieję, czuję przypływ mocy.

Bo odkrywam, że z każdym kursem jest mi łatwiej pokonać schody.

Kiedy docieram na górę i zawracam na podeście, by znów zejść na dół, wypowiadam w kółko to samo zdanie:

- Nie ma jak w domu.

Powtarzam to już od godziny. Z początku brzmi to jak śpiewy jakiegoś indiańskiego szamana:

- E a ja o u.

Ale słowa powoli zaczynają nabierać kształtu, jakbym powtarzając te sylaby setki razy, rzeźbił z nich czytelne dźwięki. Teraz, kiedy wypowiadam słowa, do ideału brakuje tylko paru głosek:

- Ne ma ja domu.

Nie czułem takiego radosnego uniesienia od kiedy... hm, od kiedy spacerowałem z Ritą po wsi. Chcę się z kimś podzielić tą chwilą - tym uczuciem triumfu, tym ulepszeniem samego siebie. Ale towarzystwa dotrzymuje mi tylko Dominus Cabernet rocznik 2001 i niedojedzony słoik Cudownego Przysmaku Raya.

Siadam na materacu, szufluję widelcem do ust kolejny kęs sarniny i popijam resztką wina. Jedno i drugie smakuje wprost wspaniale. Choć zawsze potrafiłem docenić intensywny, lekko piżmowy aromat specjalności Raya, mam wrażenie, że smak nabiera intensywności. Jest coraz bogatszy. Pewnie uznałbym, że to po prostu inna partia sarniny, ale wszystko, co jem przez ostatnie tygodnie, jest jakby o wiele smaczniejsze. Z początku myślałem, że mama

po prostu mocniej przyprawia, ale to nie tłumaczy poprawy smaku wina. A Dominus to nie jest pierwsza butelka, która ostatnio sprawiła mi autentyczną frajdę - i gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, przysięgłbym, że jestem lekko podchmielony.

To pewnie przez radość z tego chodzenia i mówienia.

Kiedy moja euforia zaczyna przygasać, a pusty wek po sarninie dołącza do pustej butelki po winie na nocnej szafce, cisza w domu i izolacja w piwniczce zaczyna zaciskać się wokół mnie jak grobowa krypta.

Muszę znaleźć kogoś, kto zrozumie, ile to dla mnie znaczy. Kogoś, kto doceni moje osiągnięcie i podzieli moją radość z tego, że nie jestem już tym gnijącym, chrypiącym, kulawym zombie, jakim byłem. I tylko jeden ktoś przychodzi mi na myśl.

Ubieram się tak szybko, jak mogę, a potem sprawdzam swoje odbicie w lustrze, jak nastolatek szukający pryszczycy. Zastanawiam się, czy nie nałożyć trochę kosmetyków matki, ale przypominam sobie, że drzwi do domu są zamknięte na klucz.

- Eprzyć to - mówię.

Przed wyjściem łapię jeszcze butelkę Borgogno Barolo Reserve z 1982 roku, owijam ją w ręcznik i chowam do plecaka. Spod poduszki wyjmuję kopertę i wsuwam do tylnej kieszeni spodni. Rzucam ostatnie spojrzenie w ciemny ekran telewizora, żeby sprawdzić szwy i szarą cerę, wychodzę zewnętrznymi drzwiami i ruszam w stronę jaru.

Jest idealny, listopadowy ranek - błękitne niebo, białe cirrusy. Drzewa dookoła wciąż jeszcze płoną jesiennymi barwami, a zeschnięte liście podfruwają unoszone lekkim wietrzykiem.

Zapomniałem już, jak to jest dostrzegać niuanse zmiany pór roku, doceniać promienie słońca przesiane przez korony drzew czy grację liścia szybującego ku ziemi. Mimo słońca powietrze jest tak chłodne, że trzeba włożyć sweter. Nie żeby pogoda miała wielki wpływ na moją garderobę, jako że my, zombie, właściwie nie odczuwamy zimna czy ciepła. Możemy więc nosić, co nam się podoba i kiedy nam się podoba. Ale pozostaje jeszcze świadomość, co powinniśmy nosić.

Bycie zombie jest dość skomplikowane, i to nie tylko z tych oczywistych powodów. Nie doświadczasz wrażeń zmysłowych, jak za życia, ale masz wspomnienia, które podpowiadają, jak powinieneś się czuć. Więc polegasz na tych wspomnieniach, żeby lepiej się przystosować i dopasować. Tyle że nigdy nie pasujesz, i nigdy nie będziesz. Doskonale to wiesz. Co nie znaczy, że nie próbujesz.

Mam więc na sobie ciemnozielony dziergany sweter z Macy's, lewisy, traperki Columbia i czarną, włóczkową czapkę z GAP-a. Mój strój do pewnego stopnia jest inspirowany pojęciem, w co powinienem być ubrany przy takiej pogodzie. I, o dziwo, jest mi

nawet trochę chłodno, chociaż przypisuję to raczej wyuczonej percepcji niż rzeczywistym wrażeniom zmysłowym. Ale przede wszystkim ubrałem się tak, bo chciałem dobrze wyglądać.

Przełażę przez jar, świadomy, że nie ciągnę za sobą nogi tak mocno jak wczoraj i powtarzam półgłosem haiku, które napisałem dla Rity. Na tyle głośno, żebym sam słyszał, co mówię. Nie wszystkie słowa są wyraźne, ale udaje mi się poprawnie wymówić co trzecią, co czwartą sylabę. Oczywiście jest to haiku, więc tych wyraźnych sylab nie jest wiele - może ze cztery, najwyżej pięć. Ale nie licząc moich logopedycznych ćwiczeń, to i tak więcej, niż powiedziałem przez ostatnie cztery miesiące.

Może w mojej genetycznej strukturze jest coś, co jakimś cudem pomaga mi wyzdrowieć. A może po prostu przyzwyczajam się do moich fizycznych ograniczeń, zamiast z nimi walczyć. Nieważne! Nie mam zamiaru narzekać.

Sprawdzam prawą tylną kieszeń spodni, żeby się przekonać, czy haiku dla Rity ciągle tam jest. Czuję złożoną kopertę z pojedynczą kartką, z zapisanymi trzema wersami, które przysły mi bez żadnego wysiłku, jakby były w mojej głowie przez cały czas i tylko czekały, aż przeleję je na papier:

szkarłat ust

alabaster ciała

moje martwe serce bije

Mam tylko nadzieję, że jej matki nie ma w domu.

30

Ludzie, którzy stracili rękę lub nogę na wojnie, w wyniku choroby czy wypadku z piłą łańcuchową, często cierpią na syndrom kończyn fantomowych i wciąż czują swoje brakujące ręce czy nogi.

Kiedy stoję przed domem Rity i unoszę rękę, żeby zapukać w jej drzwi, przysięgam, że czuję, jak bije mi serce i jak pot sączy się z moich porów, przyklejając mi koszulkę do skóry. To już grubo ponad dziesięć lat, od kiedy miałem jakieś romantyczne zamiary wobec kobiety innej niż Rachel, i trochę wyszedłem z wprawy. Czuję się, jakbym był w ogólniaku i

szedł zaprosić dziewczynę na bal maturalny. Ale zamiast się wstydzić pryszcz, który właśnie wyskoczył mi na środku czoła, martwię się o szwy, które biegną od podbródka do lewego oczodołu.

Oczywiście w ostatniej chwili, jak to u faceta, cała moja pewność siebie zupełnie mnie opuszcza. I zaczynam się zastanawiać, czy nie popełniam błędu. Czy ona mnie nie wyśmieje. Czy nie powinienem użyć więcej wody kolońskiej, żeby zamaskować smród rozkładu.

Pukam trzy razy i czekam, mając nadzieję, że otworzy Rita, a nie jej matka. Nawet jeśli oddychacz mieszka z zombie, to jeśli ujrzy na progu taki piękny okaz nieumarłego jak ja, może być trochę wytrącony z równowagi. A nie jestem w nastroju, żeby słuchać wrzasków na mój widok. To raczej nie podbudowuje pewności siebie.

Po chwili ciszy słyszę zbliżające się kroki. Zatrzymują się przy drzwiach. Na wysokości oczu jest judasz i czuję, że ktoś mi się przygląda. To nie może trwać dłużej niż sekundę czy dwie, ale mnie się wydaje, że stoję na progu parę godzin. Już prawie się odwracam, żeby sobie pójść, ale nagle drzwi się otwierają i przez próg przestępuje Rita z uśmiechem na ustach, z otwartymi ramionami. I cała moja niepewność znika.

Rita ma na sobie białą koszulkę z krótkim rękawkiem i wypłowiałe dżinsy. Nie ma skarpetek, makijażu, nawet biustonosza. Nawet moim osłabionym wzrokiem widzę zarys jej sutek, napierających na białą bawełnę.

- Cześć, Andy - mówi, obejmując mnie. Moje prawe ramię otacza jej talię. Choć powinna być całkiem zimna, czuję ciepło bijące od jej skóry.

Stoimy tak, obejmując się, nie wiem jak długo, ale dla mnie i tak za krótko. Kiedy się odsuwa i bierze mnie za rękę, zdaję sobie sprawę, że mam coś, co Jerry nazwałby stójką. Wygląda na to, że Rita też to zauważyła.

- Wejść do środka - mówi. Wyraz jej twarzy i sensacje w moich spodniach każą mi się zastanawiać, czy jej słowa nie mają przypadkiem podwójnego znaczenia. Ale to nieważne. Pójdę za nią, gdziekolwiek będzie chciała.

Prowadzi mnie korytarzem. Mijamy kuchnię i salon, mijamy łazienkę i sypialnię i wchodzimy do pokoju na samym końcu. Łóżko jest niezaścielone, po podłodze porozrzucone są ciuchy, a na nocnej szafce stoi na wpół opróżniony słoik Cudownego Przymaku Raya. Toaletka jest zavalona szminkami w dziesiątkach kolorów i odcieni.

Rita zamyka za nami drzwi, powadzi mnie do łóżka, sadza, po czym łapie słoik i dołącza do mnie. Wyjmuje widelcem kawałek sarniny i podsuwa mi bez słowa. Otwieram usta. To niesamowite, o ile lepiej smakuje jedzenie, kiedy karmi cię nim piękna zombie.

Rita też zjada kawałek mięsa i wydaje cichy jęk zadowolenia. Patrzę, jak widelec

wysuwa się z jej ust i sam jęczę.

Znów mnie karmi, a potem siebie, i tak w kółko, aż słoik jest pusty. Wtedy przeciąga palcem po wnętrzu słoika, wyjmując błyszczący od mięsnego sosu i podsuwa mi do ust.

Kompletnie zapomniałem o moim haiku.

Oblizuję palec Rity i patrzę, jak się uśmiecha. Nie zamykam oczu, żeby niczego nie przegapić. Kiedy palec jest już czysty, Rita wsuwa go do swoich ust i robi z nim takie rzeczy, że pewnie bym się zaczerwienił, gdybym wciąż był żywy. Po chwili podchodzi do toaletki, bierze jedną ze szminek w kolorze wściekłej fuksji i maluje wargi, aż wyglądają, jakby właśnie zjadła jabłko w cukrze. Składa buzię w ciup, oblizuje wargi i się uśmiecha. I nagle wysuwa sztyft z oprawki na całą długość i odgryza połowę.

To już jest ponad moje siły.

Zanim udaje mi się zerwać z łóżka i pokuśtykać do niej, Rita jest już na mnie. Popycha mnie na materac z ustami na moich ustach, a jej język łaskocze mnie nieomal w gardle. Czuję smak szminki. Kawałek przyciska się do moich ust. I jest przepyszny.

Rita odsuwa się, ściąga koszulkę i dżinsy, jakby czarodziej machnął różdżką. W następnej chwili jest już goła, siedzi na mnie okrakiem, rozpina mi spodnie... I nagle jej twarz znika mi z widoku.

Tym razem zamykam oczy.

31

Czy skoro oboje jesteśmy nieżywi, to to jest nekrofilia?

Rita leży zwinięta w kłębek obok mnie, moja prawa ręka pieści jej nagie ramię, a jej dłoń śledzi szwy na mojej twarzy. Reszta moich ubrań dołączyła do jej ciuchów na podłodze.

Niektórzy zombie, jak Jerry, z powodu fizjologicznej reakcji zaraz po śmierci, idą przez egzystencję z permanentną erekcją. Ja do nich nie należę. Od wypadku nie doświadczyłem fizycznych objawów podniecenia, a ponieważ ożywione ciała nie mogą już mieć erekcji ani produkować spermy, nie oczekiwałem, że jeszcze kiedykolwiek będę uprawiał seks. Aż tu nagle okazuje się, że miałem dwa orgazmy w ciągu trzydziestu minut i wygląda na to, że jestem gotów starać się o trzeci.

Jak to możliwe?

Rita podnosi się na łokciu i spogląda na mnie, jakby właśnie zdała sobie sprawę, że jestem Elvisem Presleyem.

- Co powiedziałeś?

Nie wiem, o czym mówi, aż nagle dociera do mnie, że musiałem powiedzieć to głośno.

- Ak to oiwe?

- Jak co jest możliwe? - pyta Rita.

To, że mnie rozumie, doprowadza mnie niemal do łez.

Pokazuję na swoje gardło.

- O - mówię, a potem wskazuję na erekcję. - I o.

Na twarzy Rity pojawia się szelmowski uśmiech.

- Powiem ci, co myślę - zaczyna, muskając palcami moją szyję. - Ale najpierw pozwól, że się tym zajmę.

Nie wiem, czy chodzi o to, że nie uprawiałem seksu od prawie pięciu miesięcy, czy może nieumarli mają mniejszą samokontrolę, ale Rita zajmuje się mną w mniej niż pięć minut.

- Mniam - mówi, wracając w moje ramiona.

Zdecydowanie „mniam”.

I pomyśleć, że jeszcze miesiąc temu podniecałem się tylko obiadem i filmami na TBS.

Leżymy w milczeniu na łóżku. Rita bawi się moimi włosami na klatce piersiowej, a ja jeszcze raz zastanawiam się, co myślę o Bogu. Bo o ile do dziś moja egzystencja była piekłem, to to zdecydowanie jest niebo.

Patrzę na Ritę. Na jej ciemne włosy i bladą skórę, na jej miękkie, młode usta, na palce, które pieszczą moje gnijące ciało, i jej zmysłowość wręcz mnie przytłacza. Moja zmarła żona zrozumie, mam nadzieję, że to, iż właśnie przespałem się z żywym trupem, nie oznacza, że nie czczę jej pamięci. Ale prędzej czy później przychodzi taka chwila, kiedy trzeba pożegnać się z przeszłością, by móc spojrzeć w przyszłość.

Nie wiem, co zadziwia mnie bardziej - mój brak poczucia winy z powodu tego nowego romansu czy to, że zaczynam myśleć jak Helen.

- Chyba wiem, dlaczego wraca ci głos - mówi Rita z ustami przy mojej piersi.

- Emu? - pytam. I oczywiście nie chodzi mi o gatunek strusia.

- Pamiętasz, kiedy pierwszy raz poczułeś się inaczej? - docieka.

Nie rozumiem.

Znów podnosi się na łokciu i patrzy na mnie. Widzę szwy na jej gardle. Są wspaniałe.

- Tej niedzieli po Halloween - ciągnie. - Dlaczego poszedłeś na spacer po wsi?

Nie wiem, odpowiadam w języku Andy'ego. Musiałem się wyrwać.

- Byłeś niespokojny?

Przytakuje.

- I ośmielony?

Znowu przytakuje.

- Czułeś się inaczej.

Wracam myślami do tamtej niedzieli, przypominam sobie, co wyгнаło mnie z piwniczki, i przytakuje po raz trzeci.

Rita siada - jej sutki są różowe i twarde - i sięga przeze mnie do nocnej szafki, muskając piersiami moją klatkę. Czuję znajome mrowienie poniżej pasa i zastanawiam się, czy wytrzymam tym razem dłużej niż pięć minut.

Rita znów kładzie się obok mnie. Trzyma w dłoni pusty wek.

- Oboje zjedliśmy po słoiku tego wieczoru, kiedy poznaliśmy Raya - mówi. - Jerry wtedy nie jadł. Tylko ty i ja.

Przytakuje z roztargnieniem, myśląc, jaka smaczna była ta sarnina, jaka soczysta i jak bardzo chciałem więcej, kiedy się skończyła.

- Ile słoików zjadłeś? - pyta.

Zastanawiam się chwilę, dodając do siebie wszystkie wycieczki do Raya i słoiki, w które mnie zaopatrzył do domu. Podnoszę cztery palce, a potem dodaje jeszcze kciuk.

- Ja zjadłam trzy - mówi Rita. - I od tego pierwszego słoika czułam, jak coś we mnie rośnie. Zrozumienie. Świadomość...

- Przebudzenie - mówię, choć wychodzi mi „E-u-enie”.

- Dokładnie. A teraz spójrz na to - mówi, pokazując mi swój nadgarstek.

Dopiero teraz zauważam, że szwy na jej prawym nadgarstku zniknęły. Została różowa, gojąca się blizna.

- Przez ostatnich parę dni swędziało - mówi. - A dziś rano zwyczajnie odpadły szwy.

Gapię się na jej nadgarstek, przeciągam palcem po różowej tkance blizny i natychmiast wraca Pan Stójka. Nie umyka to uwagi Rity, która przerzuca przeze mnie nogę, dosiada mnie. Jej kolana ściskają mnie w pasie, uda wiszą parę centymetrów nade mną.

- Wiesz, co myślę? - szepcze, muskając ustami moje ucho.

Kręcę głową. Ledwie mogę się skupić na własnych myślach, a co dopiero zgadywać, o czym ona myśli.

- Nie wydaje mi się, żeby w tych słoikach była sarnina.

- A o to ess? - pytam, choć sędzę, że znam już odpowiedź. Prawdopodobnie wiedziałem to od początku i tylko udawałem sam przed sobą. Ale zamiast czuć obrzydzenie czy mdłości, czuję, że chcę tego więcej.

- Oddychacze - szepcze mi to do ucha, a jej uda zsuwają się niżej i dotykają moich bioder. I znów ogarnia mnie ciepło, którego nie powinno być, a które przewyższa cudownością wszelkie cielesne przyjemności, jakich kiedykolwiek doświadczyłem.

Moje zmysły zalewa fala doznań.

Zapominam o pustym słoiku i o ludzkim mięsie, które w nim było. Skupiam się na Ricie, na jej ciele przyciskającym się do mojego. Odwracam głowę i znajduję jej nadgarstek, ten, który właśnie się zagoił. Zaczynam ssać bliznę. Rita jęczy i prosi, żebym zrobił to jeszcze raz.

- Ssij mnie - błaga, a ja muszę myśleć o czymś innym, żeby nie stracić nad sobą kontroli w tej sekundzie.

Nigdy nie byłem kibicem, więc myślenie o bejsbolu nie działa. A martwe psy w przydrożnym rowie są trochę za bardzo swojskie. Więc próbuję sobie przypomnieć wszystkie tytuły filmów o zombie, jakie kiedykolwiek oglądałem. Ledwie udaje mi się przetrwać pierwsze trzy filmy George'a Romera. Ekspodują.

32

- Kto chce dzisiaj zacząć? - pyta Helen.

Rita i ja spoglądamy na siebie i wymieniamy uśmieški. Jerry siedzi obok nas. Jego zdarty policzek jest ładniejszy i mniej zaogniony niż parę dni temu, jakby schodziła mu różyczka, choć on sam zdaje się tego nie zauważać. Tom siedzi naprzeciw Jerry'ego z wkurzoną miną, bo jego prawa ręka jest pięć centymetrów krótsza od lewej i porośnięta na palcach czarnym włosem. Naomi i Carl, siedzący obok Toma, wyglądają właściwie tak samo jak zwykle - ona wciąż ma zapadnięty oczodół, a on wciąż dłużej w ranach od noża. A Leslie, jedyna z nowych, która postanowiła przychodzić na spotkania, robi koc na drutach.

Na tablicy widnieje zdanie:

„Uwierz w siebie”.

Chyba po raz pierwszy od wypadku mogę powiedzieć, że wierzę.

Gdy już dotarło do mnie, co było w słoikach, najpierw czułem się dziwnie na myśl o jedzeniu ludzkiego mięsa. To raczej kwestia moralna niż poczucie winy. Ostatecznie dopiero cztery miesiące temu zostałem pozbawiony statusu oddychacza. Ale biorąc pod uwagę przemianę, jaką przeszedłem, od kiedy po raz pierwszy skosztowałem Cudownego Przymaku Raya, nie mam ochoty zastanawiać się zbyt głęboko nad aspektem moralnym tej sprawy.

Przez ostatnie kilka dni odkryliśmy z Ritą, że uzdrawiające właściwości mięsa oddychaczy wykraczają poza obrażenia fizyczne. Oboje czujemy zachodzące w nas zmiany - w naszych ciałach i naszych głowach - jakbyśmy przez ostatnie miesiące mieli zwarte styki, a teraz obwody znów zaczęły funkcjonować. Powoli, ale nieuchronnie, wraca nam zasilanie.

Odkryliśmy też, że pośmiertny seks jest o niebo lepszy niż ten za życia.

Jak MP3 od kasety magnetofonowej.

Jak pierwsza klasa od ekonomicznej.

Jak filet mignon od hamburgera.

Z początku myślałem, że to tylko kwestia odczuwania fizycznej przyjemności po tak długiej przerwie. Tyle że Rita też to zauważyła. Nie jestem pewien, czy przed, czy po orgazmie, który trwał dziesięć minut, ale to chyba był dla niej ostateczny dowód. Dla mnie takim dowodem był piąty numer w ciągu godziny.

Naprawdę muszę popracować nad wytrzymałością.

Tak czy owak, czuję się jak siedemnastolatek, który wymyka się do dziewczyny, żeby się z nią kochać, kiedy jej mama jest w pracy. Albo przemycą dziewczynę do piwniczki rodziców, którzy siedzą na górze, nie słysząc stłumionych krzyków namiętności Rity. Tak szczerze, to wątpię, czy rodziców by to obeszło, nawet gdyby wiedzieli. Bylebym tylko nie chodził po ulicach, domagając się praw obywatelskich i nie próbował jeździć autobusami.

- Czy ktoś chciałby się podzielić z grupą czymś osobistym? - pyta Helen.

Rita patrzy na mnie tak jak zawsze, kiedy chce wypróbować nową pozycję w łóżku, a ja wybucha śmiechem.

- Czy tylko mnie się tak wydaje - pyta Naomi - czy coś się dzieje?

- Co masz na myśli? - pyta Helen.

Naomi rozgląda się po sali. Jej jedyne oko zatrzymuje się na chwilę na Ricie i na mnie.

- Dokładnie nie wiem - mówi. - Coś jest inaczej. Czuję się inaczej.

- Wiesz co? Ja też to czuję - dodaje Jerry. - Ale myślałem tylko, że jestem upalony albo coś.

- Ja też - mówi Tom, przytakując. Palce jego krótszej ręki drgają. - To znaczy, nie chodziło mi o to, że jestem upalony.

Rita zjadła dopiero trzy słoiki z oddychaczami, ja - pięć, a Tom i Jerry po dwa na głowę. Wszyscy inni z grupy zjedli co najwyżej po jednym słoiku. Ale nie wiedzą tego, co wiemy my z Ritą.

- Mnie się nie wydaje, żebym czuła się jakoś inaczej - mówi Leslie. - Ale właściwie to wszystko to dla mnie nowość. Co powinnam odczuwać?

Nikt jej nie odpowiada.

- Carl - pyta Helen. - Czujesz coś, co odbiega od normy?

- Niczego nie czuję - odpowiada Carl.

- To akurat żadna nowość - stwierdza Naomi.

Carl ją ignoruje.

- Ale widzę, że twarz Jerry'ego się goi, a Andy nie kuśtyka tak bardzo. I że Rita nie ma dzisiaj makijażu.

Nie ma. Twarz ma bladą i nieumalowaną. Jest ubrana w dzinsy i czerwony golf, który zakrywa jej szyję i nadgarstki. Tyle że tym razem nie ukrywa szwów, ale to, że zdrowieje.

Wszyscy patrzą na Ritę, która zaczyna chichotać, a potem na Jerry'ego, który pyta:

- Co?

- To prawda, Jerry? - pyta Helen. - Twoja skóra się goi?

- Bo ja wiem - odpowiada Jerry, skubiąc twarz. Strup odłazi i spada na podłogę, zostawiając różową plamę naskórka. - Może.

Helen podchodzi do Jerry'ego i przygląda się uważnie jego twarzy, podnosząc palcami jego brodę i obracając mu głowę z boku na bok.

- Co zmalowałeś? - pyta Helen.

- Nic - odpowiada Jerry. - Przysięgam.

Helen spogląda na nas. Rita uśmiecha się, a ja mówię:

- E acz na nie.

Wszystkim opadają szczęki, ale nikt nic nie mówi. W końcu odzywa się Helen:

- O rety! - I chwiejnie wraca do swojego krzesła, a Leslie i Naomi pomagają jej usiąść.

- Ziom - mówi Jerry. - Cały ten czas mogłeś mówić?

Kręcę głową.

- Kiedy odzyskałeś mowę? - pyta Leslie.

- F ciągu ostanich ilku ygoni - odpowiadam.

- Ale jak? - zaciekawia się Naomi. - Jak to możliwe? Jesteś nieżywy. Wszyscy

jesteśmy nieżywi.

- Nieumarli - poprawia ją Carl.

- Nieważne - wkurza się Naomi. - Andy nie powinien odzyskać głosu, poharatana skóra Jerry'ego nie powinna się goić, a Rita...

Rita podwija rękaw i pokazuje wszystkim wyleczony nadgarstek.

- Jasna dupa! - jęknął Jerry.

- To niemożliwe - dodaje Tom.

- Najwyraźniej jest możliwe - stwierdza Leslie, która wydaje się jakoś chętniej wierzyć w te rewelacje niż cała reszta.

- Co się dzieje, do diabła? - pyta Naomi, trzymając się pod boki. - Co robiła cała wasza trójka?

- Jedli oddychaczy - mówi Helen głuchym głosem.

Rita i ja wymieniamy zaskoczone spojrzenia.

Nastaje niezręczne milczenie. Gdyby to była scena w filmie, gdzieś z daleka byłoby słychać szczekanie psa.

- Jak smakują oddychacze? - pyta Leslie.

- Skąd mam wiedzieć? - pyta Jerry. - Żadnego nie jadłem.

- Owszem, jadłeś - mówi Rita.

- Nie, nie jadłem - upiera się Jerry. - Chybabym wiedział, gdybym zjadł oddychacza.

Sięgam do plecaka i wyciągam z niego pusty słoik po Cudownym Przysmaku Raya.

Jerry zerknął na słoik w mojej dłoni.

- Żartujesz.

Kręcę głową.

- Każdemu z nas dał po słoiku - mówi Naomi. - Mówisz, że każdy z nas jadł oddychacza?

Tom wstaje nagle z krzesła i biegnie do łazienki, lewą dłonią przykrywając usta i wydając bulgoczące dźwięki.

- Właściwie - mówi Leslie - moim zdaniem to było całkiem smaczne.

- Dlaczego nie powiedzieliście nam, co jest w tych słoikach? - pyta Naomi.

- Nie wiedzieliśmy - odpowiada Rita. - Domyśliliśmy się dopiero parę dni temu.

- Ale skąd wiecie, że to oddychacz, a nie sarnina? - pyta Jerry. - Rozmawialiście z Rayem?

Gdy wpadliśmy z wizytą do Raya, nie było go w domu. Ale w popiele w jego ognisku znaleźliśmy ludzką kość udową, której raczej nie używał do pieczenia kiełbasek.

- Nie muszą pytać Raya - mówi Helen głosem, który odzyskał już część swojej charakterystycznej energii. - Nieumarli nie zdrowieją w cudowny sposób od jedzenia sarniny.

- Wiedziałaś o tym? - pyta Carl. - Że to jest możliwe?

Okazuje się, że jeden zombie, który korzystał z pomocy Helen za jej życia, twierdził, że znalazł sposób nie tylko na odwrócenie procesu rozkładu, ale także na wyleczenie ran i obrażeń.

- Widziałam go tylko trzy razy, ale zauważyłam, że wyglądał zdrowiej niż przeciętny zombie - opowiada Helen. - Kiedy go zapytałam, jak to możliwe, tylko się uśmiechnął i powiedział mi, że wołałabym nie wiedzieć. Oczywiście podejrzewałam, że je oddychaczy, ale nikomu tego nie zgłosiłam.

- Co się z nim stało? - pyta Rita.

- Powiedział, że kiedy tylko będzie mógł uchościć za oddychacza, przeprowadzi się gdzieś, gdzie nikt nie wie, kim jest, i zacznie nowe życie - opowiada Helen. - Od tej pory już go więcej nie widziałam. Według rejestru po prostu zniknął.

- Mówiłaś o tym komukolwiek? - pyta Leslie.

Helen kręci głową.

- Nie. Aż do dzisiaj.

- Oddychacze o tym wiedzą? - pyta Naomi.

- Nie mam pojęcia - odpowiada Helen. - Przypuszczam, że ktoś na pewnym szczeblu wie. Albo przynajmniej podejrzewa. Ale nawet jeśli tak jest, to nie jest to coś, co podaliby do wiadomości publicznej.

Teraz rozumiem, dlaczego nie możemy mieć dostępu do Internetu. Dzielenie się takimi informacjami na poziomie globalnym mogłoby przysporzyć żywym nie lada problemów.

- Ale gwarantuję, że jeśli przyjdzie tu ktoś z Okręgowego Wydziału Rezurekcji i zauważy, że nam się poprawiło - mówi Helen - to doniesie na nas wszystkich.

Oprócz tego, że jesteśmy używani w testach zderzeniowych, do treningowych operacji plastycznych, trafiaamy do składnic części i do ośrodków naukowych, gdzie dokonuje się na nas najobrzydliwszych doświadczeń, to porzuceni czy mocno rozłożeni zombie mogą skończyć w miejscach zwanych przez naszą społeczność „czyścem nieumarłych” - wyrzuceni na wysypiska śmieci, sprzedani do zoo dla zombie czy uwięzieni na potrzeby któregoś z całkiem licznych reality show. *Niania zombie* jest chyba najgorsza, chociaż słyszałem, że *Zombie, który wszystko przetrwa* idzie z nią prawie łeb w łeb.

- I co teraz zrobimy? - pyta Leslie.

- Nic nie zrobimy. - Helen wstaje, podchodzi do tablicy i zaczyna pisać.

- Nie przyjmujemy więcej sarniny od Raya, nie dzielimy się tą informacją z nikim spoza grupy, używamy makijażu i rekwizytów, żeby ukryć jakiegokolwiek widoczne oznaki poprawy i ćwiczymy powściągliwość.

Helen odsuwa się od tablicy i odsłania, co napisała:

„Nie będę konsumować żywych”.

- Powtarzajcie to ze mną.

33

Jerry, Rita i ja idziemy poboczem Old San Jose Road do Raya. Chcemy zapytać, czy ma więcej słoików z oddychaczami.

Jerry martwił się na początku, że to stoi w oczywistej sprzeczności z zaleceniami Helen, ale Rita go przekonała, że jeśli oddychacz, który użyczył swojego mięsa, już nie żyje, to z technicznego punktu widzenia nie będziemy konsumować żywych.

- A jeśli Raya nie ma w domu? - pyta Jerry.

Wzruszam ramionami. Pierwszy raz od wypadku udaje mi się wzruszyć obydwoma. Nie jest to może materiał na sensacyjnego newsa, ale kiedy twój bark od prawie pięciu miesięcy był masą zmiądzonych kości i tkanek, wzruszenie ramion cieszy jak wygrana w totka.

Jerry zdejmuje bejsbolówkę i drapie się po głowie. W plamie światła latarni dostrzegam, że widać mu o wiele mniej mózgu niż przedtem.

- Myślicie, że się pogniewa, jeśli pożyczę jeszcze parę „Playboyów”?

Gdzieś po drodze Rita wsuwa swoją prawą dłoń w moją lewą. Drzę, nie tylko od jej dotyku, ale i od samego faktu, że czuję ten dotyk. Nie da się też ukryć, że z sekundy na sekundę jestem coraz bardziej podniecony. Na szczęście Jerry pognał do przodu, w pogoni za oposem, więc nie widzi, jak dłoń Rity wysuwa się z mojej dłoni i wsuwa za pasek spodni.

Kiedy docieramy pod tylne drzwi spichlerza, jest już prawie dziesiąta. Dwa tygodnie temu na myśl o złamaniu godziny policyjnej, nawet gdy miałem jeszcze godzinę w zapasie, oblewałem się fantomowym potem. Ale kiedy już się jadło oddychacza, wszelkie zasady czy tabu przestają się wydawać takie istotne.

- Wygląda na to, że nikogo nie ma w domu - mówi Rita.

- No ale, skoro już tu jesteście... - zaczyna Jerry.

Gdy Jerry sięga do klamki, nagle ze środka dobiegają nas stłumione głosy, męski i żeński, a zaraz potem dźwięk tłuczonego szkła.

- Cholera! - drze się żeński głos.

Zaraz po tym słychać jeszcze jeden męski głos:

- Chyba zaraz znowu zwymiotuję.

Nagle za drzwiami słychać kroki zbliżające się szybko w naszym kierunku. Zanim udaje nam się odsunąć, tylne drzwi się otwierają, wypada z nich jakaś postać i wymiotuje na buty Jerry'ego.

- O kurde! - Jerry się cofa i próbując strząsnąć rzygi z butów. - To moja ulubiona para conversów.

- Przepraszam - mamrocze Tom.

- Wszystko w porządku, kochanie? - pyta Leslie, która ukazuje się w drzwiach za Tomem.

- Tak, prawie. - Tom się prostuje i wyciera usta dłonią.

Obok Leslie pojawia się Naomi. Zauważa nas.

- Co tu robicie?

- Zdaje się, że to samo co wy - odpowiada Rita. - Znaleźliście coś?

- Nie - mówi Naomi. - Tylko mnóstwo ciepłego piwa i „Playboyów”.

- „Playboyów” nie tykać! - wrzeszczy Jerry, wycierając buty o jakieś zielsko. - Muszę je pożyczyć.

- Est Ley? - pytam.

- Nie - odpowiada Leslie. - Nie ma tu nikogo oprócz nas.

Na Old San Jose Road migają światła samochodu. Słyszymy opony na asfalcie.

- Powinniśmy zejść z widoku - mówi Rita.

Cała nasza szóstka wchodzi do wnętrza oświetlonego gazową lampą Raya. Carl kuca obok drzwi jednej z komór na zboże, próbując posprzątać kilka stłuczonych butelek piwa i zawinąć odłamki w gazetę. To wyjaśnia odgłos tłuczonego szkła.

- Ziom! - wrzeszczy Jerry, podbiegając do Carla. Zabiera mu czasopismo. Wyciera je o koszulę i unosi do góry. - To jest numer na piętnastolecie. I na dodatek z dziewczyną roku!

Zastanawiam się, gdzie jest Ray. Kiedy dotykam węgli w dołku na ognisko, są zimne. Ale do kości udowej dołączyły dwie łopatki.

Nagle czuję, że coś jest nie w porządku w tym naszym szukaniu słoików Raya z

ludzkim mięsem.

- Yśle e oiniśmy yjs - mówię.

- Andy ma rację - stwierdza Rita. - Posprzątajmy tutaj i wróćmy do domu.

Gdy Rita, Leslie, Naomi i Carl zbierają kawałki potłuczonego szkła, Tom stoi przy tylnych drzwiach, na wypadek gdyby znowu zachciało mu się wymiotować.

- Erry - pospieszam ich. - Oćmy.

- Zaraz. - Jerry się ociąga, przeszukując magazyn. - Chcę tylko zabrać parę „Playboyów”.

A potem słyszymy samochód zbliżający się do spichlerza.

- Cholera! - szepcze Naomi.

Wszyscy zamieramy i słuchamy, jak samochód podjeżdża i zatrzymuje się przy tylnych drzwiach.

- Co robimy? - pyta Tom, dołączając do nas, gdy gaśnie silnik samochodu.

Rita gasi gazową latarnię.

- Kryjcie się.

Poza dwoma pojemnikami na zboże nie ma gdzie się ukryć, a wszyscy siedmioro się nie zmieścimy, więc Rita i Leslie włączają do jednego, Tom i Jerry do drugiego. Naomi kuca za jednym z pojemników, ja kulę się za drugim, a Carl, dla którego nie zostało już miejsca, wdrapuje się do połowy wysokości jednej z drabin.

Słyszymy, jak na zewnątrz otwierają się i zamykają drzwiczki samochodu. Do drzwi zbliżają się kroki. Nie mogąc się powstrzymać, wyglądam znad pojemnika, kiedy drzwi się otwierają i w progu staje jakaś postać. Promień latarki przebija ciemność w spichlerzu.

Kurczę, ja naprawdę się pocę.

Nie mam czasu należycie ocenić wagi tego doznania, bo w tej chwili rozlega się głos:

- Halo? Jest tu kto?

Carl i Naomi zaczynają się śmiać. Nie mogę się powstrzymać i też wybucham śmiechem. Kilka sekund później z drugiego pojemnika słychać stłumione chichoty Rity i Leslie.

Strumień światła latarki omiata pomieszczenie w tę i z powrotem w poszukiwaniu źródła śmiechu. W końcu zatrzymuje się na Carlu, który stoi na drabinie pięć metrów nad ziemią.

- No więc - mówi Carl, śmiejąc się tak mocno, że o mało nie spada. - Czy to miałaś na myśli, mówiąc o ćwiczeniu powściągliwości?

- Och, cholera jasna! - irytuje się Helen.

Oprócz poprawy wyglądu i większej pewności siebie, kolejny uboczny efekt jedzenia oddychaczy jest taki, że kiedy już raz spróbujesz, masz wielką ochotę na więcej.

Chyba że jesteś wegetarianinem, oczywiście.

- Nie wierzę, że zjadłem dwa słoiki - mówi Tom. Nie zwymiotował, od kiedy wyszliśmy ze spichlerza, ale ma taką minę, jakby lada chwila miał zmienić zdanie.

- To uwierz. - Jerry, siedzący obok Toma na tylnej kanapie minivana siostry Helen, wzrusza ramionami. - No bo... daj spokój. Przecież musiałeś wiedzieć, że to nie jest tuńczyk.

- Czy możemy o tym nie rozmawiać? - prosi Tom.

- Sam zacząłeś.

- Zamknijcie się już - mówi Naomi z przedniego siedzenia. - Helen się denerwuje.

Helen podrzuciła już do domu Carla i Leslie, ale musiała nadrobić sporo drogi, żeby unikać głównych ulic. Samochód pełen zombie, krążący nocą po mieście nie jest czymś, na co policja przymknęłaby oko.

Rita i ja siedzimy na środkowej kanapie, trzymając się za ręce. Jeszcze nikomu o nas nie powiedzieliśmy, ale chyba i tak widzą, co jest grane. Leslie powiedziała mi nawet, że śliczna z nas para.

- Twoim zdaniem to smakowało jak tuńczyk? - pyta Jerry.

- Czy ktoś mógłby otworzyć okno? - mówi Tom.

Nie mogę się nie roześmiać.

- Tom? - Rita odwraca się na siedzeniu. - Patrzyłeś ostatnio w lustro?

- Nie bardzo - odpowiada. - Właściwie staram się w ogóle unikać luster. A co?

Rita wyciąga z torebki puderniczkę, otwiera lustro i mu podaje.

- To może popatrz.

Tom z ociąganiem bierze puderniczkę i unosi lustro do twarzy. Z początku jego mina się nie zmienia. Nagle poprawia lustro i przysuwa je bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć. W świetle sufitowej lampki minivana trudno cokolwiek dostrzec, a zresztą poprawa nie rzuca się od razu w oczy, ale płat skóry na policzku Toma ewidentnie zaczął się goić.

Tom, jakby nie przekonany, dotyka twarzy. I chyba nie zdaje sobie sprawy, że obmacuje policzek tą obcą, prawą ręką, bo w lewej trzyma puderniczkę. Najwidoczniej zdrowieje nie tylko jego twarz.

- O kurczę!

- Człowiek ma ochotę przemyśleć ten swój wegetarianizm, co? - stwierdza Jerry.

Tym razem Tom nie odpowiada.

Po wysadzeniu Toma i Naomi Helen pyta Jerry'ego, Ritę i mnie, czy moglibyśmy wrócić do domu pieszo, żeby mogła odstawić minivana, zanim siostra się zorientuje, że wzięła auto. Kiedy zatrzymuje się na niezamieszkanym kawałku drogi, żeby nas wypuścić, wysiadam i podchodzę do drzwiczek kierowcy. Helen otwiera okno.

- O co chodzi, Andy?

Pochyliam się przez okienko i całuję ją w policzek.

- Ekuje, Elen - mówię. - Ekuje a ychko.

Patrzy na mnie, uśmiechając się ze zrozumieniem i współczuciem.

- Nie ma za co, Andy.

Patrzymy we trójkę, jak odjeżdża, a potem ruszamy w milczeniu, zamyśleni. Nie wiem, jak Rita, ale ja sam nie mogę przestać myśleć o tym, jak długo uda nam się utrzymać nasze małe odkrycie w tajemnicy. Co do Jerry'ego, są duże szanse, że myśli raczej o zamknięciu się w łazience z ręcznikiem i butelką balsamu do rąk.

Po przejściu kilku kwartałów Jerry, z plecakiem pełnym „Playboyów”, odbija od nas i idzie do domu rodziców, a ja upieram się, że przed powrotem do swojej piwniczki odprowadzę Ritę do domu. Z początku odmawia, ale w końcu ją przekonuję, że i tak za nią pójde, czy się zgodzi, czy nie.

- Jak piesek? - pyta.

- Hau! - Szczekam i zaczynam ziać.

Rita przerywa mi, przyciskając wargi do moich warg. Jej język sonduje wnętrze moich ust. Zalewają mnie odczucia i wrażenia, które, jak sądziłem, straciłem już na zawsze - ciepło, pożądanie, namiętność. Stoję w objęciach Rity, upojony bijącym od niej żarem.

Już po raz drugi dzisiejszego wieczoru stwierdzam, że oblewam się potem.

- Ot - mówię.

Rita odsuwa się i spogląda na mnie z uśmiechem.

- Teraz chcesz być kotem?

- E. - Kręcę głową. Unoszę prawą rękę i pokazuję jej pachę, która zrobiła się lekko wilgotna.

- Ocę ę.

Na jej wargi zakrada się dziwny uśmiech.

- Powiedz, czy od tego spocisz się bardziej.

Bierze moją prawą dłoń i kładzie na swojej piersi. Czuję, jak jej sutek twardnieje pod moimi palcami, czuję miękkie ciało, poddające się pod ciężarem mojej dłoni. Im dłużej Rita ją tam przytrzymuje, tym trudniej jest mi się powstrzymać, żeby nie wsunąć dłoni pod koszulkę.

I nagle czuję jeszcze coś. Ledwie wyczuwalną wibrację, pojawiającą się mniej więcej co pięć sekund. Przyciskam dłoń mocniej, trzymam ją tak, zapominając o piersiach i sutkach, i czekam na kolejne puknięcie. Kiedy nadchodzi, patrzę na Ritę i widzę, że jej oczy są pełne łez.

Jej serce znów zaczęło bić.

35

Nieczęsto się zdarza, że człowiek się zastanawia nad zmianą stanowiska w tak fundamentalnych kwestiach, jak wiara w istnienie wyższej inteligencji. Wszechmocnej boskiej istoty. Nadrzędnego bytu.

Ale tylko wyższa inteligencja mogła sprawić, że oddychacze są tak smacznici. Tylko wszechmocna boska istota mogła dać ludzkiemu mięsu jego uzdrawiającą moc. Tylko nadrzędny byt mógł być wystarczająco dowcipny, by pozwolić nieumarłym udawać żywych dzięki zjadaniu ich mięsa.

W każdym razie właśnie to zamierzam ustalić.

Nie żebym próbował kogokolwiek udawać. Wciąż mam na twarzy zygzaki szwów i kulawy krok, przy którym potwór Frankensteina wygląda jak tancerka w Moulin Rouge. Ale przynajmniej mogę siedzieć w jednej z ostatnich ławek w kościele w Soquel i nikt nie zachłystuje się wrzaskiem na mój widok. I nie krzywi się z obrzydzenia.

Oczywiście nikt nie ma też ochoty tulić się do mnie jak do puchatego misia, ale takie potwierdzenie mi wystarczy.

W środę wieczorem nie ma żadnej mszy, więc nie muszę stawiać czoła pełnemu kościołowi wiernych. Jest tylko garstka oddychaczy, a poza tym ludzie zwykle dają ci spokój, kiedy siedzisz z głową pochyloną w modlitwie. Ale ja nie przyszedłem tutaj, żeby się modlić.

To, że serce Rity zaczęło znowu bić, było cudem. I przyszło mi do głowy, że może te wszystkie niewyjaśnione zjawiska mają coś wspólnego z religią. Jedyne cuda, o jakich

słyszałem, były przypisywane Bogu albo Jezusowi, więc pomyślałem, że to sprawdzę - przekonam się, czy to możliwe, że za nasze zdrowienie jest odpowiedzialna jakaś nadnaturalna siła. Nie żebym szukał potwierdzenia czy usprawiedliwienia dla tego wszystkiego. To raczej ciekawość. Wolę sprawdzić, czy przez cały czas nie byłem w błędzie.

Nie spodziewam się objawień, gromów z jasnego nieba czy grzmiącego głosu Boga. Przyszedłem tu sprawdzić, czy przypadkiem czegoś nie przegapiłem. Ostatecznie, kiedy zaczynasz jeść ludzkie mięso, to nawet jeśli nigdy nie wierzyłeś w Boga czy niebo, trudno ci się nie zastanawiać nad wiecznym potępieniem.

Mimo wspaniałego smaku oddychaczy bycie kanibalem to nie jest to coś, co akceptuje się bez słowa. Oczywiście, jeśli taki jest styl życia całej społeczności i człowiek się w tym rodzi, nie zastanawia się nad moralnością, tak jak pirania nie zastanawia się nad tonącą krową. Ale jeśli przez ponad trzydzieści lat jadałeś wszystko, tylko nie ludzi, chodziłeś na prozono kolacje i na grille do przyjaciół i sąsiadów, a teraz nagle zaczynasz się zastanawiać, jak smakowałyby ci sami przyjaciele i sąsiedzi między dwiema połówkami bułki, z odrobiną musztardy i może plasterkiem pomidora, trzeba do tego troszeczkę przywyknąć.

I pewnie dlatego Ray zainicjował nasz kanibalizm w taki, a nie inny sposób.

Gdybym wiedział, co jest w słoikach, to wątpię, czy wciąłbym ich zawartość z takim entuzjazmem. Ale szczerze powiedziawszy, chyba już przy pierwszej porcji oddychacza wiedziałem, co to jest. Tylko nie chciałem przyjąć tego do wiadomości. Wolałem zajadać się mięsem w błogiej ignorancji. Tyle że trudno ignorować to, co się je, jeśli twojej nieżywej dziewczynie zaczyna bić serce.

I tym sposobem wracamy do powodu mojej wizyty w kościele.

Mam nadzieję, że naszą powolną transformację da się przypisać cudowi, działaniu ręki Boga, a nie wartościom odżywczym moich przyjaciół i sąsiadów. Jeśli sprawiło to pierwsze, to mam nadzieję, że uda mi się znaleźć w sobie dość siły woli, żeby przewyciężyć pragnienie pożerania ludzkiego mięsa. Jeśli to drugie, to chyba powinienem poszukać w sklepie porządnej zaprawy do mięs.

W kościele jest pół tuzina oddychaczy. Kobieta modląca się kilka ławek przede mną, jakaś parka dyskutująca o swoim nadchodzącym ślubie w przedśionku za moimi plecami i mężczyzna siedzący po lewej w jednej z pierwszych ławek. Kolejna kobieta, chyba czymś zdenerwowana, rozmawia z pastorem przy ołtarzu. Pastor jest szósty.

Jestem tu już pół godziny, starając się ich ignorować. Udawać, że ich tu nie ma. Po prostu siedzę z zamkniętymi oczami i pochyloną głową. Udaję, że się modlę, i czekam na znak, po który tu przyszedłem. Ale od czasu do czasu dociera do mnie zapach kogoś z nich i

przylapuję się na rozmyślaniu, jak by smakowali.

Pewnie powinienem był coś zjeść przed wyjściem z domu.

Do tego chyba najtrudniej mi przywyknąć. Do apetytu. Zanim zacząłem jeść ludzkie mięso, jadałem raczej z nawyku niż z głodu i tęskniłem za czymkolwiek, co miałoby jakiś smak, co nie przypominałoby gotowanego ryżu, białego chleba czy makaronu bez sosu. Teraz mam coraz większą ochotę na gotowany ryż ze smażonym oddychaczem, na kanapkę z oddychaczem i serem, i na spaghetti z sosem z oddychacza.

Nie wyobrażałem sobie, że tak się to wszystko skończy. Nie prosiłem się o rezurekcję. Ani o ludzkie mięso w słoiku. Ale teraz, kiedy go już spróbowałem, trudno mi zawrócić z tej drogi. Coś się we mnie zmieniło. Nie tylko fizjologicznie. Obudził się jakiś nowy instynkt. Czuję, jak przybiera na sile, jak chce przejąć kontrolę. I czuję, że się poddaję, uwiedziony przez to nowe uczucie.

Ale wciąż jest we mnie coś, co buntuje się przeciw temu. Co chciałoby wierzyć, że jest inny sposób. Że mogę egzystować wśród oddychaczy bez zastanawiania się, jacy są soczyści. Tyle że ten buntowniczy kawałek mnie jest coraz mniejszy i bardziej milczący.

Więc siedzę tu, w kościele, z zamkniętymi oczami i pochyloną głową. I nagle dociera do mnie, że mimo całego mojego sceptycyzmu, mimo że tylko udawałem pobożność, teraz naprawdę się modlę. Mam nadzieję na jakiś znak, jakąś wskazówkę, że to, co się ze mną dzieje, to boska interwencja, dzięki której goją się moje rany, dzięki której wracam do życia. Gdyby okazało się to prawdą, mógłbym traktować mój głód mięsa oddychaczy jak nałóg, jak wybór. Jak coś, co mogę przezwyciężyć. Bo inaczej będę musiał pogodzić się z tym, że jedzenie oddychaczy jest mi niezbędne, bym przetrwał.

Głosy pary rozmawiającej za mną o ślubie nagle cichną. Kiedy otwieram oczy i unoszę głowę, widzę, że przy ołtarzu nie ma już kobiety i pastora. Nie ma też mężczyzny, który siedział w ławce po lewej. Została tylko kobieta kilka ławek przede mną. I wciąż się modli. Podziwiam ją. Siedzi tak, odkąd się zjawiłem. Ale w ciszy, kiedy zostaliśmy tylko we dwoje, słyszę nagle jej chrapanie i dociera do mnie, że udawała, zupełnie jak ja.

Wciąż czekam na swój znak, kiedy słyszę jakieś zamieszanie przed kościołem. Nie słychać syren, więc zakładam, że nie ma nic wspólnego ze mną. Nagle otwierają się drzwi i do kościoła wchodzi pastor w towarzystwie dwóch policjantów z Policji dla Zwierząt.

- Tu jest - mówi pastor, wskazując mnie palcem. - Tu jest ta bluźniercza kreatura.

Ot i boska interwencja.

- Andy, możesz na chwileczkę przyjść na górę?

Kiedy budzę się tego ranka, odkrywam, że dobre pięć centymetrów szwów na mojej twarzy się rozluźniło, więc odcinam je nożyczkami. Teraz nakładam makijaż, żeby wyglądało tak, jakbym próbował ukryć szwy, choć tak naprawdę staram się ukryć to, że się goję.

- Andy? - woła znów matka.

Bez makijażu wciąż nie mógłbym uchodzić za oddychacza, ale każdy, kto widział mnie wcześniej, z pewnością zauważy zmianę na lepsze. Na przykład moi rodzice.

- Andy?

- Okej, okej - mamrocę i się uśmiecham, kiedy orientuję się, że to pierwsze całkowicie wyraźne słowa, jakie wypowiedziałem.

Powtarzam sobie, że muszę powstrzymać się od mówienia, bo to prawdopodobnie przeraziłoby rodziców i dało ojcu kolejny argument, żeby wreszcie wysłać mnie do zoo. Oczywiście bardzo chciałbym zobaczyć ich miny, ale nie warto ryzykować, bo mógłbym już więcej nie zobaczyć Rity. A to z pewnością byłoby ostatnim gwoździem do trumny.

Wieszam sobie na szyi tablicę i próbuję wywlec się po schodach, jakby moja lewa ręka i lewa noga nadal były niesprawne. Ale kiedy nagle przekonujesz się, że twoje ciało odzyskuje formę i wracają ci podstawowe umiejętności, udawanie, że ma się miazgę zamiast kończyn i gnijące ciało, jest trudniejsze, niż się wydaje. To jakbyś, udając kobietę, wszedł do męskiej toalety i skorzystał z pisuaru.

Czasami po prostu się zapominasz.

Z góry dociera do mnie zapach pieczonych świątecznych ciasteczek i słodki głos Sinatry, wyśpiewującego swoją wersję *Mistletoe and Holly*. Mama zawsze miała do niego słabość.

Święta są tuż-tuż, co wydaje się bardzo na miejscu, bo codziennie budzę się pełen radosnego oczekiwania na nowe prezenty, jakie na mnie czekają. Ale zamiast znajdować je pod choinką czy w skarpecie, znajduję je w sobie i we własnym odbiciu w lustrze.

Kiedy zaczyna ci wracać zdolność chodzenia i mówienia, kiedy doświadczasz rozkoszy, podniecenia i innych fizycznych odczuć, z którymi dawno się pożegnałeś, kiedy znów czujesz smaki, zapachy i dotyk, kwestie moralne dotyczące sposobów osiągnięcia tych zmian tracą znaczenie. Stają się dyskusyjne. I są tylko kolejną przeszkodą do poznania

samego siebie.

Co do Boga, już się nim nie przejmuję. Bóg miał swoją szansę. I posłał mnie do schroniska.

Przez całą drogę po schodach sprawdzam, czy czuję bicie swojego serca.

I zastanawiam się, czy jeśli moje serce zacznie bić, to wciąż będę zombie? Czy z technicznego punktu widzenia wciąż będę nieumarłym, kiedy w moich żyłach zacznie krążyć krew? Kiedy zacznę znów oddychać? Czy to uczyni mnie człowiekiem? Czy odzyskam prawa i możliwości, które kiedyś definiowały moje życie?

Podejrzewam, że to nie ma żadnego znaczenia, bo przecież nie mam wpływu na to, co myślą o mnie oddychacze - nawet moja rodzina.

Gdy docieram w końcu na górę i, udając, że kuśtykam, wchodzę do kuchni, widzę ojca siedzącego przy stole, patrzącego na mnie i bezmyślnie kartkującego kciukiem pokazny plik jakichś papierów. Mama stoi przy zlewie i zmywa naczynia, jakby nie widziała, że wszedłem.

- Usiądź - mówi ojciec.

Nie licząc bitwy o indyka, to chyba pierwszy raz, kiedy ojciec zwraca się wprost do mnie, a matka jest dziwnie milcząca, ale cała ta scenka wydaje mi się jakby znajoma - brałem już w niej udział. Niepokój, który czuję, też jest dziwnie znajomy. Nie jest to niepokój, jakiego doświadcza zombie w świecie oddychaczy, ale coś o wiele starszego. Wspomnienie z dzieciństwa.

Nagle do mnie dociera.

Ilekoć w dzieciństwie czy wczesnej młodości rodzice postanawiali mnie ukarać, matka wołała mnie do pokoju, a potem zajmowała się jakąś przyziemną czynnością, a ojciec wymierzał karę. Tym razem jednak czuję, że szlaban byłby najmniejszym zmartwieniem.

- Andrew, usiądź - powtarza ojciec.

Teraz już wiem, że jest źle. Ojciec mówi do mnie Andrew tylko wtedy, kiedy czekają mnie poważne kłopoty.

Kuśtykam do stołu i staram się usiąść możliwie niezgrabnie na krześle naprzeciwko ojca. Rzucam okiem na mamę, która myje tę samą szklankę od czasu, gdy wszedłem do kuchni.

Zdejmuję z szyi moją tablicę, kładę ją na stole i piszę:

„Co tam?”

Ojciec gapi się na słowa, które napisałem, aż w końcu spogląda mi w twarz i nawiązuje kontakt wzrokowy.

- Mamy problem. - Wciąż bawi się papierami. - Wiesz co to jest?

Kręcę głową.

- To - mówi, podnosząc papiery dla wzmocnienia efektu - są faktury za każdą butelkę wina, którą kupiłem w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

O-o.

- Za każdym razem, kiedy twoja matka i ja wypijamy butelkę, wyrzucam fakturę z tej kupki - opowiada. - Te faktury, a jest sto siedemdziesiąt dwie, odpowiadają butelkom, które powinny być w piwniczce. Minus butelki, które rozbiłeś w przypiływie złości.

Ups.

- Wczoraj wieczorem - kontynuuje - kiedy byłeś na tym swoim spotkaniu, zrobiłem inwentaryzację i odkryłem, że ze stu siedemdziesięciu dwóch butelek, które powinny być w piwniczce, brakuje czterdziestu siedmiu.

Mógłbym powiedzieć, że wypięm je z nieumarłymi kolegami, ale coś mi się wydaje, że to nie poprawi mojej sytuacji.

- Według moich obliczeń - mówi dalej, zdejmując z pliku górną kartkę - całkowity koszt brakujących butelek wina i tych jedenastu, które rozbiłeś, to prawie siedem tysięcy dolarów, bez paru centów.

Kolejny powód, by pić piwo. Ceny win są prawie tak chore jak ceny nieruchomości.

- Jeśli dodać do tego koszt twojego terapeuty, wszystkie te okazje, kiedy musieliśmy cię wykupywać ze schroniska, i zniszczenia, jakie poczyniłeś w matczynej kolekcji filiżanek do herbaty - ciągnie - otrzymamy kwotę niemal dziesięciu tysięcy dolarów.

Siedzę i gapię się na ojca, słuchając Franka Sinatry i piskliwych odgłosów gąbki na szklance szorowanej w kółko przez matkę.

Zaczynam się pocić.

Szpitala płacą nieźle pieniądze za ludzkie tkanki pobierane ze zwłok. Skóra dochodzi nawet do tysiąca za trzydzieści centymetrów kwadratowych. Rogówki idą po dwa tysiące dolarów za sztukę, kości udowe po trzy osiemset, a rzepki od tysiąca ośmiuset do trzech tysięcy. Zastawki serca kosztują od pięciu do siedmiu tysięcy dolarów.

Oczywiście od ceny tkanki trzeba potrącić koszty ich wypreparowania do stanu gotowego do użycia i gruntowne badania przydatności. Ceny za preparaty na cele naukowe zwykle są niższe, ale ojciec i tak spokojnie odbiłby sobie te dziesięć tysięcy, sprzedając mnie do ośrodka badawczego.

A ja myślałem, że wyjazd na letni obóz to sroga kara.

Wycieram z tablicy moje poprzednie pytanie i piszę kolejne:

„Co zamierzasz zrobić?”

- Wiesz, co chciałbym zrobić - mówi ojciec, patrząc na mnie z niechęcią i obrzydzeniem. - Ale twoja matka nie może znieść myśli, że zostaniesz pocięty na kawałki i sprzedany.

Patrzę na matkę, która nie raczy nawet na mnie zerknąć.

- Wyczerpałeś naszą gościnność, Andrew - stwierdza ojciec. I po uśmiechu na jego twarzy poznaję, że chciał mi to powiedzieć, od kiedy wróciłem. - Miejsce umarłych nie jest wśród żywych. Powinniście leżeć w ziemi.

Nie jestem umarłym, mam ochotę powiedzieć. Jestem nieumarłym.

- Jutro rano matka i ja jedziemy na parę dni do Palm Springs - mówi ojciec, zbierając faktury i wstając. - Kiedy wrócimy, skontaktujemy się z zoo w San Francisco i zawrzemy z nimi umowę, żebyś dołączył do tamtejszej rodziny i odpracował pieniądze, które jesteś nam winien.

Zoo dla zombie. To gorsze niż ośrodek badawczy. W ośrodku badawczym jesteś przynajmniej unicestwiany w jakimś godnym celu. Ale zoo dla zombie obdziera cię z resztek godności. Umieszczają cię na wystawie, żeby wszyscy mogli cię lżyć. Spędzasz resztę egzystencji, gnijąc powoli, aż pozostaną tylko kości i strzępy tkanek. Słyszałem, że w niektórych ogrodach zoologicznych oddychacze mogą sobie zabrać zakonserwowany kawałek zombie na pamiątkę.

Wstaję, zostawiając swoją tablicę na stole, i kuśtykam do drzwi piwniczki. Ojciec otwiera je i czeka, aż przejdę. Ale ja przystaję, patrząc mu w oczy. Prawie udało mi się powstrzymać, ale nagle wyrzucam z siebie słowa, które miałem ochotę powiedzieć od paru miesięcy:

- Pieprz się, tato.

W kuchni za moimi plecami szklanka rozbija się z trzaskiem o podłogę.

Ojciec gapi się na mnie z opadniętą szczęką. Twarde zdecydowanie w jego oczach zmienia się w niepewność. Może to był błąd, że pokazałem mu, że mogę mówić. Nie wiem. Ale wiem, że warto było zobaczyć, jak na jego zadowolonej gębie pojawia się strach.

Oglądam się na matkę, która stoi z gąbką w ręce i ze zbitą szklanką u stóp. A potem schodzę do piwniczki. Kiedy jestem na drugim stopniu, drzwi zamykają się za mną z hukiem i słyszę przekręcany klucz. Zza drzwi dobiega mnie szloch matki.

Po powrocie do piwniczki siadam na materacu i zastanawiam się, co teraz ze mną będzie. Dopiero co znów zacząłem czuć, że żyję, że mam gdzieś swoje miejsce, że jestem coś wart, i to wszystko zostanie mi teraz zabrane - moi nowi przyjaciele, nowa egzystencja. Rita. Wszystko.

Sam nie wiem, co się dzieje, ale zaczynam robić coś, czego nie spodziewałem się już nigdy w życiu.

W moich kanalikach łzowych wzbierają łzy i wypływają z oczu. Ciekną po policzkach, po makijażu i gojących się szramach. W pierwszej chwili zaczynam się śmiać, rozradowany tym, że płaczę, ale nagle przypominam sobie, dlaczego jestem nieszczęśliwy, i zaczynam szlochać z całych sił.

Jestem ocalałym, jestem ocalałym, jestem ocalałym.

Wiem, że nie powinienem tak siedzieć i złościć się na siebie. Że się nad sobą użalam. Powinienem coś wymyślić, żeby uniknąć swojego losu. Ale zamiast tego otwieram butelkę Kistler Pinot Noir rocznik 2002, z Wybrzeża Sonoma, i zaczynam pić.

37

Stoję w kuchni w kałuży mrożonek tuż po dwunastej w grudniową noc i słucham świątecznej muzyki. Mój brzuch jest pusty, a lodówka pełna. Rodziców.

Taka scenka nie nadaje się raczej do filmów z Hallmarku.

Frank Sinatra z odtwarzacza śpiewa *White Christmas*.

Zdaje się, że płyta lata w kółko.

Wciąż nie mogę sobie przypomnieć jak to się stało: Jak dostałem się do domu. Drzwi do piwniczki stoją otworem, ale naprawdę nie wiem, co się działo po trzeciej butelce wina, czyli, o ile pamiętam, włoskim barbaresco z 1995.

Nie mam też pojęcia, jak zdołałem dokonać tego wszystkiego, skoro moja lewa ręka wciąż nie jest do końca sprawna. Widocznie jakoś ich zaskoczyłem, podszedłem znienacka. Może ubłagałem matkę, żeby otworzyła drzwi. Może wyszedłem na dwór i dostałem się przez niezamknięte okno. Zresztą to chyba nieważne. Nagle okazało się, że mam większy problem niż szlaban czy zamknięcie w zoo dla zombie.

Przełknięcie faktu, że zabiłem własnych rodziców, jest wystarczająco trudne i bez konieczności zastanawiania się, jak mam się pozbyć dowodów. Oczywiście to nie tak, że martwię się wyłącznie o to, jak się wytłumaczę policji, albo jak zamierzam się pozbyć ciał rodziców. Po prostu za dużo tego myślenia naraz. Przecież nie co dzień człowiek budzi się pijany na podłodze w kuchni i zauważa, że rozczłonkował rodziców i upchnął ich do lodówki.

Nie wiem, co budzi we mnie większe zakłopotanie - widok oddzielonych od ciał głów rodziców, gapiących się na mnie z zamrażarki przez plastikowe hermetyczne worki, czy ich pozbawione kończyn torsy, wciśnięte do lodówki, gdzie powinny leżeć jajka i ser topiony.

Właśnie w takich chwilach cieszę się, że nie wierzę w wieczne potępienie.

Oczywiście, można by stwierdzić, że akurat potępienie mam już zaliczone i poznaję je od podszewki, od kiedy wstałem z własnej trumny. Ale „wieczność” ma dość krótką datę ważności, kiedy twoje ciało stopniowo się rozkłada. A zresztą, samo potępienie może być karą tylko dla kogoś, kto ma coś do stracenia.

Nie chodzi o to, że nie czuję się paskudnie, wiedząc, że zrobiłem rodzicom coś takiego. Ale jeszcze do niedawna jedyne, czego oczekiwałem, to to, że powoli zgniję. Potem poznałem Raya i zakochałem się w Ricie. I czuję, że znów mam po co egzystować. Mam coś, co się liczy. A rodzice zamierzali mi to zabrać z powodu głupich dziesięciu tysięcy dolarów i paru aktów obywatelskiego nieposłuszeństwa.

Wiem, że wychowywanie takiego zombie jak ja nie jest usłane różami, ale ojciec nie okazał mi nawet cienia współczucia, a matka nie dawała się nawet uściskać bez wrzasków i krztuszenia się od mdłości. Zresztą, może to nieistotne. Może to i tak by się stało prędzej czy później. Może ojciec miał rację.

Miejsce zmarłych nie jest wśród żywych.

Kiedy się przyglądam szczątkom rodziców, pierwszy lodowaty szok niedowierzania ustępuje miejsca palącemu poczuciu winy. To każe mi się zastanawiać, czy nie było sposobu, żeby tego uniknąć. Ale muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem, jak efektywnie wykorzystałem miejsce na półkach. Nigdy bym nie przypuszczał, że da się upchnąć dwie dorosłe osoby do lodówki Amana z zamrażarką na dole, i to tak, że zostało jeszcze miejsce na resztki ze świątecznego indyka. Co nie znaczy, że nie zdaję sobie sprawy, jaki popełniłem błąd.

Im dłużej patrzę na rodziców, tym bardziej jestem przekonany, że drobniejsze części ciała powinienem był wsadzić do szuflady na warzywa.

W plamie światła padającego z lodówki, wśród kupy pomieszanych produktów z zamrażarki, dostrzegam kukurydziane tortille i paczkę pszennego chleba. Rozpieczętuję tortille i przeżuвам jedną, cały czas gapiąc się na zawartość lodówki, na bezgłowe torsy rodziców. Próbuję wymyślić, co zrobić - i w następnej chwili myślę już tylko o tym, żeby uszczknąć z nich kawałek na późną kolację.

Może to dlatego, że jestem głodny. Może dlatego, że już posmakowałem oddychaczy. A może po prostu przez to, że nie mają głów i ich torsy wydają się bardziej bezosobowe. Ale

na myśl o grillowanych żeberkach niemal zaczynam się ślinić.

Wciąż mam lekki dylemat. Mimo ich wszystkich wad i faktu, że chcieli sprzedać własnego syna, byli moimi rodzicami. Czuję, że poniekąd ich zawiodłem, zabijając ich i upychając do lodówki. Ale teraz, kiedy to się już stało, nie mogę się nie zastanawiać, jak by smakowali z odrobiną pikantnego sosu barbecue.

Podręcznik AN nie przewiduje takiej sytuacji. A nieumarli nie mają żadnych idoli, których mogliby naśladować. Zombie z hollywoodzkich filmów nie mają uczuć i nie są sentymentalni. Jedzą swoich przyjaciół i najbliższych bez mrugnięcia okiem. Nigdy nie widziałem, by którykolwiek z głodnych żywych trupów na filmie zatrzymał się choć na chwilę, żeby zastanowić się nad konsekwencjami swoich czynów.

Gdybym był religijny, może decyzja byłaby trudniejsza. Ale choć nie wierzę w niebo, spędzenie reszty egzystencji w zoo na pewno byłoby piekłem. Z mojego punktu widzenia właśnie umknąłem spod piekielnych bram. A ponieważ zdążyłem już rozczłonkować rodziców i popakować w hermetyczne woreczki, nie bardzo widzę, w jaki sposób zjedzenie ich mogłoby jeszcze pogorszyć sprawę.

Przecież jestem zombie.

Najpierw muszę się dowiedzieć, jak się przyrządza oddychaczy. Jak wołowinę? Jak kurczaka? A może bardziej przypominają wieprzowinę? Czy kangura? Czy strusia? I które części są najsmaczniejsze?

W książce kucharskiej matki, w rozdziale *Mięsa*, jest napisane, że aby rozróżnić bardziej i mniej kruche kawałki, należy pamiętać, że wiek i wysiłek fizyczny zawsze utwardzają mięso. Mocniej wyćwiczone części - nogi, karkówka, łopatka, zad i łata - będą o wiele twardsze niż żeberka czy polędwica, które zażywają mniej ruchu.

Dochodzę do wniosku, że to chyba wszystko jedno, czy oddychacze bardziej przypominają krowy czy świnie, czy jakiegokolwiek inne zwierzęta, łowne czy gospodarskie. Wszystkie składają się z podobnych części, a mięso to mięso.

Podstawowe cięcie na rozbratel biegnie od karku do piątego żebra i obejmuje łopatkę i górną część przedniej nogi. Z części tej, oprócz rozbratla, możemy uzyskać łopatkę, karkówkę, podgardle, żeberka i pręgę przednią na golonkę.

Decyduję się na żeberka. Po pierwsze, mam akurat na nie ochotę. Po drugie, polędwicę czy szynkę trzeba by rozmrażać. A po trzecie, jeśli nie zjem torsów rodziców w miarę szybko, wszystko się popsuje. A gnijące ludzkie mięso nie śmierdzi jak zwykłe resztki z lodówki.

Jeśli nigdy nie spędziliście kilku godzin w zamkniętym pomieszczeniu z pół tuzinem

żywych trupów w różnych stadiach rozkładu, to pewnie nie zrozumiecie.

Schowanie torsu matki do lodówki musiało być chyba łatwiejsze niż wyjęcie go z powrotem. Myślę teraz, że powinienem był zostawić przynajmniej jedną rękę, żeby było za co chwycić, ale skoro nie byłem tak przewidujący, muszę się uciec do pomocy dwuzębego widelca do grilla i pary szczypiec.

Według książki kucharskiej żeberka najlepiej przyrządzać, używając metod wysokotemperaturowych, takich jak opiekanie, pieczenie i grillowanie. Pieczenie wydaje mi się najprostszym wariantem, więc włączam piekarnik, wyciągam brytfankę i spryskuję ją odrobiną margaryny w płynie, żeby matka nie przywarła.

Patrzę na mamę, leżącą na wielkiej desce do mięsa na kuchennym blacie, po czym biorę rzeźnicki nóż i staję nad jej bezrękim torsem, zastanawiając się, od czego zacząć. Czy nie powinienem jej przynajmniej uhonorować jakąś ceremonią czy rytuałem. Ale zanim udaje mi się wykonać pierwsze cięcie, słyszę kroki wspinające się po schodach piwniczki, odwracam się i widzę Ritę, która staje w progu.

- Co tam pichcisz? - pyta.

38

Rita i ja siedzimy przy kuchennym stole i jemy kolację przy świecach. Świece stopiły się już prawie do połowy. Znikła też zawartość butelki Mondavi Cabernet Imperial Reserve rocznik 1978. Według faktur ojca ten przysmak wart jest jakieś trzysta dolarów.

Kiedy nie przyszedłem na grudniowe Śmiertelne Tournee po cmentarzu Holy Cross, Rita i pozostali zaczęli się martwić, więc po powrocie do domu wymknęła się i przyszła sprawdzić, czy u mnie wszystko w porządku. Jadłbym rodziców ze smakiem nawet sam, ale dzielenie się nimi z kimś ukochanym czyni to wydarzenie tym bardziej wyjątkowym.

Do żeberek - które Rita przyprawiła domowym winegretem z soku z cytryny, sosu worcestershire i musztardy Dijon, co świetnie podkreśliło naturalny smak matki - ugotowaliśmy sobie karczochy na parze i ryż, a potem pogasiliśmy światła i zapaliliśmy świeczki. Włączyłem Billie Holiday, żeby było idealnie.

Kiedy wreszcie usiedliśmy do stołu, myślałem, że chyba jednak nie wezmę mamy do ust. Pomijając nawet kompleks Edypa, nie jest to raczej coś, o czym się myśli, planując

przyszłość. Ale żeberka matki były przepyszne. Po prostu nie da się tego opisać. O ile weki z oddychaczy, którymi częstował nas Ray, były zdrowe i smaczne, o tyle świeże, pieczone mięso z oddychacza smakuje jak ambrozja. To jakby porównywać sałatkę z puszkowanego tuńczyka i opalany stek ze świeżo złowionego okazu.

- Chcesz dokładkę? - pyta Rita.

Kręcę głową. Chociaż na żeberkach nie było wiele mięsa, nie zmieszczę już ani kawałeczka. Wiem, że na filmach zombie pożerają całe kończyny i wiadra organów wewnętrznych, jakby nigdy nie mieli dość, ale to tylko hollywoodzka propaganda. Mięso oddychacza jest pożywne i sycące jak suflet z podwójną czekoladą. Oczywiście nie jest słodkie, ale tak jak ze słodyczami nie trzeba go wiele, żeby się najeść. Zamiast pragnąć więcej, masz ochotę połuźnić pasek, zasiąść na kanapie i pooglądać telewizję.

Założę się, że ci hollywoodzcy zombie mają bóle brzucha.

Po posiłku zmywam naczynia, a Rita chowa resztki do lodówki. Kiedy stoję przy zlewie i patrzę, jak pakuje żeberka matki do plastikowego pudełka, dopadają mnie obrazy rodziców. Zaczynam wspominać. Urodziny, święta i rozdania świadectw. Mój ślub i narodziny mojej córki. Przebłyski jak przypadkowe zdjęcia - chwile dzielone z rodzicami, którzy teraz nie żyją i spoczywają w lodówce Amana.

Ostatnie wspomnienie to obraz mojej matki, która pomaga mi nałożyć podkład na szwy.

W następnej chwili siedzę skulony na podłodze i szlocham. Rita kłęka przy mnie, obejmuje, tuli policzek do mojego. Nie mówi nic, tylko trzyma mnie w objęciach, pociesza samą swoją bliskością. Powolne bicie jej serca na moich plecach koi mnie, przypomina, że moje serce przestało bić prawie pięć miesięcy temu. I że te wspomnienia rodziców pochodzą z życia, które minęło, które zupełnie o mnie zapomniało. I teraz już rozumiem, że nie rozpaczam nad śmiercią rodziców, ale nad życiem, które kiedyś z nimi dzieliłem. A także nad wspomnieniami, które mi dali, i nad tymi, które mogłem mieć, a które zginęły, kiedy mój passat walnął w sekwoję.

Ale przez całą tę rozpacz i żal przebija się świadomość, że ktoś w końcu zauważy zniknięcie mamy i taty. Co znaczy, że siedzę tu z przysłowiową ręką w nocniku. Nie mogę cofnąć tego, co zrobiłem, i nie mogę się spodziewać, że ujdzie mi to na sucho.

To nie jest film Disneya.

Nie mam dobrej wróżki za matkę chrzestną.

Nie mogę przeżyć życia od nowa.

Chociaż, w pewnym sensie, mogę. Przecież umarłem i narodziłem się na nowo.

Oczywiście z technicznego punktu widzenia jestem nieumarłym, więc nawet jeśli moje serce znów zacznie bić i krew znów zacznie mi krążyć w żyłach, nie sądzę, żebym osiągnął status oddychacza. Ale jednak dostałem drugą szansę. I nie wykorzystam jej, siedząc na podłodze i płacząc.

Mój szloch cichnie powoli i prostuję plecy. Bekam i czuję w gardle smak matki, ale to nie prowokuje mnie do kolejnej fali płaczu ani do wymiotów. Zabiłem swoją matkę i ją zjadłem. A przynajmniej jej kawałek. I zwyczajnie muszę się z tym pogodzić. To część tego, kim teraz jestem. Po prostu tego nie zmienię. Jest jak jest.

Myślę, że tak właśnie powinno brzmieć kolejne motto, które Helen wypisze na tablicy na następnym spotkaniu:

„Jest, jak jest”.

Bo choć większość tych proklamacji Helen, te jej „Jestem ocalałym”, „Nie jesteś sam” i „Znajdź swój cel” wynikają z dobrych intencji, nie pozwalają nam jednak być niedoskonałymi i nie uodparniają na wyzwiska i stereotypowe postrzeganie. Za to moje „Jest, jak jest” pozwala czuć się wolnym. Ostatecznie nie mogę zmienić tego, kim jestem, tak jak nie mogę wyhodować sobie gruczołów mlekowych i zacząć karmić piersią.

I nagle moja katharsis, która przyszła, kiedy dałem upust rozpacz, zmienia się w wyzwolenie - w akceptację mojej sytuacji, w pogodzenie się z tym, czym się stałem.

Jestem zombie. Jednym z nieumarłych.

Z całą pewnością nie jestem sam.

I wierzę, że znalazłem swój cel.

Jakby w odpowiedzi na moje objawienie nocne niebo rozświetla błysk, a po nim rozlega się grzmot. Chwilę później zaczyna padać.

Rita widocznie wyczuwa zmianę w moim nastroju i przesuwa się tak, by spojrzeć mi w twarz.

- Lepiej ci?

Kiwam głową. Wierzę też, że może uda mi się kupić trochę czasu, jeśli chodzi o rodziców. Ale najpierw muszę sprawdzić, czy narobiłem strasznego bałaganu, kiedy zabiłem.

Krwi nie jest aż tak dużo, jak się spodziewałem. A większość tego, co znajduję, jest w wannie. Widocznie jakaś tętnica czy dwie wymknęły się spod kontroli i trysnęły na wykafelkowane ściany, ale w zasadniczej części dowody są łatwe do posprzątania. Rita czyści i dezynfekuje, co się da, używając bielinki i lizolu, a potem bierze prysznic, żeby łazienka nie wyglądała tak dziewiczo.

Idę do sypialni, podejrzewając, że tam właśnie zaskoczyłem rodziców, zanim poćwiartowałem ich w wannie. Łóżko jest skopane, poduszki leżą na podłodze, pościel do połowy ściągnięta. Na jednej z poszewek dostrzegam kilka kropel krwi, więc zdejmuję je, i upycham do plastikowego worka na śmieci, a potem zbieram resztę pościeli i wsadzam prześcieradła do pralki. Rita ścieli łóżko czystym kompletem.

Na szczęście ojciec miał świra na punkcie przygotowań, więc i jego, i mamy walizka są spakowane i gotowe do podróży. Nawet ubrania, które zamierzali założyć na drogę do Palm Springs, wiszą z tyłu na drzwiach sypialni.

Jestem sporo wyższy od ojca, a Rita z kolei jest o dobry rozmiar drobniejsza od mojej matki, ale to nie jest aż tak istotne. Na szczęście ciągle pada deszcz, więc nikt nie będzie się nam zbyt uważnie przyglądał.

Oczywiście, jeśli nie uda nam się wyciągnąć Jerry'ego z łóżka, będziemy musieli odczekać kolejnych dwanaście godzin, a ja wołałbym to już mieć z głowy, póki jestem na mięsnym hajcu.

Oprócz swoich leczniczych właściwości mięso oddychaczy ma też zdolność poprawiania nastroju. Dodaje pewności siebie, trochę jak adrenalina czy viagra, tyle że efekt trwa dłużej. Na szczęście, jeśli będę miał zjazd, zawsze mogę przekąsić kolejną porcyjkę mamy czy taty. W końcu i tak będę musiał pozbyć się dowodów. Ale wołałbym odbębnić tę mistyfikację pod osłoną deszczu i w mniej ruchliwych, wczesnoporannych godzinach.

Rita i ja jesteśmy już ubrani, a walizki, torba ze śmieciami i turystyczna lodówka są już w bmw rodziców. Dochodzi piąta rano. Moja lewa noga i ręka wciąż nie są całkiem sprawne, więc Rita musi prowadzić.

Ubrana w lawendowy kostium Ann Taylor, w jej kremowy płaszcz przeciwdeszczowy i rękawiczki, Rita dziwnie przypomina moją matkę, więc muszę się skupić na swoim zadaniu, żeby nie zaczęło mnie mdlić.

Upiec i zjeść matkę z domowym winegretem to jedna sprawa, ale wyobrazić sobie, że ściąga się z niej ubranie zębami, to już zupełnie coś innego.

Wyjeżdżamy z garażu w deszcz. O piątej rano w sobotę na ulicy nie ma nikogo z sąsiadów, ale nie przejmuję się, że nikt niż zobaczy naszego odjazdu. Ojciec zawsze lubił wyruszać wcześniej. Nie chcę też, żeby ktoś ze znajomych zatrzymał nas, żeby pogadać.

Nie jedziemy prosto do Jerry'ego - najpierw wstępujemy do 7-eleven. Czekam w samochodzie i obserwuję przez okna sklepu, jak Rita wchodzi do środka. Kobieta za ladą nawet na nią nie patrzy. Na razie jest nieźle. I wątpię, by sprzedawczyni podejrzewała, że kobieta, która właśnie podjechała bmw i weszła do sklepu o piątej rano w deszczowy, sobotni poranek, była zombie.

W każdym razie czekam, gotów dołączyć do Rity, gdyby coś poszło źle, zauważam wibracje, z początku słabe, ale z czasem coraz mocniejsze. Wibracje powtarzają się co dziesięć do dwunastu sekund, ale nie mam wątpliwości, skąd się biorą.

Dobiegają z mojego wnętrza.

Niecałe dwie minuty po wejściu do 7-Eleven Rita wychodzi z zakupami, a ja otwieram bagażnik. Rita wkłada blok lodu do turystycznej lodówki i wraca za kierownicę.

- Bułka z masłem - stwierdza.

Przysuwam się do niej, daję jej całusa, biorę jej dłoń i przykładam do mojej piersi. Gdy próbuje się odsunąć, żeby włączyć silnik, przytrzymuję ją, a ona przygląda mi się ze zdziwieniem.

- Czy to nie jest trochę...

Kładę palce na jej ustach. Po chwili Rita orientuje się, o co mi chodzi, i kiedy czuje bicie mojego serca, na jej twarz wypływa piękny szeroki uśmiech. Obejmujemy się i nasze dwa serca biją nieregularnie, ale razem.

Oboje chcielibyśmy mieć więcej czasu, żeby cieszyć się tą chwilą, ale to, niestety, luksus, na jaki nie możemy sobie pozwolić. Po pierwsze, za niecałe dwie godziny wszędzie słońce. A po drugie, musimy dojechać do celu, zanim stopi się nasz blok lodu.

Do Jerry'ego jest ledwie parę minut jazdy, ale za każdym razem, kiedy na drodze przed nami czy za nami pojawiają się światła samochodów, moje serce bije szybciej. Owszem, uderza wtedy co dziewięć sekund, zamiast co dziesięć, ale kiedy twoje serce nie pompowało krwi przez prawie pięć miesięcy, trudno się spodziewać palpacji.

Na szczęście nie musimy budzić Jerry'ego. Nie wiem, dlaczego nie śpi o piątej rano, ale kiedy pukam w okno, jego twarz po paru sekundach wyłania się zza zasłon. W pierwszej chwili ma swoją „straszłą” minę, której zombie używają do odstraszenia gapiów, ale potem

orientuje się, że to ja.

- Ziom! - cieszy się, otwierając okno.

Przykładam palec do ust i pokazuję mu, że ma wyjść na dwór. Znika za zasłonką. Po chwili pojawia się znowu, w bluzie z kapturem, w dżinsach i w czarnych conversach. Wychodzi przez okno.

- Co się dzieje? - szepcze.

- Potrzebuję pomocy - mówię.

Fakt, że nie pyta, w czym ma mi pomóc, przekonuje mnie, że mi pomoże niezależnie od wszystkiego. I nagle dociera do mnie, że Jerry to jeden z najlepszych przyjaciół, jakich kiedykolwiek miałem.

- Hej, Rita - wita się Jerry, kiedy siedzimy już w bmw. - Niezła fura. Twoja?

- Rodziców Andy'ego - odpowiada, wrzucając bieg i ruszając.

- Ziom? - dziwi się Jerry. - Nie będą megawkurzeni?

Rita i ja patrzymy na siebie i chichoczymy.

- Co? - pyta Jerry.

Po drodze tłumaczę Jerry'emu, co się stało. I co zamierzamy zrobić. Gdy kończę, Jerry siedzi na tylnej kanapie, dłubie przy gojących się strupach na twarzy i gapi się na mnie.

- Ziom, zjadłeś swoją matkę?

Przytakuję.

Znowu przez kilka sekund siedzi cicho.

- Którą część?

Mówię mu.

- Jak smakowała? - pyta.

- Lepiej niż to, co dawał nam Ray - odpowiadam.

Jerry nie odzywa się prawie przez minutę, a ja zaczynam się zastanawiać, czy to nie było dla niego zbyt wiele. Owszem, jesteśmy zombie. I okazało się, że ciągnie nas do ludzkiego mięsa. Ale to jednak byli moi rodzice. Moja rodzina. Może to tabu nawet wśród nieumarłych.

I nagle Jerry pochyla się między przednie fotele i pyta:

- Mogę wpaść na lunch?

Parkujemy za spichlerzem. Jest już piętnaście po piątej. Kiedy podjeżdżaliśmy, nie widzieliśmy nikogo, i mamy nadzieję, że uda nam się stąd zmyć, zanim będzie tędy przejeżdżał jakiś oddychacz. Chevrolet Raya stoi zaparkowany za krzakami, jak zawsze. Jeśli tylko kluczyki wciąż leżą w schowku, nie powinniśmy mieć problemu.

- Mamy problem - mówi Jerry.

Oglądam się na spichlerz. Parę dni temu nie dostrzegłbym niczego oprócz deszczu i ciemności wokół zrujnowanego budynku. Ale teraz, kiedy poprawił mi się wzrok, widzę dym ulatujący przez zapadnięty dach.

Kiedy wchodzimy tylnym wejściem do spichlerza, spodziewam się zobaczyć Raya siedzącego przy ognisku, popijającego piwo i wyjadającego mięso oddychaczy ze słoika, jak w jakimś westernie. Ale scenka wygląda trochę inaczej. Obok Raya siedzą Zack i Luke, a na ziemi między nimi leży ktoś czwarty. Nie rusza się.

- Witam - mówi Ray z pełnymi ustami. - Weźcie sobie coś do siedzenia i przyłóżcie się do nas.

Wszyscy trzej pieką kończyny na otwartym ogniu. Nad ogniskiem ustawiony jest prowizoryczny ruszt do suszenia, na którym wiszą cienkie paski mięsa. Kilka słoików świeżo zapakowanych mięsem stoi obok zakrwawionej piły i kilku zakrzywionych noży myśliwskich. Kiedy kończyny się pieką, Luke sięga do jamy brzusznej martwego człowieka, wyciąga coś, co wygląda na wątrobę, przegryza na pół i daje drugą część swojemu bratu.

Rita i ja najedliśmy się przed wyjściem, więc nie jesteśmy głodni. Ale Jerry się ślini.

- Ziom, to samo zrobiłeś z rodzicami?

- Niezupełnie - odpowiadam.

Ray kończy opiekanie prawej ręki martwego oddychacza i wgryza się w mięso. Zack i Luke natychmiast idą w jego ślady, zabierając się za prawą i lewą łydkę. Odrywają zębami kawałki szerniałego ciała i popijają piwem.

Nie będę owijał w bawełnę. Takie pieczenie i pożeranie ludzkich kończyn przy ognisku wydaje mi się mniej cywilizowane, niż upieczenie żeberka matki w piekarniku i zjedzenie ich w blasku świec, z karczochem na przystawkę i przy akompaniamencie Billie Holiday.

Ale może tylko mnie się tak wydaje.

Jerry podchodzi do ognia i częstuje się kawałkiem na wpół ususzonego mięsa.

- Widzę, że w końcu zrozumieliście, że w tych słoikach nie było sarniny - mówi Ray, nie przestając żuć kawałka przedramienia.

- Tak jakby - stwierdzam.

- Hej! - Ciesz się. - Całkiem nieźle. I z kuśtykaniem też ci się poprawiło. Kiedy zacząłem regularnie jadać oddychaczy, moja rana postrzałowa zgoiła się w niecały tydzień.

Przychodzi mi do głowy, że żona Raya nie wyrzuciła go z domu przez to, że nie mogła znieść smrodu. A jeśli nawet, to pewnie wrócił i zapakował ją do słoików.

- Ray... - prosi Rita. - Musimy pożyczyć twój samochód.

- Jasne. - Ray skubie zębami odsłoniętą kość palca. - Kluczyki są w pojemniku na zboże. A tak w ogóle, posprzątałście mi tu trochę?

- Coś w tym rodzaju - rzuca Rita.

Kiedy Rita idzie po kluczyki, Jerry łapie kolejny kawałek suszonego oddychacza, upycha w całości do ust. I bierze sobie jeszcze kawałek na drogę. Ani razu nie pyta o kolekcję „Playboyów”.

Kiedy wychodzimy ze spichlerza, oglądam się jeszcze do środka, a Ray macha do mnie ręką. Nie swoją, tylko lewą ręką tego martwego gościa, którą następnie nadziewa na patyk i wsuwa w płomienie. Zack i Luke obok niego ogryzają kość strzałkową.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o łagodzenie wizerunku zombie.

40

Autostrada numer 1 na południe od Santa Cruz biegnie przez Monterey i obok Carmel, a potem śmiga samym wybrzeżem. Po jednej stronie drogi, która tutaj jest już jednopasmówką, wznoszą się klify i drzewa, a po drugiej szumi ocean. Fale rozbijają się o brzeg ponad trzydzieści metrów niżej.

Jakieś dwadzieścia pięć kilometrów za Big Sur znikają wszelkie ludzkie siedziby i zostaje tylko szosa, niemal całkiem pusta tuż przed wschodem słońca. Wciąż pada, przez co jazda jest trochę niebezpieczna. Ideale warunki, żeby mieć wypadek samochodowy.

Przy zakręcie drogi, gdzie barierka ustępuje miejsca naturalnemu tarasowi skalnemu, jezdnię od piętnastopiętrowej przepaści schodzącej do oceanu oddzielają tylko niewielkie kamienie, niesięgające nawet kolan. Upewniwszy się, że z żadnej strony nie widać jakiegoś samochodu, stajemy na poboczu dokładnie na wprost tarasu, ale nie gasimy silników obu aut. Już przed wyjazdem ze spichlerza przenieśliśmy lodówkę turystyczną, mój plecak i worek z zabrudzonymi poszewkami z łóżka rodziców do chevroleta, więc teraz musimy tylko wyjąć blok lodu i mieć nadzieję, że nikt się nie pojawi.

Rita wsiada za kierownicę chevroleta, a Jerry przenosi blok lodu do bmw rodziców. Kiedy już mam pewność, że samochód stoi dokładnie na wprost skalnego tarasu, spuszczam ręczny hamulec, wrzucam na luz, a potem uchylam okno i wysiadam z samochodu.

Przychodzi mi do głowy, że zostawienie opuszczonej szyby może wyglądać podejrzanie przy takiej pogodzie, ale w końcu chcę tylko zyskać trochę czasu, a nie popełnić zbrodni doskonałą. Poza tym nie przychodzi mi do głowy żaden inny sposób na przesunięcie drążka automatycznej skrzyni biegów, kiedy stoję na zewnątrz.

Jerry umieszcza blok lodu na pedale gazu i wskazówka obrotomierza podjeżdża do czterech tysięcy. Kiedy tylko Jerry schodzi mi z drogi, zaczepiam sznurek o dźwignię skrzyni biegów na centralnej konsoli, przekładam oba końce sznurka przez szparę w oknie i zamykam drzwi.

Wydaje mi się, że powinienem coś powiedzieć z tej okazji, albo przynajmniej poprosić kogoś o wybaczenie za to, co robię. Więc mówię rodzicom, że przepraszam i że mam nadzieję, że to rozumieją. W końcu ciągnę za oba końce sznurka, aż dźwignia przeskakuje na pozycję „jazda”, i puszczam jeden koniec. Tylne koła bmw przez parę sekund buksują na mokrym asfalcie, a potem samochód rusza pędem ku skalnemu tarasowi.

Mam tylko chwilę, żeby pomyśleć, co będzie, jeśli samochód skręci albo blok lodu zsunie się z pedału gazu, ale bmw pędzi prościutko, uderza w kamienie i wyskakuje z urwiska jak wystrzelony z procy, żeby w następnej sekundzie zanurkować i zniknąć nam z oczu.

Jerry biegnie do krawędzi i patrzy w dół. Wiem, że powinniśmy się stąd zmywać, zanim ktokolwiek się pojawi, ale ja też muszę popatrzeć. Docieram tam w samą porę, by zobaczyć, jak bmw uderza o wodę, dachem do dołu, z odległym hukiem. Unosi się przez kilka sekund, z obracającymi się kołami, do góry podwoziem. Potem znika między falami.

Jerry odwraca się do mnie i mówi:

- Ziom, to było czadowe.

Gdyby nie dwa duże kamienie, strącone z krawędzi tarasu, nikt by nie poznał, że z urwiska spadł jakiś samochód. Rita podjeżdża chevroletem.

- Jazda, panowie. Koniec przedstawienia. Wynośmy się stąd.

Jerry wsiada do tyłu, a ja do przodu, obok Rity. Rozejrzawszy się jeszcze raz, czy szosa jest pusta w obu kierunkach, Rita zawraca i rusza w tę samą stronę, z której przyjechaliśmy.

- Jakież problemy? - pyta.

Kręcę głową.

Spakowane walizki rodziców są w bagażniku bmw. Rita i ja mieliśmy rękawiczki, więc nie zostawiliśmy odcisków palców. Blok lodowy stopnieje. A co do ciał, to zanim ktokolwiek znajdzie samochód, będzie można przypisać ich brak prądom morskim i padlinożercom.

Przynajmniej taką mam nadzieję. W końcu ktoś się zorientuje, że rodziców nie ma w domu i, nawet jeśli uda mi się pozbyć wszystkich dowodów, pewnie stanę się głównym podejrzanym. Ale kiedy zjadłeś kawałek matki, urządzając sobie kolację przy świecach ze swoją nieumarłą dziewczyną, to wiesz, że wybrałeś ścieżkę, której większość ludzi zwyczajnie nie zrozumie.

Między Big Sur a Carmel widzimy tylko jeden samochód, a ruch w Monterey jest niewielki - w końcu dopiero świta. Zjeżdżamy z autostrady, znajdujemy pojemnik na śmieci za zamkniętym sklepem spożywczym i pozbywamy się powłoczek rodziców i ubrań, które mamy na sobie. W plecaku mamy ciuchy na zmianę. Jerry gapi się bez żenady, kiedy Rita rozbiera się do bielizny i wkłada własne ubranie. Z jakiegoś powodu nie jest zainteresowany gapieniem się na mój striptiz.

Kiedy Jerry wiezie nas przez Monterey, przychodzi mi do głowy, że jestem dosłownie pięć minut drogi od Annie. Myślę, jak łatwo byłoby podjechać do domu, w którym mieszka, żebym mógł jej powiedzieć, że ciągle jestem i że ciągle ją kocham. Niemal wyobrażam sobie, jak podchodzę pod drzwi. I widzę jej minę, kiedy je otwiera. Ale to by spowodowało najróżniejsze problemy, nie tylko dla Annie, ale też dla mnie, szczególnie że jestem teraz w tak nieciekawym położeniu. Lepiej, żeby moja szwagierka i jej mąż nie wiedzieli, że byłem w okolicy. Całą mistyfikację z wypadkiem szlag by trafił.

Ale pomijając nawet względy ostrożności, odwiedziny u Annie nie wydają mi się dobrym pomysłem.

Po pierwsze, tak naprawdę nie jestem już jej ojcem. Teraz to rozumiem. Zamordowanie i zjedzenie własnych rodziców dość skutecznie oświeca człowieka co do jego własnej natury. Lepiej, żeby Annie pamiętała mnie takim, jakim byłem kiedyś. Jako człowieka. Jako kochającego ojca i kochającego syna. Po drugie, lepiej nie uświadamiać jej, czym się stałem. Lepiej dla niej i dla mnie. Nie wiem, co bym mógł powiedzieć, jak miałbym się zachować i jaką rolę miałbym grać w jej życiu.

A przede wszystkim boję się, że patrząc na córkę, zacząłbym się zastanawiać, jak by smakowała zapieczona ze szparagami pod beszamelem.

Jednym z dobrych sposobów wykorzystania resztek oddychacza jest zmieszać dwadzieścia deko ugotowanego makaronu, pół litra przecieru pomidorowego z puszki, dwie filiżanki gotowanego oddychacza pokrojonego w kostkę, garść zblanszowanych pieczarek pokrojonych na plasterki, szczyptę mielonego czosnku, trochę soli i pieprzu. Wymieszać składniki i nałożyć do natłuszczonego, dużego naczynia żaroodpornego, posypać tartym serem i piec bez przykrycia jakieś trzydzieści minut w temperaturze stu dziewięćdziesięciu stopni, aż ser się przyrumieni. Starcza na jakieś sześć porcji.

Oprócz tej pierwszej sobotniej kolacji z Ritą miałem po trzy solidne posiłki z oddychacza przez kolejne trzy dni. Bekon z oddychacza, burritos z oddychacza, kanapki z serem i oddychaczem, pieczeń z oddychacza, hamburgery z oddychacza, zapiekanka z oddychacza, oddychacz Stroganow, oddychacz teriyaki, spaghetti z pulpetami z oddychacza i tradycyjny gulasz z oddychacza.

I to widać.

Moja lewa kostka jest trochę niestabilna i wciąż odrobinę utykam, ale poza tym nie zauważam żadnej różnicy między lewym i prawym stawem skokowym. Piszczel, strzałka i kość skokowa zrosły się całkowicie. I odtworzyły się wszystkie więzadła.

Poza tym moja lewa ręka funkcjonuje, bo mięśnie i kości odtwarzają się z dnia na dzień, a szwy na twarzy odpadły całkowicie. Kosmetyki do makijażu, które kupiła mi matka, leżą zapomniane na dnie kosza na śmieci.

Chociaż cerę wciąż mam bladą, zniknęły wszystkie odcienie szarości. Serce bije mi już dwanaście razy na minutę, czyli dwa razy szybciej niż na początku. Jak tak dalej pójdzie, to do świąt będzie wyrabiać ponad sześćdziesiąt uderzeń na minutę.

Pocę się. Mówię. Oddycham, mam krążenie i parę innych fizjologicznych funkcji, z którymi zdążyłem się już pożegnać - jak sądziłem - na dobre. Ale już nie zdumiewam się tymi zmianami, które we mnie zachodzą. Teraz to pełna akceptacja, pełne zrozumienie, czym się staję. Czym stajemy się my wszyscy.

Zdrowiejemy. Ewoluuujemy w nowy gatunek ludzi. Neo-oddychaczy. Samoleczące się żywe trupy. A jeśli Rita i ja możemy być przykładem tego, co się dzieje, jeśli regularnie konsumuje się świeżych oddychaczy, to nie mogę się już doczekać, żeby się podzielić mamą i tatą z resztą paczki.

Ale skoro odnawiają się u nas ludzkie funkcje fizjologiczne, to zastanawiam się, czy w dalszym ciągu będziemy odporni na obrażenia, które zwykle dla ludzi są śmiertelne? Czy ta genetyczna anomalia, która zmieniła nas w zombie, uchroni nas od śmierci? Czy uzdrawiające efekty jedzenia oddychaczy sprawią, że nie będziemy musieli martwić się plasterkami, aspiryną i ubezpieczeniem na życie?

Wczoraj, kiedy przygotowywałem maminego klopsa z purée ziemniaczanym i świeżym szpinakiem, skaleczyłem się w palec wskazujący prawej dłoni. Oddychacz by krwawił, przykładał gazę, pewnie pojechałby do szpitala, żeby założyli mu szwy. Ale ponieważ moje ciało nie odtworzyło jeszcze pełnych sześciu litrów czerwonych i białych krwinek, płytek i osocza, krew ledwie się sączyła. Kiedy obudziłem się dzisiaj rano, po skaleczeniu prawie nie było śladu.

Jakoś wątpię, żeby Ministerstwo Rolnictwa miało w te pędy dodać oddychaczy do piramidy żywieniowej, ale dieta zawierająca świeżego lub niedawno przetworzonego oddychacza jest tak odżywcza, że dzienna zalecana dawka owoców i warzyw może się przy tym schować.

Po zjedzeniu odgrzewanego maminego klopsa postanawiam urządzić sobie leniwy spacerek przez wieś, żeby przewietrzyć głowę i załatwić parę niedokończonych spraw. Weekendowy deszcz minął, ale chmury wciąż są gęste, zasłaniają księżyc. Nie licząc plamy światła latarni tu i ówdzie, przed szóstą wieczorem jest już kompletnie ciemno. Ale nawet gdyby nie było, nie musiałbym się ukrywać. Nikt mnie nie pozna. Na pewno nie na pierwszy rzut oka. Czy nawet na drugi. Dopiero gdyby spojrzął mi prosto w twarz, zobaczyłby, że jest we mnie coś nie do końca ludzkiego.

Kiedy nie ma rodziców, nie muszę już udawać grzecznego zombie, przez co wychodzenie na spacer jest o wiele mniej kłopotliwe. A teraz, kiedy mój wygląd się poprawił, nikt już nie rzuca we mnie pomidorami czy kubkami z colą z okien samochodów.

Taka mała rzecz, a o ile przyjemniejsza egzystencja.

Rita uważa, że nie powinniśmy pokazywać się publicznie, bo to ryzykowne. Jeśli ktokolwiek zacznie podejrzewać, że jestem zombie, i wezwie Policję dla Zwierząt, wyląduję w schronisku i nie będzie miał mnie kto wykupić. Ma rację. Ale nie licząc paru samodzielnych wycieczek i cotygodniowych spotkań AN, byłem praktycznie uwięziony w piwniczce przez pięć miesięcy. A teraz, kiedy mamy i taty już nie ma (taak... niedługo skończą się całkiem) czuję się, jakbym wyszedł warunkowo. A tak szczerze mówiąc, kiedy rany goją ci się w ciągu jednej nocy, zaczynasz się czuć trochę jak nieśmiertelny. I takie dmuchanie na zimne zaczyna trącić Clarkiem Kentem.

Mijam spichlerz, chociaż mam ochotę zajrzeć i sprawdzić, czy Ray i bliźniacy wcinają jakiegoś nowego bezdomnego. Ale wizyty towarzyskie muszą poczekać do następnego razu. Pomijając już fakt, że nieładnie jest wpadać na kolację bez zapowiedzi, muszę załatwić coś innego. A poza tym już jadłem.

Jak zwykle po zachodzie słońca cmentarz Soquel jest pusty. Nie licząc nastolatków, którzy przychodzą tu dla zakładu albo dreszczyku, oddychacze nocami raczej trzymają się z daleka od cmentarzy. Nie dziwię im się. Nawet w mojej nowej, ulepszonej formie nie chciałbym spotkać samego siebie wyłaniającego się z cienia przy grobie mojej żony.

Tym razem nie wziąłem żadnych kwiatów, ale też nie przyszedłem złożyć uszanowania czy szukać pocieszenia. Przyszedłem się pożegnać.

Wciąż tęsknię za żoną i za życiem, które dzieliliśmy. Ale ona jest martwa, a ja jestem zombie. Muszę zostawić to za sobą. Muszę ruszyć naprzód.

- Cześć, Rachel - mówię głośno. Wymawiam jej imię po raz pierwszy od ostatniego gorącego lipca. W zimnym powietrzu grudnia jej imię wybucha z moich ust efemeryczną chmurką, która się rozplywa, nie docierając do nagrobka.

Mówię Rachel, jak bardzo ją kocham. Jak mi przykro, że umarła. Jak bardzo żałuję, że wszystko skończyło się w taki sposób. Opowiadam jej o Ricie i Rayu. I o sarninie, która nie była sarniną. A potem mówię jej o rodzicach. No, może nie wszystko. Pomijam czekoladowe fondue.

Mówi się, że spowiedź jest dobra dla duszy. Ale ja nawet nie wiem, czy mam duszę. Jeśli ją miałem, pewnie opuściła moje ciało w chwili, kiedy umarłem. A może wcale nie. Może jest uwięziona w tym martwym naczyniu, w tym czyścicu rozkładającego się ciała, i czeka na drugą szansę. Ale jakiegokolwiek grzechy popełniłem, będąc oddychaczem, czymkolwiek zasłużyłem na to zesłanie do więzienia zombie, to chyba nie robię teraz najlepszego wrażenia na komisji udzielającej zwolnień warunkowych. Coś mi się zdaje, że nie wyjdę wcześniej za dobre sprawowanie.

Kończę moją spowiedź i zdaję sobie sprawę, że to naprawdę koniec. To moje ostatnie odwiedziny na grobie Rachel, ostatni raz dotykam wspomnienia naszego wspólnego życia. I choć wiem, że to konieczne, choć wiem, że muszę iść dalej, to jest trudniejsze, niż sobie wyobrażałem. Trudniejsze niż pożegnanie z rodzicami. Trudniejsze niż pożegnanie z Annie.

Po raz pierwszy i ostatni płaczę nad grobem mojej zmarłej żony.

Kiedy kończę się żegnać z Rachel, słyszę, że coś przedziera się z traskiem przez krzaki na południowym krańcu cmentarza. Nie wiem, co albo kto to jest, ale więcej niż jedna para stóp biegnie w moją stronę.

Chowam się za nagrobkiem Rachel, który jest trochę za mały, żeby mnie zasłonić. Moi byli teściowie nigdy nie rozpieszczali córki za jej życia, więc nic dziwnego, że po jej śmierci nie zrobili wyjątku od reguły. Konotuję sobie w myślach, że mam ich zjeść, jeśli to będzie możliwe, a potem kulę się w sobie i mam nadzieję, że ten ktoś, kogo usłyszałem, mnie nie zauważy.

Dwie osoby wbiegają za główny budynek, a potem wyłaniają się z drugiej strony i przemykają obok mnie, między nagrobkami i drzewami. Nawet po ciemku poznaję Zacka i Luke'a. Nie patrzą w moją stronę, ale biegną dalej, aż docierają do północnego narożnika cmentarza, gdzie stoi stara, kryta gontem szopa, oparta o dwa porośnięte bluszczem dęby. W następnej chwili bliźniacy wczołgają się do szopy przez dziurę i znikają mi z oczu.

Odnoszę wrażenie, że nie bawią się w chowanego.

Zostaję, gdzie jestem - wolę się nie poruszać i nie zdradzać swojej obecności przed kimś, kto może ich gonić. Ale po kilku minutach uznaję, że ten, kto ich ścigał, nie zapuścił się aż tak daleko. Może wcale nie byli ścigani.

Ciekawe, gdzie jest Ray.

Zapytałbym bliźniaków, ale nigdy nie byli rozmowni, więc podejrzewam, że będę musiał dowiedzieć się sam.

Trzymając się jak najdalej od drogi, przedzieram się przez krzaki wzdłuż brzegu potoku Soquel i docieram do spichlerza. Już z daleka słyszę głosy i widzę błyski świateł. I oddychaczy. Całe mnóstwo. Kiedy udaje mi się lepiej temu wszystkiemu przyjrzeć, już rozumiem, przed czym uciekali Zack i Luke.

Wokół tylnego wejścia stoi kilka radiowozów i furgonetka Policji dla Zwierząt, a teren oświetlają dwa szperacze. Z mojego punktu obserwacyjnego widzę przez otwarte drzwi wewnątrz spichlerza. Wypada z niego policjant, potykając się podbiega do jednego z radiowozów i wymiotuje.

Prawie wszyscy mają na twarzach maseczki ochronne albo zakrywają usta i nosy. Chociaż nie słyszę dokładnie wszystkiego, co mówią, docierają do mnie słowa jak „jotka”, „okaleczone zwłoki” i „rožen”. Nawet tutaj, w odległości ponad trzydziestu metrów, czuję aromat pieczonego oddychacza.

Zaczynam myśleć, że może Rayowi udało się uciec przed nimi, tak jak Zackowi i Luke'owi, ale nagle widzę, jak go wynoszą, przypiętego pasami do noszy. Ray się szarpie, próbuje uwolnić, ale bez skutku. Słyszę, jak próbuje wołać przez pas zapięty na jego ustach.

Choć Ray jest zakneblowany i związany, wszyscy obchodzą nosze szerokim łukiem, jakby to był transport odpadów radioaktywnych. Oddychacze uspokajają się dopiero, kiedy

Ray zostaje zapakowany do furgonetki, a jej tylne drzwi zamknięte.

Chcę pomóc Rayowi, ale wiem, że gdybym spróbował, wylądowałbym tylko w furgonetce razem z nim. Tę podróż Ray będzie musiał odbyć sam. Nie dostanie prawa do jednego telefonu, nie zostanie osądzony przez równych sobie, nie będzie chroniony przez żadne z praw pierwszej poprawki do konstytucji i nikt nie będzie go bronił.

Patrzę z ukrycia, jak furgonetka odjeżdża. I wiem, że już nigdy nie zobaczę Raya.

42

- Biedny Ray - mówi Rita.

Ma na sobie różowy kaszmirowy sweter z dekoltem w szpic, białe, obcisłe spodnie z domieszką lycry i czarne botki. Jej usta są koloru euphoric pink.

- Biedny Ray? - irytuje się Carl. - A co z nami?

- Jezu, Carl! - jęczy Naomi. Zapala kolejnego papierosa i wypuszcza dym. - Czy ty nigdy nie myślisz o nikim oprócz siebie?

Ironia jej oskarżenia rozplywa się po półokręgu razem z chmurą dymu.

- Myślę o tobie za każdym razem, kiedy widzę reklamę kijów do golfa - stwierdza Carl.

Naomi odpowiada z właściwą sobie wrogością, prowokując Carla do następnego komentarza, a Tom i Leslie próbują ich uspokajać. Jerry'emu cała ta scena wydaje się zabawna, więc się śmieje. Beth śmieje się razem z nim, by okazać mu solidarność.

- Carl ma rację - mówi Helen. Jej głos wznosi się ponad wrzawą.

Wszyscy przestają mówić, śmiać się i kłócić. I kierują spojrzenia na Helen. Na tablicy za nią widnieje napis:

„Nie będę ofiarą”.

Odrobinę bardziej prowokacyjny niż jej zwykle inspirujące motta. I biorąc pod uwagę to, co stało się z Rayem, trochę nie na miejscu.

- Lokalne władze raczej nie uznają tego, co znaleźli u Raya, za anomalię.

Jerry rozgląda się, skołowany. Zgaduję, że nigdy wcześniej nie słyszał słowa „anomalia”.

- Czy to rodzaj jakiegoś indyjskiego jedzenia? - pyta.

- To znaczy, że pomyślą, iż Ray na pewno nie jest jedynym, który zjada oddychaczy - odpowiada Rita.

- A - mówi Jerry. - Cholerka.

„Cholerka” to właściwe słowo. Ja mam w zamrażarce dwie wielkie „cholerki”.

- Możliwe, że będą dokładniej monitorować nasze poczynania - prorokuje Helen. - Analizować nasze zachowania. Mogą nawet wyeliminować kilkoro z nas z obiegu, żeby reszta się nie wychylała.

- To jest jakiś totalny kanał - stwierdza Jerry.

- Totalny - popiera go Beth.

Trącają się pięściami i każde z nich pociąga łyk z puszki napoju pomarańczowego. Beth brakuje tylko bejsbolówki Oakland As założonej daszkiem na bok i spodni zwisających na tyłku.

- Więc co powinniśmy zrobić? - pyta Tom.

- Po pierwsze - zaczyna Helen - wszyscy musimy zachowywać się możliwe dyskretnie i nie ściągać na siebie uwagi.

Czuję, jak temperatura w pokoju podnosi się o jakieś pięć stopni.

- I pewnie byłoby niegłupio, gdybyśmy wszyscy powstrzymali się od jedzenia oddychaczy.

Jadę przez Dolinę Śmierci w samochodzie bez klimatyzacji.

- A co z rodzicami Andy'ego? - pyta Jerry.

Mówią, że pustynia Kalahari jest przyjemna o tej porze roku.

Dyskusja o tym, jak zabiłeś i zjadłeś swoich rodziców, jest raczej osobista. Czymś takim wolałbyś się podzielić z innymi w odpowiednim czasie i miejscu. Ale podręcznik AN nie daje wskazówek na temat etykiety obowiązującej w takiej sytuacji, więc nie mogę być zbyt surowy dla Jerry'ego.

- Co z twoimi rodzicami? - pyta Helen.

Wyjaśniam, z pomocą Rity, co się stało. Potem wyjmuję hermetyczne woreczki z ugotowanymi kawałkami rodziców, żeby się ze wszystkimi podzielić. Nikt nie odmawia. Nawet Helen.

- Cóż - mówi Carl, oblizując usta nad kawałkiem łopatki mojego ojca. - To tyle, jeśli chodzi o powstrzymywanie się.

Przez następnych kilka minut słychać tylko rozdzieranie zębami mięsa i jęki pierwotnej rozkoszy, naprawdę trudnej do opisanego słowami.

Jeśli nigdy nie byliście w pokoju pełnym zombie jedzących świeżo przyrządzone

ludzkie mięso, to pewnie nie zrozumiecie.

- Mmm - mruczy Naomi, delektując się ostatnim kawałkiem piersi mojej matki. - To jest lepsze niż seks.

- Mów za siebie - odpowiada Rita.

Wszyscy spoglądają na mnie i na Ritę, w różnym stopniu zaskoczeni i rozbawieni. W następnej chwili rozlegają się śmiechy, gwizdy i dobrodusze żarty.

- Nie chcę wam psuć humorów - mówi Helen - ale jeśli Andy zostanie przyłapany z lodówką pełną oddychaczy, to pewnie wszyscy zostaniemy oddani na cele naukowe.

- To jak się pozbędziemy jego rodziców? - pyta Tom.

Nikt nic nie mówi. Patrzą tylko na siebie, w podłogę, a potem na tablicę. Wszędzie, tylko nie na mnie.

- Jeśli mogę coś zaproponować - mówi Leslie, przerywając skubanie ostatnich włókienek mięsa z kości palców mojego ojca. - Myślę, że najlepiej będzie, jeśli ich zjemy.

- Znaczący, urządzimy sobie grilla? - pyta Jerry.

Żeby mieć smaczne grillowane hamburgery z oddychacza, wymieszaj po łyżeczce keczupu, sosu Worcestershire, czerwonego octu winnego i sproszkowanego chilli, do tego ćwierć łyżeczki soli i odrobinę pieprzu kajeńskiego. Wymieszaj to ze zmielonym oddychaczem, ukształtuj hamburgery i piecz na otwartym ogniu.

- Którego słowa z „zachowywać się dyskretnie i nie ściągać na siebie uwagi” nie rozumiałeś? - pyta Carl.

- Jesteśmy zombie - stwierdza Rita. - Ściągamy na siebie uwagę samym istnieniem.

- Istnienie a stanie w ogródku z piwem i z burgerem z oddychacza to dwie różne rzeczy - upiera się Carl.

- Właściwie - dodaje Leslie - myślałam raczej o czymś w rodzaju proznej kolacji.

- Nie słuchałaś Helen? - pyta Carl. - Po tym, co się stało u Raya, patrol policyjny będą uważniej monitorowały nasze zachowanie.

- Wszyscy słyszeliśmy, co powiedziała Helen - odpowiada Rita. - Ale myślę, że im dłużej czekamy, tym większe szanse, że zostaniemy przyłapani.

Carl wyskakuje z ripostą, ale jego argumenty wita chór poparcia dla imprezy z grillem. Nawet Helen uznaje, że musimy się pozbyć dowodów przed niedzielą. Tylko Tom bierze stronę Carla. Boi się, że zostaniemy złapani.

W środku tego zamieszania wstaję z krzesła, podchodzę do tablicy i wycieram to, co napisała wcześniej Helen:

„Nie będę ofiarą”.

Nikt nie próbuje mnie powstrzymać, nikt nie pyta, co robię. Ja sam nawet nie wiedziałem, że chcę to zrobić. Ale biorę kredę i piszę własne motto. Czuję się jak wtedy, kiedy robiłem swoje transparenty i wychodziłem demonstrować na rzecz praw zombie. Ale tym razem mój przekaz trafia do odpowiednich odbiorców.

Kiedy kończę, nikt się już nie kłóci. Nikt nie gada. Wszyscy gapią się tylko na tablicę i na trzy słowa, które napisałem. I kiwają głowami.

„Mamy prawo egzystować”.

- Okej - mówi Carl. - To gdzie będzie ten grill?

- Może u Andy'ego? - proponuje Tom.

Rita tłumaczy, że nie chcemy zwracać niczyjej uwagi na fakt, że moi rodzice nie żyją. Urządzanie przyjęcia w moim domu, i to z matką i ojcem jako głównym daniem, nie jest raczej dobrym pomysłem.

- Moglibyśmy urządzić imprezę u mnie - stwierdza Jerry. - Moich rodziców nie będzie przez cały weekend.

Rita sugeruje sobotni wieczór, po zachodzie słońca, żeby trudniej było nas podglądać. Helen obiecuje, że przewiezie resztę moich rodziców do domu Jerry'ego. Leslie i Naomi proponują, że zrobią przystawki. A Carl będzie gotował. Ja oczywiście przyniosę wino.

- No dobrze - mówi Helen. - Wszystko ustalone. A na razie spróbujmy być tak dyskretni, jak tylko się da.

43

Kiedy Rita i ja przychodzimy do Jerry'ego, z głośników ryczy *Dead Man's Party* Oingo Boingo.

Czekam na zaproszenie na party,

Gdzie wszyscy goście są martwi.

Rita ma na sobie cieniutką, czerwoną bluzkę, czerwony biustonosz i czerwoną miniówkę. Ma też stringi z napisem „czwartek”, chociaż jest sobota. Strój uzupełniają czerwone kozaki do kolan, na wysokich platformach.

Za domem Carl opiekuje się grillem.

Przerobił dolne partie moich rodziców na najróżniejsze jadalne formy, takie jak

połędwiczki, kilka rodzajów steków, a resztę zmielił na hamburgery. Mam ochotę na porządną kawałek mięsa i nie do końca ufam Carlowi - kto wie, jakie części rodziców wrzucił do tej mielonki - więc wybieram połędwiczkę, a Rita decyduje się na plaster z udźca.

- Jak ci to przyrządzić? - pyta Carl.

- Średnio wypieczone - odpowiadam.

Wciąż mam opory przed jedzeniem surowego mięsa oddychaczy, choć nie muszę mieć wypieczonego na podeszwę, jak Tom, który się upiera, żeby mu wrzucić na grilla parę kawałków tofu, żeby chociaż mógł udawać, że zachowuje wegetariańską dietę.

Rita prosi, żeby jej stek był krwisty.

Carl wrzuca nasze mięso na ruszt, a Rita i ja idziemy szukać gospodarza.

Naomi i Leslie rządzą w kuchni - otwierają butelkę Merlot Beringer rocznik 2000 i przygotowują przystawki. Jest pasztet z wątróbki z domowymi grzaneczkami, pieczarki nadziewane cynaderkami, paluszki w piwie i świeży koktajl z oddychacza.

Wygląda na to, że menu składa się dziś wyłącznie z moich rodziców.

- Głodni? - pyta Naomi, podsuwając nam talerz z paluszkami pieczonymi w głębokim tłuszczu, z sosem farmerskim.

Rita się częstuje, ale ja odmawiam. Nie przepadam za takimi wynalazkami.

Stawiam na stole dwie butelki wina z kolekcji ojca: Au Bon Climat Pinot Noir 1992 i Chateau Latour Bordeaux 1990. Pinot chodzi po półtora tysiąca dolarów za butelkę, więc nalewam po kieliszku sobie i Ricie, a potem pytam, czy ktoś widział Jerry'ego.

- Oprowadza gości po swojej sypialni - mówi Leslie, wlewając sobie do kieliszka resztkę merlota.

- Po swojej sypialni? - dziwi się Rita. - A co jest takiego wyjątkowego w jego sypialni?

- Och, musicie to zobaczyć - mówi Naomi, otwierając bordeaux. - Nie uwierzycie.

Idąc z Ritą do sypialni Jerry'ego, zastanawiam się, co takiego niezemskiego wykombinował Jerry, że mamy nie uwierzyć? Ale nic, co udaje mi się wymyślić, nie dorasta do rzeczywistości.

Kiedy wchodzimy, Jerry siedzi z Beth w nogach swojego łóżka. W pokoju nie ma nikogo innego. A przynajmniej nikogo trójwymiarowego.

Ze ścian gapią się na nas dziesiątki nagich kobiet ze stron „Playboya”. Nie widać ani kawałeczka tynku. I gdy przyglądam się pozom kobiet, ich minom i miejscom, w których zostały umieszczone na ścianach, widać, że Jerry nie poprzylepiał ich na chybił trafił, bez żadnego zamysłu czy celu. Układają się w wyraźny wzór, w dzieło sztuki, które wydaje mi się

znajome, ale umyka mi, póki nie spoglądam na sufit.

- O mój Boże - mówi Rita.

To Kaplica Sykstyńska.

Wprost nad nami Miss Lutego z 1988 przyjmuje zakazany owoc, a dwie inne golaski są wyrzucane z ogrodu rajskiego. Obok tego fresku, na środku sufitu, widnieje hołd dla Playmate of the Year 1977 - *Stworzenie Ewy*.

Potop jest zmysłowym dziełkiem składającym się z dziewczyn pod prysznicem, w wannach i w wodospadach, a *Oddzielenie światła i ciemności* przedstawia jasnoskórą Miss Września 2000, otoczoną czterema czarnymi dziewczynami.

Każdy fresk, od *Oddzielenia światła i ciemności* po *Pijaństwo Noego*, jest odtworzony z udziałem pięknych, nagich kobiet w erotycznych pozach. Miss Stycznia 1994 i Miss Maja 2000 przedstawiają Mojżesza i Seforę, a dwunastu apostołów podczas Ostatniej Wieczerzy uosabiają chronologicznie poukładane dziewczyny Playmate of the Year. Oczywiście nie wszystkie freski są idealne. Przecież trudno oczekiwać, że na stronicach „Playboya” znajdzie się odpowiednik każdej postaci stworzonej przez Michała Anioła. Ale kiedy patrzysz w górę i widzisz Miss Czerwca 2003 w chmurze bielizny, wyciągającą rękę do oczekującej Miss Stycznia 1994, nie masz wątpliwości, że patrzysz na *Stworzenie Adama*.

Dzieło jest bardzo wysublimowane, ma niemal wymiar duchowy. Na swój cyncaty i goły sposób.

- I co myślicie? - pyta Jerry.

- Niewiarygodne - stwierdza Rita, chodząc po pokoju, żeby się lepiej przyjrzeć. Dwie ściany po bokach łóżka Jerry'ego przedstawiają żywot Mojżesza i żywot Chrystusa, a Sąd Ostateczny stanowi centralny element dzieła Jerry'ego na ścianie za łóżkiem. - A ja myślałam, że cały czas spędzasz na masturbacji.

- No cóż, to też - mówi Jerry.

Beth chichocze i ściska jego dłoń.

Może to przez przytłaczającą seksualność dziesiątek nagich kobiet, ale mam wrażenie, że dzisiaj w nocy Jerry nie będzie skazany na samoobsługę. Owszem, Beth ma dopiero szesnaście lat, ale nie sądzę, żeby ktoś miał go oskarżyć o molestowanie nieletniej.

Kiedy Carl oznajmia, że mama i tata są już upieczeni, wszyscy zbieramy się w jadalni i siadamy do stołu. Jest nas dwanaścioro - wliczając w to Zacka i Luke'a, którzy zostali zaproszeni na moją prośbę, i z Ianem, którego zaprosiła Helen, Ian wciąż w świetle prawa jest oddychaczem. I adwokatem. Co może się okazać przydatne, jeśli ktoś z sąsiadów zadzwoni po patrol.

Siedzę na końcu stołu, mając po bokach Ritę i Carla, i podziwiam obfitość pożywienia przed sobą. Brukselka i dynia piżmowa, purée ziemniaczane i sos spod pieczonego oddychacza, pieczone tofu w szpinaku, z sosem fistaszkowym dla Toma. I oczywiście moi rodzice, przyprawieni i upieczeni na najróżniejsze sposoby, wedle gustu, dla każdego.

- Andy - zaczyna Helen - chciałbyś powiedzieć parę słów?

Nie przeciągam sprawy, dziękując rodzicom za te hojne dary. Mówię doskonale. Nie licząc problemów z niektórymi miękkimi spółgłoskami, moja mowa brzmi już całkiem normalnie.

Chodzę bez utykania.

Moje serce uderza już co dwie sekundy.

O ile wiem, oprócz mnie i Rity nikt z pozostałych nie doznał ożywienia organów wewnętrznych. Ale wszyscy zdrowieją.

Obca ręka Toma połączyła się ze stawem, a luźne płyty skóry na jego twarzy zaczęły przyrastać.

Czaszka Jerry'ego odbudowała się niemal całkowicie.

Naomi nie może już gasić papierosów w oczodole, bo jej nerwy zaczęły funkcjonować.

A rana wylotowa Helen zaczęła się zamykać.

Helen dodaje parę słów od siebie, mówiąc, jaka jest wdzięczna, że może dzielić ten posiłek z nami wszystkimi.

- Jesteście moją rodziną - mówi. - Przynosicie mi pociechę.

Wszyscy unoszą kieliszki w toaście. Zauważam, że Leslie i Naomi ocierają łzy. Nawet Carl ma wilgotne oczy. Helen ma rację. Jesteśmy rodziną. Zebrani wokół tego niemal świątecznego stołu, moglibyśmy prawie uchodzić za oddychaczy.

Zaczynamy jeść.

W filmach o zombie, ilekroć nieumarli zabierają się do posiłku, nie ma żadnych rozmów, tylko prymitywne rozdzieranie i pożeranie mięsa. Fakt, my mamy warzywa i tofu i jemy sztuczkami z talerzy, ale nikt się nie odzywa. Słychać tylko przełykanie i mlaskanie. Więc z tym jednym Hollywood trafił w dziesiątkę.

Po kolacji, kiedy naczynia są już umyte, przyciemniamy światła i wszyscy zsiadamy przed telewizorem, z popcornem i paskami suszonego oddychacza, żeby obejrzeć oryginalną *Noc żywych trupów* George'a Romera. Przytulam się do Rity na kanapie obok Carla i Leslie. Beth siada Jerry'emu na kolanach, a Zack i Luke układają się zwinięci na jednym fotelu.

Kiedy film się zaczyna, wszyscy są w radosnych nastrojach - śmieją się i robią sprośne

uwagi, rzucają się popcornem. To bardzo integrujące doświadczenie. Wszyscy wiwatujemy, ilekroć ginie jakiś oddychacz, i bucujemy, kiedy pada zombie. Ale kiedy zombie zaczynają się pożywiać, widownia cichnie.

Kiedy byłem żywy, widziałem *Noc żywych trupów* parę razy, ostatni raz na studiach. I nigdy nie brałem tego filmu poważnie. Tym razem wydaje mi się fascynujący. Nie z punktu widzenia konesera sztuki filmowej - fabuły, scenariusza, reżyserii, całego tego artystycznego szajsu. Mówię o znacznie głębszym, duchowym doświadczeniu.

To jest jak objawienie.

Alegoria mojej egzystencji.

I chyba nie tylko ja to czuję.

Choć wątpliwe, by ktokolwiek z legalnie zarejestrowanych nieumarłych kiedykolwiek odzyskał status żywego człowieka, to nie znaczy, że nie mamy aspiracji wykraczających poza opędzanie się od larw.

Nieumarli pragną zostać oddychaczami. Tym byliśmy kiedyś i tym mamy nadzieję stać się na nowo. Ale w świecie, który uważa nas za nie-ludzi, nie ma szans na odzyskanie naszej pozycji. Nikt nas nie zrehabilituje. Zostaliśmy odrzuceni - przez społeczeństwo, przez przyjaciół, przez rodziny. Więc musimy znaleźć sposób, żeby zrehabilitować się sami.

W egzystencji każdego są punkty definiujące dalsze istnienie - niektóre bardziej monumentalne od innych:

Dla Neila Armstronga - pierwszy krok dla ludzkości.

Dla Gandhiego - przebranie się w białą szatę.

Dla Rosy Parks - odmowa ustąpienia miejsca białemu w autobusie.

Każde z nich znalazło swój moment, uchwyciło go i przekształciło w akt, który stał się symbolem ich poszukiwań. W triumf. W spełniony sen.

Prędzej czy później każdy dociera do takiego punktu. Dla niektórych mija on niezauważony, nieuświadomiony. Ale innych trafia jak pięść między oczy, kiedy oglądają czarno-biały horror klasy B z 1968 roku.

To jest nasz moment. To jest nasz czas.

Kiedy umierasz, tracisz numer ubezpieczenia społecznego, co nie jest problemem, jeśli pozostajesz martwy. Ale jeśli wracasz, jeśli stajesz się zombie - nieważne, czy powodem jest jakaś wrodzona anomalia genetyczna, czy za dużo konserwantów skonsumowanych za życia - cóż, wtedy masz zwyczajnie przechłapane. Jako że nieumarli nie są uznawani za istoty ludzkie, szanse na odzyskanie numeru ubezpieczenia społecznego masz mniej więcej takie, jak gej na stanowisko szeryfa w Wyomingu.

Bez numeru ubezpieczenia społecznego nie możesz pójść do pracy, wystąpić o pomoc państwa czy stanu ani zdobyć wsparcia finansowego, żeby się dokształcać. W związku z tym zarabianie na życie jest bardzo utrudnione, nawet jeśli jesz oddychaczy i wyglądasz całkiem nieźle. Podobno tylko w Tennessee jest inaczej. Tam mają jakieś mniej sztywne przepisy.

Urządzą rewizję w domu rodziców i w pudełku w ich sypialni znajduję swój akt urodzenia i prawo jazdy. Znajduję też egzemplarz *Kamasutry*, butelkę olejku do masażu, zestaw skórzanych kajdan z więzami, wibrator i trzy fotki z polaroida, przedstawiające moją gołą matkę.

Chyba muszę się umówić na kolejną wizytę u terapeuty.

Żeby odzyskać numer ubezpieczenia społecznego, udowadniając, że zostałeś omyłkowo uznany za zmarłego, musisz najpierw potwierdzić swoje obywatelstwo, wiek i tożsamość. Jeśli masz więcej niż dwanaście lat, musisz się zjawić w Urzędzie Ubezpieczeń Społecznych osobiście.

W czasach, kiedy większość ludzi nie miała jeszcze telewizorów, można było załatwić odpis aktu urodzenia, dokument ze zdjęciem i numer ubezpieczenia społecznego drogą pocztową. Ale w Stanach Zjednoczonych po ataku na WTC i po Ustawie Patriotycznej nie jest to już możliwe.

A nawet gdyby było, nie mam zamiaru odzyskać mojego numeru oszukańczymi sposobami. Nie chcę wymyślać fałszywego nazwiska i fałszywej tożsamości, nie chcę korumpować systemu, żeby odzyskać prawo do życia. Chcę po prostu wyrównać swoje szanse. Chcę, żeby oddychacze wiedzieli, że jestem zombie. Chcę, żeby bali się mnie w inny sposób niż dotychczas.

Jak równego sobie.

Podobnie jak w przypadku wszystkich agencji rządowych siedziba Urzędu

Ubezpieczeń Społecznych jest mniej więcej tak samo przyjazna dla klientów jak tureckie więzienie, tyle że bez bicia, tortur, egzekucji, wymuszeń i przetrzymywania zakładników.

W sali są cztery okienka, zabezpieczone drzwi i poczekalnia, składająca się z czterech rzędów krzesel. Kiedy wchodzę, dyżurka strażnika po lewej stronie od głównego wejścia jest pusta. Naprzeciwko stoi komputerowy terminal rejestracji:

„Wybierz 0, jeśli jesteś umówiony.

Wybierz 1, jeśli przyszedłeś w innej sprawie”.

Nie chciało mi się dzwonić i umawiać na spotkanie, ale to nie powinno stanowić problemu, bo w poczekalni siedzi tylko jeden oddychacz, a drugi stoi przy jedynym czynnym okienku i rozmawia z urzędnikiem. Wciskam więc „1”, i drukarka wyrzuca bilecik z numerem A75.

Siadam w trzecim rzędzie, dwa krzesła w bok i jedno za czytającą gazetę kobietą w średnim wieku. Niecałe dziesięć sekund później kobieta się wzdryga, jakby zrobiło jej się zimno, i owija się szczelniej swetrem. Zanim zostaje wywołany jej numerek, wstaje i wychodzi z budynku.

Ma się tę charyzmę.

Starszy pan przy okienku kończy załatwiać swoje sprawy i idzie do wyjścia. Mijając mnie, blednie jak ściana. Urzędnik wywołuje mój numerek.

Kiedy widzę oddychaczy, zawsze ich najpierw oceniam. Czy nadawaliby się na gulasz, czy lepiej byłoby ich opiec na otwartym ogniu? Czy bardziej przypominają filet mignon, czy wędzonkę do kanapek? Tak naprawdę to kwestia gustu. Albo tego, ile wysiłku chce się włożyć w przygotowanie posiłku. Jeśli nie możesz się zdecydować, zawsze możesz ich zdzielić pałą, polać oliwą, posypać anchois i nazwać carpaccio.

Urzędnik w okienku Urzędu Ubezpieczeń Społecznych wygląda jak wędzonka do chleba.

- W czym mogę pomóc? - pyta z uśmiechem, który bardziej przypomina grymas.

Z tym uśmiechem kojarzy mi się z Tedem, tyle że bez złotego kolczyka i kolagenu pod skórą.

Mówię mu, że chciałbym odzyskać swój numer ubezpieczenia społecznego.

- Odzyskać? - pyta. - A dlaczego numer został pierwotnie cofnięty?

- Omyłkowo uznano mnie za zmarłego - odpowiadam.

Gapi się na mnie przez kilka sekund z tym nieszczerym uśmiechem wciąż wymalowanym na twarzy.

- To jest dość skomplikowane.

Pokazuję mu mój akt urodzenia, prawo jazdy i paszport. I podaję mu mój numer ubezpieczenia.

Urzędnik bierze dokumenty i wpisuje mój numer do komputera. Na jego czole widzę kropelki potu. Cokolwiek wyskoczyło mu na monitorze, wysysa kolor z jego twarzy.

- Tu... tu jest napisane, że pan nie żyje - mówi łamiącym się głosem.

Przypominam mu o omyłkowym uznaniu za zmarłego.

Spogląda na mnie, potem na monitor. Ogląda za siebie. Jest sam.

- Gary! - woła.

- Czy jest jakiś problem? - pytam.

- Gary!

- Przepraszam!

Odwraca się do mnie z twarzą jak popiół, a potem spogląda na monitor.

- Nasze dane mówią, że pan... że Andrew Warner... że umarł czternastego lipca i powstał z martwych trzy dni później.

- Zupełnie jak Chrystus - stwierdzam. - A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko, chciałbym odzyskać swój numer ubezpieczenia społecznego.

- To nie... - jąka się, odsuwając się od biurka. - To nie jest możliwe.

- Dlaczego? - pytam.

- Ponieważ... - mówi, wycofując się i sięgając po telefon. - Ponieważ...

- Proszę się odsunąć od okienka.

Odwracam się i widzę Gary'ego, ochroniarza, który stoi po mojej lewej, obok drzwi. Jego prawa dłoń wisi nad pistoletem. Jakby miało mu to w czymś pomóc. Mógłby wpakować we mnie cały magazynek, a ja i tak upiekłbym go na rożnie, zanim zacznie się *Oprah*.

Urzędnik za ladą dzwoni na policję.

- Chcę tylko mój numer ubezpieczenia społecznego - mówię.

Gary wyciąga pistolet z kabury i celuje we mnie.

- Powiedziałem, żeby odsunął się pan od okienka.

Nie mam wielkiej ochoty oberwać kulki, więc się odsuwam.

- Proszę położyć ręce na głowie.

Robię to z westchnieniem. Co za niewygoda.

- Uważaj - ostrzega urzędnik, który skończył już rozmawiać przez telefon. - On jest zombie.

Oczy Gary'ego, jeszcze przed sekundą pełne determinacji, nagle otwierają się szerzej ze strachu i niepewności. Zaczynają mu się trząść ręce.

Posterunek policji jest tylko dwie przecznice dalej, więc słyszę syreny już po kilku sekundach.

- Nie ruszaj się - nakazuje drżącym głosem Gary.

Swędzi mnie nos i muszę się podrapać. Kątem oka widzę, jak urzędnik ucieka tylnymi drzwiami i zostawia mnie i Gary'ego sam na sam.

Gary też to zauważa i nie dodaje mi to pewności siebie.

- Ten pistolet jest niepotrzebny - stwierdzam.

Gary nie odpowiada. Jego ręce trzęsą się coraz bardziej. Tak. Oto ktoś, kogo chciałbym widzieć w charakterze swojego obrońcy.

- Nie zrobię nikomu krzywdy.

Swędzenie nosa doprowadza mnie do szału. Ciekawe, czy to początek przeziębienia?

- Muszę się podrapać po nosie.

Syreny na zewnątrz są coraz głośniejsze, aż w końcu słyszę pisk opon na asfalcie. Otwierają się drzwi samochodów, słychać krzyki. Gary łypie na główne drzwi.

Kicham.

Jego pistolet wypala. Pierwsza kula przeszywa mi klatkę piersiową, gorąca i piekąca. Druga wbija mi się w czoło nad lewym okiem i wychodzi z tyłu czaszki.

Wolałbym raczej usłyszeć „Na zdrowie”.

Nie wiem, czy Gary dalej strzela, ale nawet jeśli tak, to nie czuję więcej kul. Zataczam się do tyłu i przypominam sobie ten pierwszy ranek, gdy się obudziłem, idąc Old San Jose Road. Potem upadam, nie panując nad kończynami. Krzyki i jazgot syren wypełniają mi uszy.

Potem cisza.

45

Budzi mnie wycie syren.

W pierwszej chwili wydaje mi się, że jestem w furgonetce Policji dla Zwierząt, ale się nie poruszamy. Te syreny brzmią raczej jak alarmy, włączające się jeden po drugim i zlewające w zawodzącą symfonię. Chyba że jestem w piekle, co nie jest tak całkiem nieprawdopodobne, biorąc pod uwagę zapach.

Kiedy otwieram oczy i siadam, widzę, że jestem na podłodze w klatce. Wszędzie

wokół mnie wyją psy. Owczarek niemiecki naprzeciw mnie szczyrzy kły, z pyska wylatują mu strzępki piany, kiedy szczeka i warczy, i próbuje wygryźć się z klatki. Ktoś chyba zapomniał mu dać leki na uspokojenie.

Większość moich współwięźniów powinna chyba brać ritalin, chociaż może wystarczyłby dobry terapeuta.

Po mojej prawej terier o sierści zbitej w kudły usiłuje zrobić podkop w betonowej podłodze. Pies w klatce po lewej, czarny labrador, kuli się w najdalszym kącie i skomli. Kiedy spoglądam na niego, sika na podłogę.

Wygląda na to, że w części dla zombie brakło miejsca.

- Halo?

Nikt nie odpowiada.

Jednym z plusów bycia zombie jest to, że jakichkolwiek doznasz obrażeń fizycznych, jakiegokolwiek tortury musisz znosić, nie czujesz żadnego bólu czy dyskomfortu. Ale mnie, po raz pierwszy od miesiąca, boli głowa.

Sięgam do góry i badam palcem dziurę nad moim lewym okiem, lepką od zaschniętej krwi. Nie wiem, jak długo byłem nieprzytomny, ale dobrze wiedzieć, że wciąż mam zdolność samoleczenia. Jak długo ją utrzymam bez porcji świeżego oddychacza, nie wiem. Ale pewnie niedługo się dowiem - spędzę tu co najmniej dwa dni.

Owczarek naprzeciwko przestał się szczyrzyć i teraz szczeka jak najęty. Golden retriever w sąsiedniej klatce uznaje, że to chyba dobra zabawa, i przyłącza się do kolegi. To samo robi rottweiler obok niego.

Naprawdę, chętnie łyknąłbym coś na ból głowy.

- Halo?

Rana wylotowa z tyłu mojej głowy jest przynajmniej trzy razy większa od wlotowej; czuję kawałki czaszki i mózgu wklejone we włosy. Próbuję to zmyć, używając wody z miski, ale żeby zrobić to skutecznie, przydałby się dobry szampon.

Nie ma rany wylotowej po kuli, która trafiła mnie w pierś, ale tuż pod prawym sutkiem mam poszarpany otwór wielkości dziesięciocentówki, a w moją czarną koszulę DaVinci Gambino wsiąkło całkiem sporo krwi.

Cudownie. Zniszczyli mi ulubioną koszulę.

Rany po kulach się zagoją, czaszka i mózg się zregenerują, ale naprawdę trudno jest odkupić dobry ciuch.

Wstaję, żeby rozprostować nogi i sprawdzić, czy wróciły mi funkcje motoryczne. Podchodzę do przedniej kraty klatki.

- Jest tam kto?

Sądząc z natężenia i kąta promieni słonecznych wpadających przez okna pod sufitem, jest późne popołudnie, co znaczy, że byłem nieprzytomny przynajmniej pięć godzin.

Mam miskę z suchą karmą i skórzaną kość do żucia, ale ani jedno, ani drugie raczej nie zaspokoi mojego głodu. Chętnie zjadłbym burrito z oddychacza z ryżem i czarną fasolą. Albo kanapkę z pieczenią z oddychacza, z musztardą Dijon i z frytkami.

Na pewno zdołałbym tu ściągnąć Ritę albo Jerry'ego, żeby coś mi przemycili - choćby trochę suszonego mięsa. Ale coś mi się zdaje, że nikt mi nie pozwoli zadzwonić.

- Halo?

Nikt nie odpowiada.

Myślę, czy by nie wylać reszty wody i nie zacząć tłuc miską o kraty. Ale zamiast tego przyłączam się do współwięźniów i wyję razem z nimi.

46

- Ziom, w pale się nie mieści, że cię postrzelili.

To już trzeci dzień mojej niewoli. Jerry siedzi na podłodze, trąc oczy i kichając od czasu do czasu, zawsze w seriach po trzy kichnięcia. Z początku myślałem, że się przeziębził, ale okazuje się, że jest uczulony na koty.

Personel nie mógł znieść nieustannego wycia i sikania, więc choć zdążyłem już zachrypnąć i dokładnie opróżnić pęcherz, przeniesiono mnie do części dla kotów, bo klatki dla zombie wciąż są zajęte. Kwatery są tu o wiele mniejsze, a od tego całego syczenia i prychnania ciągle śnią mi się węże i wampiry, ale zawsze wolałem koty od psów.

Jerry kicha i wyciera nos dłonią. Oczy ma czerwone i spuchnięte. I ciągle musi chrząkać. Jestem wzruszony, że poprosił o klatkę obok mojej, zamiast siedzieć z innymi w psiej części, ale mam nadzieję, że rodzice po niego przyjadą, zanim dostanie wysypki.

Dzień po mojej nieudanej wyprawie do Urzędu Ubezpieczeń Społecznych Jerry wszedł do pubu Fast Eddie's, żeby się napić i pograć w bilard. Powiedział, że „chciał tylko zobaczyć, co z tego wyjdzie”.

Wyszło to, że Jerry wypił drinka, a potem następnego, i następnego... I po niecałych dwóch godzinach zdarł kartkę „Zombie nie obsługujemy” przyklepioną na drzwiach. Potem

zdjął bejsbolówkę, żeby pokazać wszystkim swój mózg, którego kawałek jeszcze widać, i zaproponował, żeby sobie podotykali.

Nie trzeba mówić, że lokal opróżnił się szybciej niż żołądek bulimiczki. Kiedy zjawiła się Policja dla Zwierząt, Jerry siedział przy barze, pił Jacka Daniel'sa z colą i podpalał strzępy kartki zdartej z drzwi.

Poprzedniego dnia, mniej więcej wtedy, kiedy ja wszedłem do urzędu, Carl postanowił zagrać partyjkę golfa w Klubie Marina, którego przed śmiercią był szanowanym członkiem. A że Marina jest znana ze swojej ugruntowanej i stanowczej polityki Zero Zombie, Carlowi odmówiono prawa wstępu, kiedy tylko został rozpoznany. Inaczej mówiąc, zamknęli drzwi od środka i zaczęli wrzeszczeć o pomoc.

Carl nie uciekł ani nie wszczął awantury. Grzecznie poczekał pod drzwiami na policjantów i poszedł z nimi z dobrej woli. W odróżnieniu od Naomi, którą musieli spacyfikować paralizatorem i uprzężą, zanim zdołali ją usunąć z kina.

Mimo pustego oczodołu udało jej się bez żadnych przeszkód kupić bilet i wejść do środka, ale kiedy stała w kolejce po popcorn, jakiś chłopczyk stojący przed nią z matką ciągle się odwracał i gapił, więc w końcu spytała: „Co, nigdy nie widziałeś zombie?”

Ona przynajmniej nie dostała kulki w twarz.

Dotykam nierównej dziury nad lewym okiem. Choć udało mi się ją umyć i wetrzeć trochę maści z antybiotykiem, bez regularnych posiłków z oddychaczy nie zdrowieję tak jak kiedyś. A nie mogę się spodziewać, że Rita zjawi się z odsieczą, bo siedzi zamknięta z Leslie, Beth i Tomem za pikietowanie przed schroniskiem i protestowanie przeciwko naszemu uwięzieniu.

Oczywiście wszyscy inni zostaną wypuszczeni, kiedy tylko zjawią się ich prawni opiekunowie i wpłacą kaucję. Ale moja sytuacja jest zdecydowanie gorsza. Nie dość, że nie ma mnie kto wykupić, to jeszcze policja się zorientowała, że moi rodzice zaginęli. Oczywiście podejrzewają mnie, chociaż nie znaleziono żadnych śladów przestępstwa, ale nawet jeśli nie znajdą żadnego dowodu, że zabiłem rodziców, zostały mi jeszcze tylko cztery dni, zanim zostaną przeniesiony do okręgowego aresztu w celu redystrybucji. Chyba że zgłosi się jakiś opiekun zastępczy.

„Zombie szuka oddychacza

Przyuczony do porządku

Lubi koty i spaceruje po plaży

Świetnie gotuje”

Problem w tym, że nawet gdyby ktoś się zgłosił i chciał mnie adoptować, władze

okręgu na to nie pozwolą z powodu wątpliwości co do losu moich rodziców. Zostałem uznany za zombie wysokiego ryzyka, co znaczy, że kiedy minie siedem dni, przeminę i ja.

Prędzej czy później to się musiało stać. Nie można zjeść rodziców i spodziewać się, że nikt nie zauważy ich zniknięcia. Ale kiedy przerabiasz resztki mamy i taty na kroiety, zwyczajnie nie myślisz o konsekwencjach.

Jerry wydaje z siebie serię kichnięć, po której następuje atak paskudnego kaszlu. Jeszcze chwila i wypluje kulkę kłaków.

Jedyną osobą z naszej grupy, która nie wylądowała w schronisku, jest Helen. Ale kiedy wpadła z wizytą, wyznała mi, że ciągle myśli o zjedzeniu swojej siostry.

- Ona wygląda tak soczyście.

Tak. Soczyście. Ślinię się na sam dźwięk tego słowa.

Zamiast zjeść siostrę, Helen załatwiła z pomocą Zacka i Luke'a jakiegoś bezdomnego, którego potem pokroili i schowali w zamrażarce w garażu Iana.

Jeśli zazdrość jest zielona, to wyglądam w tej chwili jak zupa z zielonego groszku.

Żeby ugotować dobrą zupę z zielonego groszku na mięsie oddychacza, rozpuść w dużym rondlu dwie łyżeczki masła, zrób zasmażkę z dwóch łyżeczek mąki i dodaj po dwie szklanki mleka i rosołu z oddychacza. Zagotuj. Dodaj posiekanego oddychacza i purée z groszku, sól i pieprz, a potem przykryj i gotuj na wolnym ogniu pięć do dziesięciu minut. Wystarczy na sześć porcji.

Helen powiedziała mi, żebym się nie martwił, bo ona i Ian pracują nad wyciągnięciem mnie stąd. Mam nadzieję, że szybko znajdą jakiś sposób, żebym mógł zjeść trochę oddychacza, bo ciągle wydłubuję sobie kawałki mózgu z rany wylotowej.

47

Niewoli dzień piąty.

Jerry'ego puścili dwa dni temu. Nie mogę powiedzieć, żebym tęsknił za jego nieustannym rżeniem i kaszlem, ale to przynajmniej była jakaś odmiana od syczenia kotów.

Najgorszy jest rudy pers w klatce obok. Nie syczy na mnie tyle co inne koty, ale ponieważ ma płaską mordkę, jego drogi oddechowe najwyraźniej są niesprawne, przez co dwa razy dziennie dostaje ataków kichania i spryskuje mnie kluskami pomarańczowego

śluzu.

Kiedy po Jerry'ego przyjechali rodzice, spodziewałem się, że będą się zachowywać jak typowi oddychacze. Ale tam, gdzie moja matka nie chciałaby mnie dotknąć, a ojciec zbeształby mnie za wydatek i kłopot, rodzice Jerry'ego obsypali go czułościami i przeprosili, że nie mogli odebrać go wcześniej.

A ja myślałem, że każdy chciałby zjeść swoich starych.

Więc teraz siedzę sam - oczywiście jeśli nie liczyć dziewięćdziesięciu trzech kotów i dwudziestu czterech kociaków, które dzielą ze mną więzienie.

Tego samego dnia, po południu, wychodzą Carl i Naomi. Rita, Leslie, Beth i Tom wrócili do domu wczoraj. Rita wpadła po drodze, dała mi buziaka i wetknęła parę pasków suszonego oddychacza, ale to niewiele pomogło. Zaczyna mi się pogarszać. Moje świeże rany ropieją i robią się czarne, a serce zwolniło do mniej niż pięciu uderzeń na minutę. Trudno stwierdzić, czy moje ciało zaczęło gnić, bo wszystko przesłania smród kuwety. A poza tym dwa nowe koty z sąsiednich klatek spryskały mnie moczem.

I zaczynam mieć skurcze.

Jeśli nigdy nie siedzieliście przez pięć dni w klatce półtora metra na metr, na metr, to pewnie nie zrozumiecie.

*Ciasna klatka z drutu,
skurcze, gnijące rany
śmierdzą moczem.*

W tej chwili piwniczka rodziców byłaby apartamentem w hotelu Ritz-Carlton. Czego bym nie dał za butelkę Arietta Merlota rocznik 1999 i za parę odcinków *Spin City*.

Helen powiedziała mi na pociechę, że na południe od Big Sur woda wyrzuciła na brzeg parę rzeczy należących do moich rodziców, co kazało policji podjąć poszukiwania wzdłuż wybrzeża oceanu między Carmel i San Simeon. Przy odrobinie szczęścia znajdą bmw rodziców, uznają ich śmierć za przypadkową i mnie wypuszczą. Wydaje mi się to równie prawdopodobne jak dobry hollywoodzki film oparty na złym serialu telewizyjnym. Ale przynajmniej mogę zająć głowę czymś innym niż wizje mojego poćwiartowania, porąbania czy całopalenia.

Ian złożył do sądu wnioski o wstrzymanie przekazania mojej osoby władzom okręgu, żebym nie został unicestwiony, zanim policja nie zakończy dochodzenia w sprawie zaginięcia moich rodziców. Uważa, że ma szansę to przepchnąć. Skontaktował się nawet z lokalną

gazetą, „Santa Cruz County Sentinel”, mając nadzieję na trochę szumu medialnego wokół mnie. Nie wiem, co dokładnie chce osiągnąć, wkurzając bandę oddychaczy, którzy natychmiast zaczną się skarżyć, że pieniądze z ich podatków są marnowane na podczłowieka, ale Ian chyba myśli, że to pomoże w mojej sprawie.

Wiem tylko tyle, że jeśli moi rodzice nie zjawią się w ciągu następnych dwóch dni - co jest mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę, że zostali już strawieni i wydalenii - czeka mnie kariera naukowa na jakimś uniwersytecie medycznym.

Słyszałem, że egzaminy wstępne to prawdziwa masakra.

48

- Andy! Andy! Jak cię tu taktują?

- Jak to jest być zombie?

- Jak sobie radzisz ze zniknięciem rodziców?

Jest dzień dziewiąty mojej niewoli. Odpowiadam na pytania sporej garstki reporterów, stojących przed moją klatką, która w tej chwili bardziej przypomina prywatny, luksusowy kojec niż klatkę.

Moja nowa siedziba, mierząca trzy metry szerokości, trzy metry długości i dwa i pół metra wysokości, jest wyposażona w sofę, która rozkłada się do podwójnego łóżka, minilodówkę, kuchenkę mikrofalową, przenośną toaletę z zasłonkami i odtwarzacz DVD z dwiętnastocalowym płaskim telewizorem. Mam nawet osobistego opiekuna. DVD i telewizor dostałem od sieci sklepów Circuit City, a cała reszta wyposażenia to dary od miejscowych organizacji, które chciały sobie zrobić trochę dobrego PR-u. Osobistym opiekunem jest dzieciak o imieniu Scott, który pracuje w schronisku jako wolontariusz, ale w przyszłości chce być aktorem i pomyślał, że to dla niego szansa, by został odkryty.

Kiedy nagle robisz się sławny, każdy chce cię wykorzystać.

Dwa dni temu obudziły mnie syreny samochodów podjeżdżających pod schronisko. Myślałem, że to mój koniec i że wyląduję razem z Rayem w dormitorium na farmie z częściami zamiennymi - co zresztą zaczynało mi się jawić jako całkiem atrakcyjna rzecz, jako że ostatnie dwa dni spędziłem z tyłkiem oklejonym kocim żwirkiem.

Okazuje się, że jedna z regionalnych stacji telewizyjnych wyłowiła historię o wybuchu

obywatelskiego nieposłuszeństwa wśród nieumarłych okręgu Santa Cruz i wysłała kogoś, żeby zbadał sprawę. Kiedy się okazało, że jednym z tych nieumarłych jest osierocony zombie, który wysłał petycję do swojego kongresmena, prosząc rząd o przywrócenie jego konstytucyjnych praw, i że miejscowy prawnik walczy o uratowanie rzeczony sierotki przed unicestwieniem, stałem się newsem na cały kraj.

Okazało się, że moja petycja została potraktowana przez kongresmena z pogardą i wypuszczona z jego biura jako obiegowy żart krążący po Kapitolu. Ale kiedy moje nazwisko pojawiło się w mediach i ktoś skojarzył, że to ja jestem autorem petycji, ten żart zmienił się w koszmarny sen rzeczników prasowych.

Na razie moją historię zrelacjonowały „World News Tonight”, „CBS Evening News”, dyskutowano o niej na żywo w programach *Crossfire*, *Real Time with Bill Maher* i *NPR*, a sekretarz biura prasowego prezydenta zwołał konferencję prasową na mój temat. Zdaje się, że oficjalne stanowisko prezydenta brzmiało: „Bez komentarza”.

Tego ranka, kiedy miałem zostać przekazany władzom okręgu, media urządziły szturm na schronisko z całym konwojem wozów transmisyjnych, kamer, łączy satelitarnych i dziesiątkami reporterów. Demonstranci zajmujący przeciwne stanowiska wrzeszczeli na siebie jak wściekli. Zjawiły się też setki miejscowych, by głośno wyrazić opinię albo przynajmniej sprawdzić, czy nie uda im się zerknąć na Andy'ego Zombie. Po prostu cyrk. Oczywiście była też policja, pilnująca, by ten cyrk nie przekształcił się w zoo.

- Andy, jak myślisz, co się z tobą stanie?
- Kiedy stąd wyjdiesz?
- Co najbardziej lubisz jeść?

Następne pytanie, proszę.

Kiedy pojawiły się media, pracownicy TPO przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny trzymali budynek zamknięty na klucz, by nie dopuścić do mnie reporterów. Trochę dlatego, żeby nie stresować innych zwierząt, ale przede wszystkim dlatego, że sami zrobiliby sobie potworną antyreklamę, gdyby w eter poszły relacje pokazujące mnie w tej trumno-klatce, z miską wody, kupką suchej karmy i woreczkiem kocimietki, która, tak nawiasem mówiąc, smakuje jak sucha trawa, ale naprawdę daje kopa.

Więc w środku nocy zostałem przeniesiony do jednej z klatek, które TPO przeznacza dla dużych zwierząt gospodarskich i leśnych. Wolontariusze zaopatrzyli mnie nawet w poduszki i koce.

Choć to oddychacze, większość wolontariuszy naprawdę troszczy się o los swoich nieumarłych podopiecznych. Myślę, że to właśnie sentymenty takich ludzi jak oni pomogły

podsyć głosy wsparcia dla mnie i innych zombie. I wsparcie to w ciągu ostatnich dwóch dni rozprzestrzeniło się po kraju jak pożar.

W ciągu paru godzin od wyemitowania pierwszej relacji w telewizji zaczęło napływać wyposażenie klatki. Moje obecne schronienie pojawiło się dziś rano, dzięki uprzejmości miejscowego wytwórcy klatek na specjalne zamówienie. Widocznie pomyślał on, że moja nieustanna obecność w mediach nakręci mu sprzedaż.

- Andy, jak umarłeś?

- Jakie było twoje życie, zanim stałeś się zombie?

- Czujesz się opuszczony?

Policyjne śledztwo w sprawie zaginięcia moich rodziców wciąż jest w toku, ale to nie przeszkadza oczywiście, by w tabloidach, na portalach internetowych i w plotkarskich programach telewizyjnych pojawiały się najróżniejsze spekulacje. Na przykład, że rodzice popełnili samobójstwo, bo nie mogli pogodzić się z tym, że mają syna zombie, albo że upozorowali własną śmierć, by nie musieć się mną dłużej opiekować.

Niektóre spekulacje dotyczyły również mnie.

Spędziłem ostatnie trzy miesiące uwięziony w piwnicy rodziców, gdzie byłem wykorzystywany seksualnie przez nekrofilów.

Moje organy wewnętrzne zostały sprzedane jeden po drugim, bo rodzicom brakowało na heroinę.

Rodzice obcięli mi genitalia i trzymali je w słoiku, bo wierzyli, że pomoże im to wygrać na loterii.

Cóż, łatwo jest naprowadzić media na historię, ale nie sposób dopilnować, by zrelacjonowały ją zgodnie z prawdą.

A ponieważ historie wymyślane przez tabloidy zawsze znajdują większą wiarę u publiki niż prawda, zostałem wykreowany na tragicznego, sympatycznego zombie.

Nieludzki obiekt ludzkich uczuć.

Kultowego bohatera społeczeństwa, które boi się mnie i brzydzi.

Myślę o tym, jak to było, kiedy siedziałem na trawniku rodziców i kiedy pikietowałem przed kostnicą. I kiedy siedziałem na ławce w parku, próbując skłonić oddychaczy do myślenia, pokazać im inny punkt widzenia. Myślę o tym, jak byłem obszczywany i opluwany, bombardowany jedzeniem i obelgami, jak raz po raz Policja dla Zwierząt zgarniała mnie do schroniska i jak nic, co zrobiłem, nikogo nie obchodziło.

A teraz, ni stąd, ni zowąd - oto ja! Sławna postać.

Kiedyś myślałem, że zbawiciele i święci są dla wierzących. I dla tych, którzy nie

wierzą we własne siły i muszą wierzyć w coś lub kogoś większego, by znaleźć swoje miejsce na świecie. Ale teraz zdaję sobie sprawę, że nie każdy zbawca musi pochodzić z nieba. Nie każdy święty jest przykładem cnót.

Możecie sobie mieć waszego Jezusa Chrystusa.

Możecie sobie mieć waszego Mahometa.

Możecie sobie mieć waszego Krisznę, Konfucjusza lub Buddę.

Weźcie sobie waszego Martina Luthera i Gandhiego.

- Andy, jakie masz poglądy na temat głodu na świecie?

- Andy, wierzysz w życie po śmierci?

- Andy, jak to jest być sławnym?

Moim zbawcą okazały się amerykańskie media.

49

To niesamowite, jak ciasna może się zrobić klatka trzy na trzy, kiedy próbuje się do niej wbić cała ekipa telewizyjna ze swoim sprzętem.

- Potrzebuję więcej światła w tym kącie - krzyczy asystent produkcji. A może to oświetleniowiec. Albo jego pomocnik. Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że trochę się krepuję wystąpić w ogólnokrajowej telewizji z dziurą po kuli nad lewą brwią.

Poprosiłem dziewczynę od makijażu, żeby zamaskowała ją korektorem, ale reżyser chce podkreślić fakt, że jestem zombie, żeby widzowie mogli mi współczuć, żeby mogli wczuć się w moje cierpienie. A ja w tej chwili cierpię głównie przez to, że mam w czole dziurę, która wygląda jak największy wąż świata.

Jakby tego było mało, makijażystka nakłada mi za dużo podkładu, a korektor, którego użyła, ma nieodpowiedni odcień dla mojej cery. A przez róż wyglądam jak klaun Bozo. Próbuję jej to wyjaśnić, ale mnie ignoruje, więc już nie mówię jej, że używa za twardej gąbeczki.

Wokół klatki kłębi się widownia, składająca się z wolontariuszy TPO, policjantów, lokalnych reporterów, zaproszonych gości i paru VIP-ów, wśród których jest burmistrz Santa Cruz. Ciągłe się rozglądam, szukając w tłumie Rity, Jerry'ego czy kogokolwiek z grupy, ale widocznie nie dali rady przyjść.

Przed schroniskiem demonstranci wykrzykują swój sprzeciw wobec mojej egzystencji.

- Zombie to nie ludzie!

- Śmierć nieumarłym!

I moje ulubione:

- Wracaj do swojej trumny!

Jakbym był wampirem. Błagam. Proszę nie mieszać pojęć.

Mój osobisty opiekun, Scott, podchodzi do mnie i mówi, że Beringer podarował mi właśnie kilka skrzynek swojego najlepszego Private Reserve Cabernet Sauvignon rocznik 2001. Gdzie mają je dostarczyć? Mówi mi też, że znowu dzwoni Kate Couric i pyta, czy teraz mogę z nią porozmawiać.

- Nie mogę - odpowiadam. - Zaraz wchodzę na żywo u Larry'ego Kinga.

Przez ostatnie trzy dni za pośrednictwem satelity wystąpiłem w paru programach na żywo. Howard Stern powiedział mi nawet, żebym wrócił do niego z Ritą, kiedy już zostaną oczyszczony z zarzutów zamordowania rodziców, bo zawsze chciał mieć w swoim programie seks zombie na żywo. Odpowiedziałem mu, że się nad tym zastanowię.

- Okej, ludzie - mówi reżyser. A może to asystent produkcji? Wiem tylko tyle, że mam na twarzy grubszą tapetę niż Elizabeth Taylor w *Kleopatrze*. - Mamy trzy minuty do wejścia na wizję, więc za dwie wszyscy muszą być na miejscach i gotowi.

Czuje, że podkład i puder zalepiają mi skórę, ale makijażystka nakłada więcej i więcej. A na dodatek pędzluje w złym kierunku. A z tym linerem do oczu wyglądam jak dziwka z Las Vegas. Przychodzi mi do głowy, żeby ją ugryźć, ale pewnie wtedy z wywiadu u Larry'ego Kinga byłyby nici.

Z początku wszystkie wiadomości i talk-show chciały robić ze mną wywiady ze względu na otaczający mnie szum i powiew świeżości, jaki wniosłem na medialną scenę. Nawet jeśli nieumarli są uważani przez masy za zagrożenie dla zdrowia i uciążliwy problem społeczny, wywiad z zombie zapewnia wysoką oglądalność. Więc nikt nie chciał zostać w tyle.

Ale kiedy Amerykańska Unia Wolności Obywatelskich złożyła pozew zbiorowy w imieniu nieumarłych, twierdzących, że ich prawa obywatelskie są deptane od dziesięcioleci, zacząłem dostawać telefony od „Newsweeka” i „Rolling Stone”, Matta Lauera i *FOX news*. Jakbym kiedykolwiek chciał zrobić wywiad dla FOX-a. Są mniej więcej tak samo bezstronni i obiektywni jak imprezka Ku-Klux-Klanu.

Zresztą Ku-Klux-Klan, Amerykańskie Stowarzyszenie Motocyklistów, Amerykańska Federacja Związków Zawodowych, Partia Republikańska i dziesiątki grup religijnych

sprzymierzyły się, by walczyć przeciwko Amerykańskiej Unii Wolności Obywatelskich i jej twierdzeniom, że my, nieumarli, jako byli oddychacze, jesteśmy pozbawiani prawa do życia, wolności i własności bez rzetelnego procesu.

Kłania się moja petycja.

Oczywiście prawo do życia i wolności nie obejmuje prawa do konsumpcji ludzi, ale nie można przecież oczekiwać, żeby zombie i oddychacze mieli jednakowe poglądy na każdą kwestię.

- Dwie minuty, ludzie!

Choć większość konserwatywnych organizacji stanęła po drugiej stronie barykady, istnieją precedensy, które dowodzą słuszności pozwu Amerykańskiej Unii Wolności Obywatelskich. Przecież Afroamerykanie byli kiedyś uważani za własność, nie za istoty ludzkie. Owszem, nieumarli nigdy nie byli niewolnikami, ale trudno tu nie dostrzec analogii.

Jesteśmy dyskredytowani przez klasę, która uważa nas za istoty podrzędne.

Jesteśmy wykorzystywani do celów rozrywkowych i naukowych.

Często jesteśmy wieszani i torturowani dla zabawy.

A porównanie z trudnym położeniem Afroamerykanów to tylko początek.

Do diabła, jeszcze niecałe sto lat temu kobiety nie miały nawet prawa głosu. W latach czterdziestych Amerykanie pochodzenia japońskiego byli internowani w obozach. Potem przysłała bitwa o prawa obywatelskie gejów i lesbijek. A na początku wieku, po WTC, prześladowani i piętnowani byli muzułmanie.

Zombie to tylko najnowsze ogniwo w długim łańcuchu tych, którzy byli uciskani przez rządzące elity. Oczywiście to nigdy nie przeszkadzało mniejszościom dyskryminować nas na równi z większością, co ma mniej więcej tyle sensu, co filmy Davida Lyncha.

- Minuta!

Dziewczyna zdejmuję mi śliniak do makijażu, światła zostają poprawione po raz ostatni, a potem wszyscy zajmują miejsca i reżyser krzyczy, żeby byli cicho.

Mam na sobie zieloną, jedwabną koszulę z krótkim rękawem, brązowe bawełniane spodnie i czarne, włoskie półbuty. Przy tych wszystkich reflektorach w klatce robi się ciepło i zaczynam się pocić. Mam nadzieję, że naleśnik makijażu, który naklejono mi na twarz, nie zjedzie mi na kolana. Przynajmniej dopóki ktoś nie zechce mi podarować prakko-suszarki.

Przy pierwszych kilku wywiadach denerwowałem się jak dzieciak idący do nowej szkoły albo nastolatek, który zaraz zobaczy pierwszą w swoim życiu parę prawdziwych piersi. Teraz to już rutyna.

Odfajkować i dalej jazda!

Następny!

Do licha, musiałem odrzucić prośby o wywiad w ESPN i *60 Minutes* tylko dlatego, że nie miałem czasu. Wszyscy chcą uszczknąć kawałek mnie. Stałem się chłopcem z plakatu walki o prawa zombie.

- Okej, wchodzimy za dziesięć, dziewięć, osiem...

Z tego, co mi mówiono, programy, w których się pojawiaam, mają lepszą oglądalność niż niedzielna msza. Oczywiście nie dostaję za te wywiady żadnych pieniędzy, bo ciągle nie mam numeru ubezpieczenia społecznego. Ale nagłośnienie sprawy też się liczy.

Na trzy, dwa, jeden...

50

Dzwonki sań, czy je słyszysz?

Pod płozami śnieżek błyszczą...

Niespieszny, szorstki bas Louisa Armstronga wypełnia klatkę, wypływając z głośników mikrowieży Sony, подарowanej mi przez miejscowy oddział sieci Best Buy. Osobiście wolałbym *Świąteczną kolekcję Elvisa*, ale Rita uwielbia stary jazz.

Leży zwinięta obok mnie pod kołdrą z gęsiego puchu, na mojej dwuosobowej rozkładanej sofie. Nie ma na sobie nic i właśnie taką lubię ją najbardziej.

Wszystkie kamery, bandy reporterów i ekipy telewizyjne zniknęły, podobnie jak większość personelu schroniska. Władze okręgu wynajęły dodatkową ochronę, by trzymać na dystans demonstrantów, łowców autografów i kandydatów na członków bractw studenckich, więc dałem mojemu osobistemu opiekunowi wolne. Ostatecznie jest Wigilia.

Jakoś nie tak wyobrażałem sobie ten przedświąteczny wieczór. Ani sześć miesięcy temu, ani nawet dwa tygodnie temu - bo tak długo jestem tu już zamknięty. Przy całym tym zainteresowaniu mediów, jakim cieszyłem się przez ostatni tydzień, nie mogłem zdobyć działki mięsa z oddychacza, więc Rita przygotowała mi na wigilijną kolację specjalny posiłek - krostki z ziemniakami i oddychaczem, w pysznym koperkowym sosie. Owszem, musiała przygotować krostki u Iana, a potem przesznułować je tutaj, więc po podgrzaniu w mikrofalówce nie były już tak świeżutkie, jak powinny, ale przecież nie mogę narzekać.

Sięgam do talerza obok łóżka i biorę sobie kawałek kandyzowanego oddychacza,

którego nasmażyła mi Leslie, i popijam Churchill 1985 Vintage Port. Proponuję jedno i drugie Ricie, ale ona odmawia bez słowa. Przez prawie cały wieczór jest dziwnie milcząca i zamyślona. Dwa razy pytałem ją, co się dzieje, ale twierdzi, że wszystko jest w porządku.

Głaszczę ją po włosach, kiedy leży z głową na mojej piersi. Satchmo ustępuje miejsca Judy Garland z jej wersją *Give Yourself a Merry Little Christmas*.

- Chcesz się zabawić? - pytam.

Nic. Nie głaszczę nawet mojej dziury po kuli, która nareszcie zaczęła się goić.

- Andy - mówi w końcu. - Tęsknisz za swoją córką?

Nie jest to raczej łóżkowy żarcik, na jaki miałem nadzieję. Z pewnością seks mam z głowy na najbliższą godzinę, ale chyba warto się zastanowić.

Czy tęsknię za Annie?

Powinienem. Ostatecznie są święta. A wiara Annie w Świętego Mikołaja była tak magiczna, że o mało sam w niego nie uwierzyłem. Ale przez ostatnie dwa tygodnie nie pomyślałem o niej ani razu. I tak jest lepiej, naprawdę. Dla niej i dla mnie. Chociaż kiedy Larry King zadał mi to samo pytanie, skłamałem. Przecież Annie mogła to oglądać. Nie chciałem, żeby pomyślała, że jej ojciec jest potworem.

- Nie. Nie tęsknię za Annie. Dlaczego pytasz?

Żadnej odpowiedzi. Nawet wzruszenia ramion.

W części dla psów jeden z lokatorów wydaje z siebie pojedyncze, smętne wycie, i milknie.

- A za rodziną? - pyta Rita.

Ciekawe, do czego zmierza.

Za rodziną? Za którą rodziną? Czy tęsknię za Rachel i Annie? Kiedyś tęskniłem, ale oplakałem już je obie i ruszyłem dalej. Oczywiście gdybym myślał o nich wystarczająco długo i intensywnie, potrafiłbym przywołać poczucie straty, może nawet łzy, ale po co? Nawet Oprah mnie do tego nie zmusi.

Czy tęsknię za matką i ojcem? Cóż, to pewnie zależy od tego, jak się zdefiniuje tęsknotę.

Czy tęsknię za jawną pogardą ojca? Czy tęsknię za zimną miłością matki? Czy może tęsknię za ich smakiem w schłodzonym sosie czosnkowym?

Nie. Nie. I tak.

- To chciałaś wiedzieć? - pytam.

Judy w odtwarzaczu oddaje pole żartobliwemu wykonaniu *Baby It's Cold Outside* Franka Loessera.

Taak... Zrobiło się jakoś chłodno.

- O co ci właściwie chodzi? - dociekam.

Czy czuje się zagrożona przez mój poprzedni związek? Chce wyjść za mąż? Planuje zabić i zjeść swoją matkę?

Kiedy nie odpowiada, chwytam ją delikatnie za podbródek i odwracam jej twarz w moją stronę. W jej oczach błyszczą łzy, ale nie potrafię powiedzieć, czy jest szczęśliwa, czy smutna. Chyba gdzieś pośrodku. Jakby to, o czym myśli, jednocześnie ją niepokoiło i cieszyło.

Po kilku chwilach podnosi się z mojej piersi i podpira na łokciu. Jej oczy są na jednym poziomie z moimi. Myliłem się. Nie ma w nich smutku. Tylko radość.

- Jestem w ciąży.

51

Na tablicy jest napisane:

„Witaj w domu, Andy!”

A poniżej:

„Sylwester u Jerry'ego - przynieś własny prowiant”.

Chodzi oczywiście o własnego oddychacza.

Jeszcze dwa tygodnie temu Jerry może nie musiałby być taki tajemniczy, ale od kiedy wyszedłem ze schroniska, wszędzie łażą za mną paparazzi, więc musimy zachować odrobinę zdrowego rozsądku.

Helen i Leslie podchodzą, żeby mnie uściskać, a Naomi całuje mnie nawet w policzek. Jerry przybija mi piątkę z entuzjastycznym „Ziom!” Carl się uśmiecha i wita mnie skinieniem z drugiego końca sali. Tom podchodzi do mnie i ściska mi dłoń swoją krótką, kudłatą kończyną, a potem ściska mnie i wybucha płaczem.

- Ja też za tobą tęskniłem - mówię.

Dzień po Bożym Narodzeniu policja zlokalizowała bmw moich rodziców, tuż przy morskim brzegu, na południe od Big Sur. Chociaż nie było ciał, znaleźli wystarczająco dużo dowodów, by potwierdzić moją wersję, że rodzice jechali szosą wzdłuż wybrzeża do Palm Springs, gdzie mieli się zatrzymać w swoim letnim domu. Więc mnie wypuszczono.

Muszę przyznać, że miło być na wolności i zobaczyć się ze wszystkimi, chociaż trochę tęsknię za schroniskiem - wyzerką, winem, kobietami proponującymi seks. Nieczęsto ma się okazję poegzystować w takich warunkach, bez żadnej odpowiedzialności. Czułem się trochę jak na studiach, tyle że z dodatkową atrakcją w postaci ogólnokrajowego rozgłosu.

I z osobistym służącym.

Chociaż śledztwo w sprawie zaginięcia moich rodziców nie zostało oficjalnie zamknięte, policja wydała wstępne oświadczenie, że zginęli w wypadku, dzięki czemu mogłem wyjść do domu. Z formalnego punktu widzenia nie można mnie było wypuścić bez opiekuna, więc Ian podpisał papiery adopcyjne. Nie żebym koniecznie potrzebował jego pomocy. Ponad tuzin oddychaczy - same singielki albo rozwódki po czterdziestce - zgłosiły chęć wzięcia mnie pod opiekę.

Niezależnie od ich motywów - współczucia, desperacji czy zboczonych fantazji - pochlebia mi to. Miło jest być chcianym, nawet jeśli chcą mnie ci sami ludzie, którzy jeszcze wczoraj mną pogardzali. Ale mam teraz bardziej odpowiedzialne zadania niż karmienie własnego ego.

Kiedy Rita usadawia się na krześle, upewniam się, czy jest jej wygodnie, i pytam, czy czegoś nie potrzebuje. To dopiero piąty tydzień, ale skakanie wokół niej sprawia mi przyjemność. A poza tym, mimo całej tej pozytywnej reklamy, jaką ostatnio cieszą się nieumarli, znalezienie ginekologa położnika, który zechce się nią opiekować i utrzymać jej ciążę w tajemnicy, jest mało prawdopodobne. Więc musimy być podwójnie ostrożni.

Ruch na rzecz obywatelskich praw dla zombie stworzył społeczny odpowiednik tornado, które pędzi przez kraj i wrywa dziury w kulturowej tkance. Prokreacja wśród zombie obudziłaby huragan piątej kategorii.

Ale przecież nie możemy czekać, aż społeczeństwo dorośnie do naszych potrzeb. Rita i ja musimy myśleć o przyszłości - o funduszach emerytalnych, o oszczędnościach na college. I czy używać pieluch tetrowych czy jednorazowych. Ale przede wszystkim musimy jakoś zarabiać na życie.

Moja druga wizyta w Urzędzie Ubezpieczeń Społecznych nie poszła wiele lepiej niż pierwsza, tyle że tym razem do mnie nie strzelano. A ochroniarz Gary przeprosił mnie i spytał, czy nie podpisałbym mu się na kaburze. Kiedy zapytał, gdzie się podziały moje rany po kulach, odparłem, że mam dobrą wizażystkę.

Coraz trudniej jest ukrywać to, że zdrowieję, więc musiałem ograniczyć jedzenie oddychaczy. Nie trzeba chyba mówić, że jestem przez to trochę drażliwy.

A do tego ciągle nie udało mi się odzyskać numeru ubezpieczenia społecznego.

Nie wiem, czego się spodziewałem. Zmiany społeczne nie zachodzą z dnia na dzień. Ale biorąc pod uwagę, jakie postępy zrobiliśmy przez ostatni tydzień, niemożność zarabiania na utrzymanie rodziny jest dla mnie wielkim rozczarowaniem. A przy tych wszystkich wywiadach, na które poumawiali się ze mną Letterman, Leno i Oprah, nie mogę nie myśleć, ile pieniędzy przechodzi mi koło nosa.

Rita mówi, żebym się nie martwił, że wszystko się ułoży, że nagłośnienie sprawy zombie jest ważniejsze niż wszelkie straty finansowe, ale ja zwyczajnie czuję się wykorzystywany. I nic na to nie poradzę.

- Okej, kochani, usiądźcie proszę - mówi Helen. - Mamy dziś do omówienia mnóstwo ważnych spraw, więc zaczynamy.

Helen wyciera zdania na tablicy i pisze temat dzisiejszego spotkania:

„Jak sobie radzić z mediami”.

Naomi i Carl mają zaklepany występ u Conana O'Briena, Jerry promuje swoją Kaplicę Sykstyńską w *Daily Show*, a Tom ma być pierwszym uczestnikiem *Ekstremalna metamorfoza. Edycja zombie*. Zack i Luke zostali poproszeni o udział w kolejnym odcinku *Nieustraszeni. Pojedynek z potworami*.

Ja bym obstawiał raczej potwory.

Jak Ameryka długa i szeroka, zombie pojawiają się w programach telewizyjnych, w gazetach i reklamach, zachwalając wszystko, od domów pogrzebowych po dezodorant. Kilka firm zaczęło nawet sprzedawać lalki Action-Zombie, karty do wymiany, a nawet koszulki z napisem „Masz zombie?” Słyszę, że McDonal'ds zaczął sprzedawać nowy Happy Meal z zabawkami zombie.

Spodziewamy się, że zombie w charakterze maskotek popkultury lada moment się znudzą, ale nigdy nic nie wiadomo. Myślałem, że z przeróżnymi reality show też tak będzie, ale teraz jest ich ponad sześćdziesiąt, od *Amazing Race* po najnowszy i zdobywający popularność *Życie zombie*. Kto to wie? Może za pięć lat będę miał własny talk-show.

Ale czy mi za to zapłacą?

- Andy - mówi Helen - zechcesz poprowadzić spotkanie?

Wstaję i podchodzę do tablicy, a potem odwracam się przodem do grupy. Jerry, Beth, Tom i Naomi biją brawo, Carl i Leslie się śmieją, a Rita puszcza do mnie oczko i patrzy z czułością. To wszystko doprowadza mnie niemal do łez. Pierwszy raz zwracam się do grupy na spotkaniu bez konieczności używania pomocy naukowych.

Patrząc na nich wszystkich, przypominam sobie pierwszy raz, gdy przyszedłem na spotkanie AN, w sierpniu, kiedy dopiero wychodziłem z szoku po tym, co się stało. Wtedy

było nas tylko pięcioro: Helen, Naomi, Carl, Tom i ja. Przyszłość wyglądała ponuro. Nikt w nic nie wierzył.

Teraz trudno sobie wyobrazić wszystko, co wydarzyło się od tamtej pory. Mimo potencjalnych przeszkód, jakie wciąż są przed nami, to ta ślepa, wyboista droga, którą podążaliśmy, zmieniła się nagle w nową szosę, we wstęgę asfaltu rozciągającą się od naszej teraźniejszości aż po horyzont, a na jej końcu leży nowa egzystencja.

To klasyczna historia o cierpieniu i odkupieniu, jak *Kolor purpury* i Nowy Testament. Tyle że z kanibalizmem.

52

Zaczynam myśleć, że potrzebuję ochroniarza.

Coraz częściej ludzie wydzwanają do mnie z pogrózkami, zwykle obiecując powyrywać mi ręce czy odesłać do piekła, gdzie moje miejsce. Standard. Ale czasami dzwonią kobiety i grożą mi przeróżnymi aktami seksualnymi, z wykorzystaniem oderwanych pewnych części ciała. Chociaż właściwie to chyba zawsze ta sama kobieta.

Najwięcej kłopotu sprawiają mi entuzjastyczni łowcy autografów. Chcą, żebym podpisywał zdjęcia, piersi i kopie *Wysypu żywych trupów*. Nie raz i nie dwa musiałem wzywać policję, żeby ich przepędziła. Co za ironia losu.

Chociaż Ian jest moim prawnym opiekunem, władze pozwoliły mi wrócić do domu rodziców aż do ostatecznego ustalenia przyczyny ich śmierci. Zgodnie z ich testamentem, którego jakoś nie zdążyli zmienić, kiedy umarłem, jestem jedynym spadkobiercą, więc to nie jest tak, że mieszkam tu nielegalnie. Mimo to muszę się meldować u Iana raz na tydzień, a on ma mi robić niezapowiedziane wizyty, żeby zachować pozory stosunków opiekun - podopieczny. Głównie chodzi o zadowolenie władz, ale na razie chyba nikt się tym nie przejmuje. Jestem celebrytą.

Siedzę w gabinecie ojca i przeglądam plik próśb o wywiad, o wyrażenie poparcia i scenariusz oparty na moich wspomnieniach, na razie jeszcze niespisanych. Zack wchodzi, żeby mi powiedzieć, że dzwoni Steven Spielberg i pyta, czy byłbym zainteresowany wzięciem udziału w jego najnowszym projekcie. I czy mogę się z nim spotkać.

To już trzeci telefon od Spielberga. I już mu powiedziałem, że dam radę się z nim

spotkać dopiero po feriach. Mimo to podziwiam jego upór. Proszę więc Zacka, żeby zapisał numer, a potem proszę Luke'a, żeby sprawdził mój terminarz na najbliższy miesiąc. Przypominam mu też, żeby odebrał moje pranie.

Zack i Luke wprowadzili się do mnie dzień po moim wyjściu ze schroniska. Z początku po prostu chciałem im dać dach nad głową, ale okazało się, że obydwaj mają nieprawdopodobne zdolności organizacyjne i świetnie się nadają na sekretarki.

W świetle prawa nie mogę mieszkać z innymi zombie, ale skoro Amerykańska Unia Wolności Obywatelskich i kilka innych wpływowych organizacji broniących praw obywatelskich wywierają naciski, odpowiedzialne za mnie władze wołają patrzeć na to przez palce. W tej sytuacji nie widzę żadnego powodu, żeby składać odpowiednie dokumenty. A poza tym sąsiedzi się nie skarżą.

Przez pierwsze miesiące po tym, gdy wstałem z martwych i zamieszkałem u rodziców, wartość nieruchomości na naszej ulicy spadła o ponad dwadzieścia procent. Nikt nie chciał mieszkać koło zombie. Ale od mojego pierwszego wywiadu cena nieruchomości w całej okolicy poszła w górę i teraz jest już ponad piętnaście procent wyższa niż sześć miesięcy temu. Przez ten krótki czas, od kiedy jestem w domu, co najmniej dwójka moich sąsiadów musiała się opędzać od potencjalnych kupców, którzy proponowali niemal dwa razy więcej niż średnia cena w okręgu.

Dwa tygodnie temu strzelał do mnie ochroniarz i wylądowałem w klatce schroniska TPO. Teraz jestem sławny. Wszyscy jesteśmy. Wyniesieni do grona gwiazd mocą Internetu i telewizji kablowej. Opakowani i sprzedani publiczności w nowym, błyszczącym pudełku z kolorową kokardą.

Niesamowite, jaki wpływ na twój status może mieć odrobina pozytywnej reklamy.

Wbrew wszelkim negatywnym mitom, które przez dziesięciolecia narosły wokół nieumarłych, nagle staliśmy się dobrodziejstwem dla rynku nieruchomości, dla przemysłu rozrywkowego i miejscowej ekonomii. Turyści z całego wybrzeża i z gór zlatują się zobaczyć słynnych zombie z Santa Cruz. I pompują forszę w miejscowe restauracje, hotele i butikiki sprzedające najmodniejsze zombie-ciuchy.

Oczywiście, przyjazd do miasta całych rzesz obcych ma też ciemne strony, od utrudnień w ruchu kołowym poprzez zwiększenie liczby pijanych na ulicach po wzrost przestępczości. Ale przynajmniej ograniczamy populację bezdomnych.

No właśnie, miałem iść na zakupy spożywcze. Ale najpierw mam telefon od Jessego Jacksona na drugiej linii.

- Czego szukasz, Andy? Czego pragniesz?

Oglądam się w telewizji, w wywiadzie u Oprah Winfrey, i myślę, że powinienem był założyć coś, w czym nie wyglądałbym tak blado.

- Równości - mówi telewizyjna wersja mnie. - Chcemy mieć takie same prawa jak oddychacze.

Reakcja publiczności jest bardziej w stylu Jerry'ego Springera niż Oprah - kobiety i mężczyźni wykrzykują swoje zdanie i plują obelgami. Niemal spodziewam się, że ktoś złapie krzesło i rzuci we mnie.

Nie muszę oglądać do końca, żeby wiedzieć, co się stanie. Choć całkiem spora grupa osób na widowni wyraża poparcie dla mnie i dla mojej sprawy, to większości nie podoba się moja odpowiedź. Kilka osób wyraża swoje obiekcje dość gwałtownie i wyprowadza ich ochrona. Jeden z tych ludzi rzuca surowe jajko, które nie trafia we mnie i eksploduje na czole Oprah.

Wcale się nie dziwię, że wycięli ten fragment.

Przełączam na CNN, gdzie grupa politycznych, naukowych i społecznych „ekspertów” dyskutuje na temat niekorzystnych efektów zdrowotnych, jakie miałyby pozwolenie nieumarłym na zadawanie się z żywymi.

- Wciąż nie mamy żadnych konkretnych danych, które dowodziłyby, że nieumarli jako gatunek stanowią zagrożenie dla żywych - mówi prowadzący.

- Słucham? - odzywa się analityk polityczny. - To są zombie. Jedzą ludzkie mięso. Nie widział pan *Świtu żywych trupów*?

Debata rozłązi się w dyskusję na temat „Hollywood kontra rzeczywistość”, więc przerzucam się na MTV, gdzie leci właśnie reality show *Prawdziwy świat. Zombie w domu*, przedstawiający dom pełen oddychaczy mieszkających z zombie.

- On śmierdzi - mówi jeden z domowników. - Gorzej niż śmieci. Nie potrafię tego nawet opisać.

- Trochę jak podgrzane, stare rzygi - mówi drugi.

- Tak. Tylko gorzej. I ciągle wypija mi szampon. Wiesz, ile kosztuje dwieście pięćdziesiąt mililitrów Paula Mitchella?

Włączam *BBC World News* i oglądam raport o zombie w Rzymie, którzy awanturują

się pod Watykanem, bo odmówiono im wstępu. Wybuchły zamieszki. Z CNBC dowiaduję się o masowym dekapitowaniu zombie na Bliskim Wschodzie. Relacja z Niemiec pokazuje grupkę oddychaczy tańczących wokół płonącego ciała niezidentyfikowanego zombie.

Na wszystkich kanałach, na wszystkich programach nieumarli są omawiani, opluwani i unicestwiani. Choć oczywiście spodziewałem się nieuniknionej negatywnej reakcji na naszą obecność w mediach i naszą walkę o prawa obywatelskie, nie sądziłem, że to przyjdzie tak szybko. I tak gwałtownie.

Nasze prawo do egzystencji, do dążenia do życia, wolności i szczęścia jest dyskutowane, podważane i odrzucane - politycznie, społecznie, filozoficznie. Nawet na sportowym polu.

Oglądam właśnie reportaż o futboliście z college'u w Miami, który zasłabł i zmarł na treningu. I został wykluczony z drużyny.

- Ja nie chcę nikogo zjeść - mówi. - Ja chcę tylko grać w futbol.

Nie muszę słuchać prognoz prowadzącego na temat jego szans powrotu do drużyny, żeby znać odpowiedź.

Skaczę po kanałach, szukając programu, reportażu czy choć reklamówki, która pokazywałaby zombie w pozytywnym świetle, ale wszędzie znajduję ten sam przekaz, powtarzany w kółko. Nie jesteśmy ani trochę bliżej zyskania akceptacji społecznej.

Wydaje się wręcz, że ta możliwość oddala się coraz bardziej. Zanim zaczęliśmy walczyć, byliśmy przynajmniej tolerowani. Owszem, zdarzały się czasem rozczłonkowania czy przejażdżki po mieście na sznurku uwiązany do zderzaka, ale w większości przypadków oddychacze starali się udawać, że nie istniejemy. Trochę jak bezdomni.

Albo choroby weneryczne.

Teraz przypomniałem wszystkim o naszej obecności, pokazaliśmy, że mamy głos, i ludzie nie są z tego zadowoleni. To nie tak, że nie chcą nas słuchać. Raczej są wściekli, że mieliśmy czelność się odezwać.

- Oni są jak zwierzęta.

- Pitbulle z przeciwnym kciukiem.

- Nie są ludźmi.

W *Fox News Report* jakaś gadająca głowa wyraża swoją uczciwą i bezstronną opinię na temat zombie. W następnej chwili na ekranie nad jego ramieniem pojawia się moja twarz. Po sekundzie ekran dzieli się na pół i z telewizora gapi się na mnie mój terapeuta.

To dziwaczne widzieć twarz Teda na ekranie. Przywykłem oglądać go w sztucznym świetle, zerkając na niego kątem oka przez ramię. Ale na pięćdziesięciopięciocalowym,

płaskim telewizorze rodziców, umalowany, podkolorowany i wyostrzony Ted jest jeszcze bardziej plastikowy, bardziej sztuczny i bardziej bezzmarszczkowy. Może to kwestia makijażu scenicznego i oświetlenia. Chyba że zafundował sobie kolejny kwasowy peeling.

Na początku Ted mówi o tym, jak to jest udzielać zombie pomocy psychologicznej. Musiał to wyczytać w jakiejś książce, bo przecież mnie nigdy nie pomagał. Truje tak przez dwie minuty, i już mam zmienić kanał, kiedy zaczyna mówić o mnie, o wszystkich naszych sesjach - jak pachniałem, jak chodziłem, jak musiałem pisać wszystko na tablicy.

I dociera do mnie, że mogę mieć poważne kłopoty.

On gada dalej, dzieląc się z widzami wszystkimi szczegółami naszych spotkań - mówi o mojej rozpaczce, o poczuciu winy, o poczuciu beznadziei. A potem opowiada, jak to wszystko się zmieniło, jak to nagle stałem się bardziej pewny siebie, bardziej bojowy, bardziej niezależny.

Gdzie się podziała tajemnica lekarska?

Zastanawiam się, jak wielkie problemy mogą z tego wyniknąć. Czy powinienem zadzwonić do Iana. Czy może zwołać konferencję prasową. Czy da się jakoś rozbroić tę bombę, zanim wybuchnie mi w twarz.

Zastanawiam się, czy nie mógłbym rozegrać tego w ten sposób, że udawałem przez te wszystkie miesiące. Grałem rolę wzorcowego zombie. Prowadziłem coś w rodzaju eksperymentu psychologicznego.

Patrzę na Teda, z jego zadowolonym uśmieszkiem, z jego głupim złotym kółkiem w uchu i z ufarbowanymi włosami, jak się wywnętrza na mój temat, i przychodzi mi do głowy...

Może jest inne rozwiązanie.

54

Ted patrzy na mnie z tym swoim wymuszonym, sztucznym uśmiechem. Minał ledwie miesiąc, od kiedy widziałem się z nim ostatni raz, ale zdaje się, że wybielił sobie zęby.

- Cześć, Andy - mówi. - Jaka miła niespodzianka.

Niespodzianka? Tak.

Miła? Tak miła, jak miłe może być rodzenie kamieni nerkowych.

W gabinecie Teda nie ma nikogo więcej. Recepcjonistka poszła do domu. Jego ostatni

pacjent wyszedł dziesięć minut temu.

- Co porabiałeś? - pyta.

- Byłem zajęty - odpowiadam.

Gapi się na mnie zza biurka, ciągle się uśmiechając. W końcu spogląda na telefon na biurku i na czerwony, cyfrowy zegar na ścianie.

...trzydzieści dziewięć... czterdzieści... czterdzieści jeden...

- Tak - odzywa się w końcu. - Widziałem cię w telewizji. Zdaje się, że twoje zdrowie bardzo się poprawiło.

- Po prostu odpowiednia dieta.

Uśmiech Teda przygasa, w kącikach jego ust pojawia się kilka zmarszczek. Pewnie już pora na comiesięczną działkę botoksu.

- No więc - mówi, przetykając ślinę. - Co mogę dla ciebie zrobić, Andy?

- Miałem nadzieję, że będziemy mogli porozmawiać.

Wydaje z siebie coś pomiędzy kasznięciem a nerwowym śmiechem.

- Jasne. - Sięga przez biurko i bierze wizytówkę. - Zadzwoń jutro do Irene, to umówi nas na...

- Miałem nadzieję, że będziemy mogli porozmawiać teraz.

Ted siedzi z wyciągniętą ręką i z wizytówką w trzęsącej się dłoni. Uśmiecha się tak szeroko, że niemal słyszę, jak strzelają mu koronki.

- To... gabinet jest już zamknięty - protestuje słabo. - Może przyjdziesz...

- Potrzebuję tylko kilku minut.

Ted spogląda na zegar, mając pewnie nadzieję, że jeśli będzie nań patrzył wystarczająco długo, to moje kilka minut się skończy i po prostu sobie pójdę.

...dwadzieścia dwa... dwadzieścia trzy... dwadzieścia cztery...

Głośno przetyka ślinę.

- To jakiś problem? - pytam.

Ted się odwraca, żeby na mnie spojrzeć, potem przesuwa wzrok na otwarte drzwi prowadzące do poczekalni. Nie umiem czytać w myślach, ale zgaduję, że Ted się zastanawia, czy uda mu się wyskoczyć zza biurka i dotrzeć do drzwi, zanim go dopadnę.

- Nie - odpowiada, wstając. - To żaden problem.

- Świetnie - mówię. Podchodzę do drzwi i je zamykam.

Ted zamiera z tyłkiem uniesionym nad krzesłem.

- Co robisz?

- Dbam o poufność naszego spotkania - odpowiadam. - Przecież chyba obowiązuje cię

tajemnica lekarska, prawda?

Ted nic nie mówi. Stoi tak, z drżącymi wargami, w połowie drogi do pozycji stojącej.

Postarałem się, żeby w drodze do Teda zgubić paparzzich. I o ile wiem, nikt nie widział, jak wchodzę do budynku.

Jasne, że ryzykuję, łowiąc oddychacza o wysokiej pozycji społecznej zamiast miłego, soczystego bezdomnego, ale tak naprawdę nigdy nie wiesz, co znajdziesz na ulicy - marskość wątroby, narkomanię, wrzody na skórze i infekcje dróg oddechowych. A w przypadku Teda przynajmniej wiem, że o sobie dbał, nawet jeśli ma w sobie trochę sztucznych konserwantów.

Poza tym jest we mnie to pożądanie, ten zwierzęcy głód i potrzeba zemsty, których nie mogę zignorować.

Ted patrzy, jak podchodzę. W jego oczach widzę to szaleństwo i strach, które docenić może tylko drapieznik. Spogląda panicznie to na mnie, to na telefon, na drzwi i na okno, wiedząc, że ucieczka jest niemożliwa. Ale musi spróbować.

Zanim docieram na drugą stronę biurka, wykonuje swój ruch.

Wszystkie te bujdy o zombie, wszystkie te filmy, które ukazują nas jako powolnych, ociężałych łowców?

Bzdura.

Ruszamy się szybko. I jesteśmy nieustępliwi.

Nim Ted ma czas odbiec więcej niż dwa kroki od krzesła, jestem już za biurkiem i przyciskam go do podłogi. Kolanami przygniataam mu ręce, moje dłonie znajdują jego gardło. Otwiera usta, żeby krzyżeć, ale już zmiażdżyłem mu tchawicę.

Dieta ze świeżych oddychaczy dała mi niemal nadnaturalną siłę. Choć nie mogę rozrywać żywego ciała gołymi rękami, czuję się, jakbym mógł.

To trochę jakby brać sterydy i popijać koktajlem z amfy.

Kiedy zabijałem rodziców, działałem na zerwanym filmie i nie pamiętam dosłownie nic z tego, co się działo. I chyba jestem za to wdzięczny losowi. Nie chcę myśleć, że mordowanie ich sprawiło mi taką samą frajdę jak ta akcja. No... przynajmniej jeśli chodzi o matkę.

Ręce i nogi Teda szamoczą się chwilę. Mam ochotę się w niego wgryźć, poczuć jego mięso w ustach - ten przysmak, słodki i dekadentcki, ten pokarm bogów. Pokusa jest tak silna, że niemal czuję, jak to cudowne poczucie mocy spływa mi po gardle, wsącza się w moje żyły... Ale nie chcę narobić bałaganu. Kałuża krwi i strzępy ludzkiego ciała na podłodze wrzeszczą na cały głos „Atak zombie!” Poza tym dopiero co odebrałem koszulę z pralni.

Oczy Teda na mgnienie odnajdują moje, więc się uśmiecham.

- Jak się dzisiaj czujesz, Ted?

Coś mi się zdaje, że nie docenił dowcipu.

Odwraca oczy, jego usta otwierają się i zamykają, bezgłośnie pijąc powietrze. Jego szamotanina słabnie, głowa szarpie się ostatni raz, a ostatnie spojrzenie pada na zegar, na umykające sekundy jego życia.

...pięćdziesiąt siedem... pięćdziesiąt osiem... pięćdziesiąt dziewięć...

Przez chwilę jest mi go żal. Żal mi tego strachu, który czuje, życia, które traci, i że umiera w taki sposób. Ale ta chwila mija. Przecież mam rodzinę do wykarmienia.

55

Rita chodzi po salonie i podsuwa gościom pieczarki nadziewane oddychaczem i inne przekąski, a Jerry bawi się w didżeja, puszczając takie kawałki jak *Monster Mash*, *Werewolves of London*, *Thriller*, Johna Lee Hookera *Graveyard Blues* i wybór przebojów zespołu The Zombies.

- Jeśli jeszcze raz puści *Monster Mash* - mówi Carl - to przysięgam, że go podpalę.

Jest cała nasza paczka, z wyjątkiem Beth, której rodzice nie puścili na imprezę. Nie miało dla nich znaczenia, że Ian też będzie, jako oficjalny opiekun. Rodzice nie próbują chronić Beth przed potencjalną nielegalną działalnością zombie, ale przed demoralizującym wpływem Kaplicy Sykstyńskiej Jerry'ego.

Szkoda, bo ominęła ją niezła wyżerka. Grill, który urządziliśmy prawie miesiąc temu, ze swoimi prostymi potrawami nie umywa się do tej uczy. Oczywiście to dość częste, że imprezy zombie zwykle kończą się na szwedzkim stole pełnym smakowitych mięsnych dań, bez odrobiny warzyw czy słodczy. Dzisiejszy wieczór nie jest wyjątkiem - mamy tu pyszności do wyboru, począwszy od paluszków smażonych na głębokim tłuszczu, w pasztecikach i na kanapczkach, poprzez oddychacza a la bearnaise, po smażony ryż z oddychaczem. Na szczęście Zack i Luke przynieśli trochę kremu z mózdzku, więc nie musimy biec do sklepu po lody.

Wszyscy przynieśli oddychacza, więc jest oczywiste, że nie tylko ja ostatnio chodziłem na zakupy. I z tego, co mówią w wiadomościach, nie tylko ja to zauważyłem.

W ciągu ostatnich kilku dni zgłoszono zaginięcie pół tuzina oddychaczy z okręgu Santa Cruz, w tym również Teda. Oprócz mnie wszyscy goście twierdzą, że złapali swoich oddychaczy na ulicy. Jeśli pozostałych pięć zaginionych osób to naprawdę ofiary ataków zombie, to oznacza, że miejscowa populacja nieumarłych bardzo się ośmieliła.

Problem z byciem zombie w świecie oddychaczy polega na tym, że może zachwiać się równowaga między popytem a podażą. Jeśli w sklepie kończy się jakiś produkt, kierownik po prostu zamawia nową partię. Ale kiedy zaczyna maleć liczba oddychaczy, sprawa może być bardziej problematyczna.

A wygląda na to, że miejscowa populacja zombie zaczęła częściej chodzić na zakupy.

Czy ktoś może mieć im to za złe? Od dziesięcioleci żyliśmy w cieniu, byliśmy tłamszeni, zmuszani do pogodzenia się ze swoim miejscem w społeczeństwie. Teraz, dosłownie w ciągu kilkunastu dni, znaleźliśmy się na świeczniku, zostaliśmy podniesieni do rangi celebrytów, a to rozbudziło w nas pokusę, by poprawić swój status.

Ale o wiele większą pokusą jest siła, która przychodzi wraz ze świadomością, na co nas tak naprawdę stać - ze zrozumieniem własnego potencjału. Szlachetne dążenia i społeczna ewolucja nie mają szans w zestawieniu z nieśmiertelnością. A nieśmiertelność nie wchodzi w grę, kiedy dzięki mediom bez przerwy jest się na oczach całego kraju.

I to jest jeden z powodów, dla których Rita i ja postanowiliśmy wyjechać.

Nie ma takiej możliwości, by dziecko, które nosi Rita, przyszło na świat tutaj, gdzie wszyscy wiedzą, że jesteśmy nieumarłymi. Sprawa może być dość utrudniona, biorąc pod uwagę moją sławę. A wywiad, którego udzielił Ted, mógł wzbudzić poważne wątpliwości w związku z moją kondycją. Mimo iż ostatnio bardzo ograniczyłem konsumpcję oddychaczy, by odsunąć od siebie podejrzenia, to tylko kwestia czasu, zanim ktoś, kto widział wywiad, zacznie węszyć i dowie się że pożarłem rękę, która mnie karmiła. Kiedy to się stanie, zostanę unicestwiony razem z moimi marzeniami o rodzinie.

Ian załatwił Ricie i mnie fałszywe paszporty i bilety lotnicze do Szkocji, gdzie jego krewni pomogą nam zacząć na nowo i znaleźć sobie jakieś miejsce do mieszkania w górskiej dziczy. Dzicz jest tu słowem kluczowym. Chcemy znaleźć się w miejscu, gdzie nie ma telewizorów, turystów i ludzi z kamerami. Zastanawialiśmy się nad Montaną czy Wyomingiem, ale uznaliśmy, że lepiej będzie się wynieść całkowicie poza zasięg amerykańskich koncernów medialnych. Musieliśmy przyrzec Ianowi, że nie pozjadamy jego krewnych, co nie było wielkim wyrzeczeniem, bo nigdy nie byłem fanem szkockiej kuchni.

Oczywiście przed wyjazdem będziemy musieli podjąć pewne środki ostrożności, takie jak zmiana wyglądu zewnętrznego, co oznacza, że muszę jeść tyle oddychacza, ile się da, by

wyleczyć swoje rany, i trzymać się tak daleko od mediów, jak to możliwe. Ale poza tym odrobina makijażu, barwione szkła kontaktowe, fałszywe okulary, trochę farby do włosów, i powinno być dobrze.

Choć żadne z nas nie jest zachwycone perspektywą wyjazdu, zdajemy sobie sprawę, że nasze możliwości są mocno ograniczone. Jeśli tu zostaniemy, prędzej czy później wszystko się wyda. I coś czuję, że będzie to raczej prędzej niż później, Ian mówi, że paszporty powinny być gotowe w ciągu tygodnia. Potem tylko spakować walizki, spieniężyć tyle majątku rodziców, ile się da, i wsiąść do samolotu.

Powiedzieliśmy reszcie o ciąży Rity i o naszych planach wyjazdu. Wszyscy okazali nam wsparcie, wszyscy ucieszyli się naszym szczęściem i zasmucili rozstaniem. I wszyscy płakali. Nawet Carl. Więc choć to impreza sylwestrowa, jest też poniekąd przyjęciem pożegnalnym. Kończy się nie tylko egzystencja, jaką znaliśmy, ale też przyjaźń, jaka zawiązała się między nami wszystkimi podczas tylu wspólnych doświadczeń. Już wystarczająco trudno jest podtrzymać przyjaźń, mieszkając na dwóch różnych kontynentach. Ale kiedy zmieniasz tożsamość i zamierzasz udawać oddychacza, nawet korespondencyjna znajomość z zombie w starym kraju może być podejrzana.

Więc kiedy mijają ostatnie minuty starego roku, wszyscy bierzemy kieliszki i filiżanki i wznosimy toast, by uczcić nie tylko Nowy Rok, ale też to, jak wiele dla siebie nawzajem znaczymy i jak wiele osiągnęliśmy.

Nie jesteśmy sami.

Znaleźliśmy nasz cel.

Wszyscy jesteśmy ocalałymi.

Po toastach, kiedy ostatni kawałeczek oddychacza został już popity szampanem, udajemy się na Śmiertelne Tournee, by zainauguować Nowy Rok. Leslie zostaje z Ianem, żeby pomóc mu posprzątać, a Zack i Luke postanawiają wracać do domu i wcześniej się położyć, żeby jutro od samego rana móc się zająć układaniem mojego terminarza.

Muszę im dać podwyżkę.

Cmentarz Santa Cruz Memorial Park mieści się przy Ocean Street, niedaleko skrzyżowania autostrad numer 1 i 17. Nikt z nas nie ma tu żadnych krewnych czy przyjaciół, więc nigdy wcześniej tu nie zaglądaliśmy, ale ten cmentarz wydaje nam się dobrym miejscem na nowy początek. Albo koniec, zależy jak patrzeć.

Niebo jest czyste, księżyc dwa dni przed pełnią jest cudowny, cmentarz jest skąpany w jego świetle. Chwilami widzę nawet swój cień. Kiedy spoglądam na Ritę idącą obok mnie, jest niemal niezemska - jej twarz unosi się bezcielesnie w czarnej plamie kaptura bluzy. Od

czasu do czasu dostrzegam chmurkę jej oddechu w zimnym, styczniowym powietrzu.

- Ziom - mówi Jerry, który zauważył własny oddech i wydycha białe kłęby. - Patrz... jakbym dmuchał dymem z gandzi, a przecież nic nie paliłem.

- Naprawdę? - pyta Carl. - O mało mnie nie nabrałeś.

Tom i Naomi się śmieją. Trzymają się za ręce. Nie wiem, kiedy to się stało, ale na pewno dobrze zrobi Tomowi. Powinien kogoś bzyknąć. Ale Naomi pewnie czuje się dziwnie, kiedy on próbuje dotykać jej piersi tą krótką, kudłatą ręką.

Całą siódmką stajemy wokół dębu, rosnącego przy wschodnim krańcu cmentarza, i chwytamy się za ręce. Helen prosi nas o minutę ciszy dla uczczenia wszystkich tych zgubionych dusz, które trafiły do grobów przed wskrzeszeniem. Nie wyobrażam sobie, jak strasznie byłoby obudzić się w trumnie, w wykładanej aksamitem mahoniowej skrzyni, wrzeszcząc i łomocząc. I zastanawiając się, jakim cudem pochowali cię żywcem. Ciekawe, jak szybko taki ktoś orientuje się, co się stało. A może uważa, że przeżywanie własnego rozkładu jest normalne?

W trumnie, gdzie nie mają wstępu owady i zwierzęta, które przyspieszają rozkład, włosy, paznokcie i zęby zwykle odpadają w ciągu kilku tygodni. Po miesiącu czy dwóch upłynniają się tkanki. Niedługo potem wybucha jama brzuszna.

Podaję ci, że jeśli w takim momencie ciągle jeszcze myślisz i gadasz do siebie, to zaczyna ci świtać, że coś jest nie tak.

Ciała w trumnach nie są narażone na zjedzenie przez żuki, larwy czy inne żyjątka, chyba że rodzina jest skąpa i pochowała cię w cienkiej sklejce łączonej na klej, ale nic nie poradzę, że przed oczami stają mi obrazki ciał pożeranych przez larwy:

uczujące larwy

w podskórnym bufecie

miękkiego tłuszczu

Chyba zatytułuję to haiku *Mniam mniam*.

Kiedy już mamy z głowy rytuał pod dębem, wszyscy rozchodzą się, żeby oddać się chwili zadumy, chociaż po incydencie z ręką Toma na cmentarzu Oakwood Memorial dobieramy się w pary, zamiast krażyć solo. Helen i Carl idą w jedną stronę, Naomi i Tom w drugą. Jerry, który został bez pary, podczepia się do mnie i Rity.

Przez pierwszych kilka minut nawet udaje mi się trzymać buzię na kłódkę. Nie wiem, czy oddaje się osobistej refleksji, czy rozmyśla o kolejnym porno-dziele, ale już po chwili

robi się rozmowny.

Zaczyna od komentarza na temat Toma i Naomi. Po minucie rzuca kolejny. Potem zabawną myśl. Potem zaczyna opowiadać dowcip. Ale zanim dociera do puenty, mówię mu, żeby się uciszył.

- Okej, ziom - mówi. - Jak tam chcesz. - Odchodzi nadąsany, ale niedaleko. Wciąż słyszę, jak mamrocze, że nikt nie docenia jego poczucia humoru.

Nie mogę się nie uśmiechnąć. I dociera do mnie, że najmiłsze wspomnienia z całej mojej egzystencji wiążą się z Ritą i z Jerryem. Tamten wieczór, kiedy poznaliśmy Raya i kiedy napadliśmy na oddychaczy. I kiedy pozorowaliśmy wypadek moich rodziców. W moim poprzednim życiu nie miałem takich przyjaciół. I przychodzi mi do głowy, że śmierć w wypadku samochodowym to była najlepsza rzecz, jaka mnie spotkała.

Nie mogę się doczekać, by podzielić się tym odkryciem z Helen i resztą grupy. Podejrzewam, że wszyscy czują to samo. A przynajmniej taką mam nadzieję.

Rita i ja spacerujemy przez chwilę w milczeniu, po prostu ciesząc się swoim towarzystwem. Pograżeni w myślach obserwujemy własne cienie na ziemi. Nie wiem, ile czasu minęło, ale w pewnej chwili wydaje mi się, że nie powinno być aż tak cicho.

Nie słyszę już Jerry'ego.

Przystaję i się rozglądam, ale Jerry'ego nigdzie nie widać. Mimo że cmentarz jest oświetlony światłem księżycy.

- Hej, Jerry? - wołam.

- Co się dzieje? - pyta Rita.

Widzę, jak do naszych cieni na ziemi dołącza trzeci. Zaczynam się odwracać, spodziewając się, że zobaczę Jerry'ego, podkradającego się do nas. Ale nagle ktoś taranuje mnie z impetem, oddzielając od Rity. Puszczam jej rękę. W następnej chwili padam na ziemię, przywalony wielkim, spoconym ciałem.

- Trzymaj ręce! - syczy głos sponad mnie. - Ręce! Ręce!

- Czekaj! - mówi inny głos. - Trzymaj się z daleka od jego ust!

Nie mogę się ruszyć i nie mogę oddychać. Próbuję krzyknąć, ale masa, która przyciska mi klatkę piersiową, zgniata mi płuca. W następnej chwili moje kostki są krępowane plastikową opaską do kabli. Zaraz potem to samo dzieje się z nadgarstkami za moimi plecami.

W ogóle nie słyszę Rity.

- Okej, okej - mówi głos. - Ten jest okej. Idziemy.

Zanim mogę kłapać zębami i wgrzyźć się w ludzkie mięso, ciężar schodzi ze mnie i w końcu mogę oddychać, ale nie mam dość powietrza, żeby krzyknąć. Więc warczę.

- Ucisz go! - szepcze ktoś.

Bucior kopie mnie w plecy. Następny kopniak trafia w nerki. Przekręcam się i próbuję zwinąć w kłębek, żeby uniknąć uderzenia. I wtedy zauważam Ritę. Leży nieprzytomna na ziemi, kilka kroków ode mnie. Między nami stoją dwie postacie.

- Jazda - mówi ten, który mnie kopał, i odsuwa się o krok. Jest niski, ma blond włosy i trzyma kij do bejsbola. - Skończmy to i wynośmy się stąd.

- Czekaj - mówi drugi. Ma na sobie wełnianą czapczkę i wojskowe moro. Pochyla się nad Ritą i chwyta ją za lewe ucho. Kilka sekund później trzyma coś w dłoni, a płatek ucha Rity jest poszarpany i krwawi.

Wtedy czuję benzynę.

Facet wielkości ego Marthy Stewart podchodzi do nas z dziesięciolitrowym kanistrem benzyny w jednej ręce. W drugiej trzyma coś, co wygląda jak flara.

Zaczynam myśleć, że te nasze wycieczki po cmentarzach nie są najlepszym pomysłem.

Gdy wielki facet podchodzi do Rity, dwaj pozostali się wycofują. Facet wkłada flarę do kieszeni i odkręca nakrętkę kanistra. Próbuję wstać, próbuję wołać o pomoc, próbuję zrobić cokolwiek, żeby go powstrzymać, ale jestem związany i nie mogę złapać oddechu.

Jakimś cudem wstaję na kolana, ale zanim udaje mi się rzucić do przodu i ugryźć kogoś, blondas bierze zamach kijem bejsbolowym i uderza mnie w bok głowy. Padam na ziemię, a świat na chwilę ogarnia ciemność. Gdy znów otwieram oczy, ego Marthy Stewart stoi nad Ritą i polewa ją benzyną.

Słyszę dźwięk nadchodzących w trawie kroków, szybkich i zdecydowanych.

Wielki facet patrzy w górę.

- Cholera...

Jerry uderza go mocno, zanim tamten ma czas zareagować, i zwała go z nóg. Kanister z benzyną leci kilka kroków dalej i jego zawartość wylewa się na trawę.

- Szlag! - krzyczy dzieciak z kijem.

Ten w wojskowych ciuchach rozgląda się nerwowo oczami jak spodki. Wokoło tylko ciemność.

- Nick, spadajmy stąd!

Odwraca się i ucieka.

- Szlag! - powtarza Nick.

Martha Stewart wrzeszczy.

Jerry przyciska Marthę do ziemi, w gryza mu się w gardło, ale wielkolud broni się i go

odpycha. Nie jestem pewien, ale Jerry chyba się śmieje.

Zamiast uciekać, Nick rusza w kierunku Jerry'ego, trzymając przed sobą kij. Chce ostrzec Jerry'ego, ale może tylko patrzeć, jak Nick podkrada się od tyłu i drżącymi dłońmi unosi kij nad swoje prawe ramię. Już ma uderzyć, gdy Jerry się odwraca. Policzki i brodę ma umazane krwią, lśniąca w świetle księżyca.

Nick zamiera.

- Jezu! - sapie.

- Sorry, ziom - mówi Jerry, wstając. Na ziemi leży charczący i jęczący Martha Stewart. - Twój kolega nie przeżył.

Powietrze przesyca zapach krwi i benzyny.

Jerry rusza do przodu, ale Nick, zamiast machnąć kijem, zaczyna się wycofywać. Nagle odwraca się, żeby uciec, ale potyka się o kanister i pada na ziemię jak długi, a kij wyfruwa mu z rąk.

Jerry wybucha śmiechem. Nie wrednym czy złośliwym. Po prostu uważa, że to zabawne, i zaczyna się śmiać, jakby wygłupiał się na cmentarzu ze swoimi kolegami.

Nick zbiera się i odwraca, szukając kija, ale najbliższą bronią jest kanister, więc podnosi go i zaczyna grozić nim Jerry'emu, który trzyma się już za brzuch ze śmiechu. Więc Nick rzuca w niego kanistrem. Jerry wciąż się śmieje, kiedy blaszanka trafia go w głowę, ochlapuje mu twarz benzyną i pada u jego stóp.

- Auć! Cholera, ziom - mówi Jerry, wycierając oczy. - To nie jest cool.

Ale odwaga Nicka już się wyczerpała. Rzuciwszy kanistrem, odwraca się i zwiewa - pędzi za swoim współnikiem, zostawiając drugiego kumpla na śmierć.

Przekręcam się, żeby sprawdzić, co u Rity. Wciąż jest nieprzytomna. Jej twarz i włosy są mokre od benzyny, która połyskuje w świetle księżyca. Obok niej, Martha Stewart leży na plecach. Ledwie się porusza, ale wydaje mi się, że z czymś się szamocze. Dopiero po chwili dociera do mnie, że trzyma w dłoni flarę i odkręca plastikowy kapsel.

Próbuję ostrzec Jerry'ego, ale z moich ust wydobywa się tylko sapnięcie.

W ciemnościach słyszę głosy Naomi i Toma, ale nie wiem, gdzie są.

Martha odkręcił już kapsel i odsłonił guzik zapalnika.

Jerry wciąż stoi tyłem do mnie, próbując zetrzeć benzynę z oczu. Stoi tuż obok kanistra, w kałuży bezołowiówki.

Kilka kroków ode mnie Martha przekręca się na bok i zapala flarę.

- Jerry - udaje mi się wreszcie wyjęczeć.

Jerry się odwraca, wciąż trąc oczy. I otwiera je w chwili, kiedy Martha rzuca zapaloną

flarę na trawę.

- Ziom.

Flara dosięga ziemi. W następnej sekundzie Rita staje w ogniu. Nim Jerry ma czas się ruszyć, płomień śmiga po trawie i dociera do kanistra, który wybucha wprost pod nogami Jerry'ego.

Jerry zatacza się do tyłu, płonąć, rzuca się na ziemię i próbuje ugasić ogień, przez cały czas wrzeszcząc z bólu i ze strachu, prosząc o pomoc. Kilka kroków ode mnie Rita pali się w milczeniu - jej bladej twarzy nie widać już przez płomienie. Czuję, jak palą się jej włosy, jak piecze się jej ciało, spływając z kości. Otwieram usta, żeby zawołać jej imię, ale wyrywa się z nich tylko szloch.

Szarpię się, żeby uwolnić ręce, ale to na nic. Nie mogę się ruszyć. Nie mogę zawołać o pomoc. Nie mogę nawet zakryć oczu. Mogę tylko płakać i patrzeć, jak Rita, moje nienarodzone dziecko i Jerry giną w płomieniach. Ona w milczeniu, on krzycząc z bólu. W końcu nie mogę już więcej znieść, więc zamykam oczy i tylko słucham krzyku Jerry'ego.

56

Siedzę z tyłu minivana Helen, obok zwęglonych szczątków Rity. Wciąż próbuję ją chwycić za rękę, ale nie znajduję w niej nic znajomego, więc tylko płaczę jeszcze mocniej. To, co zostało z Jerry'ego, leży owinięte w skórzaną kurtkę Naomi na podłodze za nami.

Kiedy zjawili się pozostali, Jerry przestał już krzyczeć i się ruszać, ale wciąż się palił, więc ugasil go kurtką. Rita, która w ogóle nie odzyskała przytomności, tliła się jeszcze, póki Carl nie nakrył jej płaszczem.

Mieliśmy nadzieję, że może uda się ich karmić na siłę, by odwrócić obrażenia, ale zostało z nich tylko zwęglone ciało i kości. Nawet gdyby udało się ich wskrzesić, ich usta i gardła przestały istnieć, więc nie było mowy, by któreś zjadło choć kawałek oddychacza.

Moja twarz jest pokryta bąblami, brwi i włosy mam opalone. W pewnej chwili podczołgałem się do Rity, kiedy jeszcze płonęła, i położyłem się obok niej. Nie pamiętam, jak to zrobiłem. Pamiętam tylko, że otworzyłem oczy i zobaczyłem ją niecałe trzydzieści centymetrów ode mnie - nierozpoznawany, czarny kadłub w kręgu wypalanej trawy.

Wciąż widzę jej twarz - białą skórę, ciemne oczy i słodkie usta pomalowane na jeden z

tych ślicznych kolorów. Wydaje mi się niemożliwe, że jej nie ma, że została unicestwiona. Ale wtedy patrzę w dół, i widzę tę masę kości i zwęglonych tkanek, i ogarnia mnie gniew, którego nie da się stłumić.

Po pierwszych dwóch napastnikach nie było już śladu, a Martha Stewart, zanim go dopadliśmy, zdążył już umrzeć od ran, więc nie mogliśmy się dowiedzieć, skąd byli. Nagle przypomniałem sobie, że ten w moro wyrwał coś z ucha Rity. Litery na koszulce Marthy Stewart potwierdziły moje podejrzenia.

Nikt nie powiedział słowa, od kiedy wyszliśmy z cmentarza. Jechaliśmy w milczeniu, bo nikt nie chciał rozmawiać o tym, co się stało. Ale wszyscy wiedzieliśmy, co trzeba zrobić.

Najpierw musimy zawieźć szczątki Rity i Jerry'ego w jakieś bezpieczne miejsce. Wolelibyśmy pochować ich sami, zabrać ich gdzieś do lasu i pożegnać, jak należy, ale to niemożliwe. Nie mamy czasu. Nie dziś. A czy będzie jakieś jutro, nie wiem.

Kiedy już odstawimy ich ciała, zajedziemy do mnie, żeby zapytać, czy Zack i Luke chcą iść z nami. Nie miałbym im za złe, gdyby nie chcieli, ale jestem pewien, że woleliby dokonać tego wyboru sami.

A potem jest już tylko jeden przystanek.

57

- Cukierek albo psikus!

To prawda, że jesteśmy spóźnieni o dwa miesiące, ale liczy się intencja.

Członek bractwa Sigma Chi, który otwiera nam drzwi, staje w progu z piwem w ręce i patrzy na nas, jakby próbował odgadnąć, na czym polega dowcip.

- Kim jesteście?

- Znajomymi Nicka - mówię. Po czym chwytam go za koszulkę, rzucam na drzwi i w gryzam mu się w gardło. Jeszcze drga, kiedy go puszczam. Pada w progu, w kałuży krwi, wciąż ściskając piwo w garści.

Dwójka studentów, stojąca w holu u stóp schodów, zaczyna wrzeszczeć, upuszcza drinki i pędzi na górę. Zack i Luke ruszają za nimi jak ogary, a reszta grupy wpada do środka, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Zimowy semestr zaczyna się dopiero we wtorek. I jest druga w nocy, więc nie

spodziewamy się pełnej chaty, ale muza łupie i wóda się leje, więc jest szansa, że będziemy mieli sporo do roboty. I dobrze. Tata zawsze powtarzał „Diabeł się raduje, kiedy człowiek próżnuje”.

Helen i Carl biorą parter, a ja biegnę za Lukiem i Zackiem do pokoi na piętrze. Tom i Naomi zostają przy drzwiach. Mają pilnować, żeby nikt nie wyszedł. Przyznaję, że parę niewinnych osób może zapłacić za wybryk tych trzech, którzy nas dzisiaj zaatakowali, ale szczerze mówiąc, mamy już dość.

Z góry dobiegają już krzyki zaskoczenia i wrzaski przerażenia, narastające w istne piekło chaosu i hysterii, co oznacza, że Zack i Luke zabrali się do roboty.

Naprawdę muszę im dać podwyżkę.

W połowie schodów spotykam chłopaka w samych bokserkach i z częściową erekcją.

- Uciekaj! - mówi, przepychając się obok mnie. - Na górze ktoś poze...

W tej chwili zauważa moją poparzoną twarz i krew płynącą mi po brodzie i po koszuli.

Odwraca się, chcąc uciekać, ale Zack załatwia go tak pięknie, że prawie jestem zazdrosny. Facet ma w sobie tyle pasji. Zostawiam go, żeby dokończył. Ruszam na piętro.

Pierwsze dwa pokoje, do których zaglądam, są puste, ale w trzecim znajduję gołego faceta z kudłatym tyłkiem, próbującego dosyć ślamazarnie uciekać przez okno. Zanim udaje mu się przełożyć drugą nogę przez parapet, wgrzynam się w jego udo, przebijając tętnicę udową, a potem wciągam go do środka, wrzeszczącego wniebogłosy.

Z początku go nie poznaję, ale nagle dostrzegam na podłodze wojskowe moro. Wełnianą czapkę wciąż ma na głowie.

- Nie! - krzyczy. - Nie! Nie!

Wymachuje rękami, próbując złapać coś, czym mógłby mnie uderzyć, i w końcu zaczyna mnie okładać pięściami. Łapię go za jaja i ściskam, żeby przestał się ruszać, po czym chwytam zębami jego ramię i zaczynam gryźć. Odrywam i wypluwam kawały mięsa, aż docieram do kości. Mama zawsze mówiła, że nie wolno marnować jedzenia, ale szczerze mówiąc, nie mam apetytu. Chcę tylko, żeby ten gnojek cierpiał.

Rany w nodze i ramieniu spowodowały upływ krwi, ale ciągle oddycha. I jest przytomny. Już niedługo.

Pochylam się nad nim. Jego krew kapie z moich warg na jego usta. Patrzę mu w oczy. Nie wiem, czy mnie poznaje. Nie wiem, czy jeszcze w ogóle cokolwiek kojarzy. Ale chcę, żeby moja twarz była ostatnią rzeczą, jaką będzie widział przed śmiercią.

- To za Jerry'ego - mówię i wbijam zęby w jego gardło.

Kiedy ustaje mu puls, podnoszę się, żeby wyjść, ale nagle słyszę stłumiony płacz. Otwieram drzwi szafy i znajduję nagą dziewczynę, skuloną na podłodze, drżącą na kupce brudnych ciuchów. Spogląda na mnie oczami pełnymi łez.

Patrzę na nią, na jej bladą twarz i ciemne włosy, i przez chwilę wyobrażam sobie, że to Rita. Ale ta chwila mija.

- Hej - mówi dziewczyna.

Albo jest w szoku, albo poznała mnie z telewizji.

Dociera do mnie, jak muszę wyglądać, zalany krwią jej chłopaka. A może to była tylko jednorazowa przygoda? Nieważne. Lepiej jej będzie bez niego.

Ściągam koc z łóżka i przykrywam ją, a potem kładę palec na ustach i zamykam drzwi szafy.

Kiedy wychodzę z pokoju, Luke stoi na korytarzu z kolejnym członkiem bractwa, wykrwawiającym się u jego stóp: Kawałek dalej Zack goni wrzeszczącą brunetkę do jednego z pokojów. Kiedy kończę sprawdzanie pozostałych dwóch pokoiów na piętrze, krzyki milkną.

Z dołu też dobiegają krzyki, tyle że nie są to wrzaski bólu czy strachu. Kilku członków bractwa zaczęło się opierać - nawołują się nawzajem, dodają sobie odwagi. Ponad ich głosy wzbija się głos Naomi, wiwatującej i zagrzewającej Toma:

- Rozedrzyj tę sukę na strzępy! - I wyzywającej każdego, kto boi się do niej zbliżyć: - No jazda, padlino! Ruszcie te wasze tchórzliwe dupy!

A ja się martwiłem, że nie będzie się dobrze bawić.

Nie słyszę głosów Carla i Helen, ale oni są bardziej subtelni niż Naomi, więc mogę tylko mieć nadzieję, że obstawili tylne drzwi. Nie słyszę też syren, co znaczy, że mamy jeszcze czas.

Na podeście drugiego piętra Luke pożera drobną, fatalnie ubraną blondynkę. Przypominam mu, że na przekąski będzie czas później i że powinien się skupić na zadaniu.

Luke zostawia blondynkę i biegnie korytarzem, a ja otwieram pierwsze drzwi po lewej i znajduję dwóch chłopaków na kanapie. Jeden siedzi bezwładnie jak szmata i radośnie szczyrzy zęby, drugi pochyla się nad wodną fajką. Żaden z nich nie jest Nickiem i obaj są upaleni jak stąd do Chin. Patrzą na mnie i wybuchają śmiechem; z ust tego drugiego wypływa chmura dymu.

Podchodzę do tego dymiącego i chwytam go za włosy. Rozbijam mu twarz o stół, a potem podciągam go na nogi i odgryzam mu nos, by wreszcie cisnąć nim przez okno w nocne ciemności.

Gdzieś w połowie tej sceny ten drugi przestaje się śmiać.

Wstaje i próbuje się bronić, ale szybko rezygnuje, kiedy przygniatam go do kanapy i przegryzam mu tętnicę szyjną.

Choć ta hurtowa masakra członków Sigma Chi jest sama w sobie bardzo satysfakcjonująca, nie poczuję się spełniony, dopóki nie dostanę tego, po co tu przyszedłem.

Jeśli nigdy nie urządziliście najazdu na dom bractwa, by wyrzucić straszliwą zemstę za spalenie waszej ukochanej, nienarodzonego dziecka i najlepszego przyjaciela, to pewnie nie zrozumiecie.

W sypialni po drugiej stronie korytarza znajduję nieprzytomną dziewczynę, z majtkami na kostkach i ze użytym kondomem, leżącym na łóżku obok niej.

Naprawdę, ktoś już dawno powinien był pozabijać członków tego bractwa.

Kiedy wracam na korytarz, jakiś dzieciak podobny do Jerry'ego Seinfelda trzyma gaśnicę, grożąc, że spryska nią Luke'a. Tymczasem Zack trzyma bojową, wysoką rudaskę, która orze mu paznokciami twarz.

W oddali słyszę znajome zawodzenie.

Zanim weszliśmy do domu, umówiliśmy się, że wiejemy, gdy tylko usłyszymy syreny. Ale ja się nigdzie nie wybieram, dopóki nie znajdę Nicka. I wygląda na to, że cała reszta myśli tak samo.

Może już nie umiemy się pohamować.

Chyba też wiemy, że ucieczka byłaby bezcelowa.

A może po prostu za dobrze się bawimy.

Luke rechocze, zbliżając się do sobowtóra Seinfelda, który przyciska spust gaśnicy. Kiedy nic się nie dzieje, rzuca gaśnicą w Luke'a, a potem pędzi korytarzem, mijając niskiego, jasnowłosego chłopaka, który wyszedł właśnie z pokoju z puszką dezodorantu i zapalniczką. Luke dostrzega go i pędzi przed siebie, ale chłopak celuje w niego dezodorant i wypuszcza mu jęzor płomienia prosto w twarz.

Luke pada z wrzaskiem na podłogę, a dzieciak szarżuje na Zacka, z dezodorantem w dłoni, pstrykając zapalniczką.

- Zack! - krzyczę.

Zack uchyla się, zanim strzela płomień, ale wysoka rudaska nie jest już taka zręczna. Jej syntetyczny sweter zajmuje się ogniem i dziewczyna zaczyna piszczeć, próbując się z niego wyplątać, ale w końcu pędzi korytarzem, ciągnąc za sobą dym i płomień.

Syreny są coraz bliżej. I jest ich więcej. Więcej, niż kiedykolwiek słyszałem.

Luke leży na podłodze. Brat ogląda jego obrażenia. Nie widzę, jak bardzo jest poparzony, ale nie mogę się nim teraz zajmować. Namierzyłem swoją zdobycz.

Nick stoi niecałe trzy metry ode mnie, trzymając przed sobą dezodorant i zapalniczkę jak krucyfiks. Ręce mu się trzęsą, ale przynajmniej stanął do walki. Trzeba mu oddać sprawiedliwość. Większość oddychaczy to mięczaki.

- Cześć, Nick - mówię.

Jest zdumiony, że znam jego imię, ale w następnej chwili widzę w jego oczach błysk zrozumienia. I kiedy ruszam w jego stronę, opuszcza go odwaga, która wygnała go na korytarz.

- Nie zbliżaj się! - Jąka się i trzęsie coraz bardziej. - N-n-nie zbliżaj się.

Mijam Luke'a i zerkam w dół. Widzę, że jego twarz jest poparzona bardziej niż moja, a jego brwi całkiem zniknęły.

- Zabierz go stąd - mówię do Zacka.

Zack się odwraca, wydaje z siebie warkot, który zagania Nicka z powrotem do pokoju, a potem pomaga Luke'owi wstać. Kiedy zaczynają schodzić na dół, słyszę pierwsze syreny wjeżdżające w ulicę.

Nick zamyka drzwi na klucz, ale to nie może mnie powstrzymać. Po kilku sekundach jestem już w środku i osaczam go pod barkiem. Próbuje mnie odpędzić płomieniem, ale ręce mu się trzęsą i nie może zapalić zapalniczki, więc poddaje się i rzuca nią we mnie, razem z dezodorantem.

- Pieprz się! - mówi. - Pieprz się, potworze!

Nie są to jego ostatnie słowa, ale kiedy zombie pożera cię na żywca, cała reszta to raczej bełkot.

Kiedy jest już tak nadgryziony, że niemal traci przytomność, biorę z barku butelkę bacardi 151 i wylewam zawartość na jego pokaleczone ciało. Wreszcie biorę dezodorant i zapalniczkę, które porzucił, i przekreślam kółeczko.

Z dołu dobiegają dźwięki pękającego drewna i tłuczonych szyb, a potem władcze głosy wyszczekujące komendy. Na dworze wciąż wyją syreny, a za oknem sypialni migają czerwone i niebieskie światła.

Myślę o Ricie. Myślę o moim nienarodzonym dziecku. Myślę o Jerry'm. Myślę o planach, które miałem, o nadziejach i marzeniach, o miłości i przyjaźni. Myślę o wszystkim, co wycierpiałem przez ostatnie pięć miesięcy. I o tym, że nic nie może się równać z tym, co wycierpiałem dzisiejszego wieczoru. Z tym, co straciłem.

- To za Ritę - mówię. Naciskam dezodorant, w ułamku sekundy zmieniając ciało Nicka w kieszonkowe piekło.

Jest wystarczająco przytomny, by krzyżeć.

Carl i Tom siedzą po mojej lewej, a Helen naprzeciwko, obok Naomi. Przypominają mi się szkolne potańcówki - chłopcy po jednej stronie, dziewczyny po drugiej. Tyle że brakuje muzyki i nikt nie ma nadziei na niezręczny, nastoletni seks.

Siedzimy w furgonetce Policji dla Zwierząt, z nogami i rękami w pasach, przykuci do ścian furgonetki, z ustami osłoniętymi skórzanymi kagańcami. Wyglądamy jak kwintet Hannibali Lecterów.

Więzy i kagańce nie są takie straszne, jak moglibyście pomyśleć. Więzy są nylonowe, a kagańce z miękkiej skóry i pachną nowym samochodem. Najgorsze były te wszystkie kamery telewizyjne i reporterzy czekający na zewnątrz. Żenujące. Doprawdy żenujące.

Na szczęście Luke'owi i Zackowi udało się uciec. A przynajmniej taką mamy nadzieję. Nikt ich nie widział, kiedy przyjechał oddział antyterrorystyczny Policji Santa Cruz. Nikt nie słyszał strzałów ani odgłosów pościgu. Podejrzewam, że zaszyją się w górach, dopóki wszystko się nie uspokoi. Może Ian ich przyjmie, chociaż on teraz pewnie będzie próbował zdystansować się od nas wszystkich. Nie miałbym mu tego za złe. Tyle zrobił, żeby nam pomóc, włożył tyle pracy w nagłośnienie naszej sprawy, a my prawdopodobnie ukatrupiliśmy cały ruch wyzwolenia zombie w niecałą godzinę.

Prędzej czy później coś takiego musiało się stać, czy byłaby to zemsta, czy zwykła żądza ludzkiego mięsa. Jesteśmy zombie. Zjadamy oddychaczy. Pożywanie się leży w naszej naturze. I choć własną naturę można stłumić na jakiś czas, w końcu zacznie domagać się uwagi. A im lepiej ją karmisz, tym bardziej jest wygłodniała.

Nikt się nie odzywał, kiedy ponad dwudziestu policjantów, zastępców szeryfa i funkcjonariuszy Policji dla Zwierząt chytało nas, krępowało i prowadziło z domu bractwa do furgonetki. Nie stawialiśmy wielkiego oporu. Zabijanie i pożeranie oddychaczy wymaga sporo energii, i kiedy skończysz, masz ochotę tylko zrelaksować się z dobrą książką i kubkiem miętowej herbaty. To dobre na trawienie.

Ale przede wszystkim nikt nic nie mówi, bo po prostu nie ma nic do powiedzenia. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę z konsekwencji naszej akcji. Wszyscy wiedzieliśmy, jak to się skończy.

Nawet dla sław są pewne granice, których przekroczenia społeczeństwo nie zechce tolerować. Jak podkradanie w sklepach na Beverly Hills. Czy seks z nieletnią. Czy urządzenie

rzezi na sylwestrowej imprezie studenckiego bractwa.

Kiedy zrobi się coś takiego, nie można oczekiwać, że spędzi się noc w eleganckiej klatce w schronisku. Jedziemy do laboratorium, do stacji transplantacji, do doktora Frankensteina, do ośrodka badawczego czy jakkolwiek eufemistycznie zechcecie to nazwać.

Kilkoro z nas pewnie wyląduje na farmie organów albo zostanie użytych w testach zderzeniowych. Może jednemu czy dwóm zostaną ścięte głowy, na których będą ćwiczyć przyszli chirurdzy plastyczni. A przynajmniej jedno z nas spędzi resztę egzystencji przykute na zboczu wzgórza w ośrodku badającym stadia ludzkiego rozkładu - będzie gniło dla dobra nauk kryminalistycznych. Ale ostatecznie wszystkich nas czeka ten sam los.

Zostaniemy unicestwieni.

- Cóż. - Ciszę przerywa głos Carla, stłumiony przez kaganiec. - Nie wiem, jak dla was, ale ja uważam, że było warto.

Tom mu przytakuje. Helen i Naomi naprzeciwko mnie kiwają głowami. Choć nie ma w nas radości, z całą pewnością jest poczucie satysfakcji z załatwienia sprawy, która wymagała załatwienia.

Rozglądam się po furgonetce, patrząc na czworo przyjaciół, którzy mi jeszcze zostali. I przypomina mi się mój sen, w którym wszyscy jechaliśmy limuzyną. Tylko że teraz siedzimy w furgonetce PDZ.

Jerry i Rita nie żyją.

A Carl nie grilluje.

Żałuję, że Rita i Jerry nie mogą dzielić z nami tej chwili. Oczywiście wszystko pewnie potoczyłoby się inaczej, gdyby Rita i Jerry nie zostali unicestwieni, ale bez nich ten moment wydaje się jakiś niekompletny. Brakuje kawałka nas. Mnie nawet większego kawałka niż innym.

Zamykam oczy i myślę o Ricie.

Myślę o jej dotyku, śmiechu i o tym, jak sprawiała, że czułem się żywy.

Myślę o tym, jak wzięła mnie za rękę w deszczu i poszła ze mną przez wieś. I jak jedliśmy razem przy świecach żeberka mojej matki.

Myślę o tym wszystkim, za czym będę tęsknił.

Nigdy nie wierzyłem w reinkarnację, życie pozagrobowe czy niebo. Ale jeśli któraś z tych rzeczy istnieje i pozwoli mi znów zobaczyć Ritę, to jestem skłonny uwierzyć. Jestem skłonny rzec się własnych przekonań i wątpliwości w istnienie Boga, byle tylko móc zobaczyć Ritę choć jeden raz. Choć raz wziąć ją za rękę i pójść z nią na spacer.

Oczywiście, biorąc pod uwagę tych wszystkich oddychaczy, których zabiłem i

upiekłem w ciągu ostatniego miesiąca, pewnie nie jestem na boskiej liście tych, których modlitwy zostaną wysłuchane. Podejrzewam, że to raczej Jego mroczny odpowiednik byłby zainteresowany spotkaniem ze mną. Chyba że jednak nie mam duszy, a całe to życie pozagrobowe to bujda.

Furgonetka się zatrzymuje. Otwieram oczy, patrzę na Helen i Naomi, a potem odwracam się do Toma i Carla. Na zewnątrz słychać wykrzykiwane komendy, słychać tupot kroków obchodzących furgonetkę.

Nie wiem, czy to jest koniec drogi, ale chyba przyjdzie nam się pożegnać.

Nikt nic nie mówi. Spoglądamy tylko na siebie, a w oczach Helen i Naomi widzę łzy. Sam nie wiem, jak i dlaczego, ale nagle czuję, że i mnie płyną po policzkach.

Okrzyki na zewnątrz nie milkną. W każdej chwili spodziewam się, że drzwi się otworzą i wszyscy zostaniemy zabrani tam, gdzie mają zamiar nas zamknąć, pod eskortą antyterrorystów, uzbrojonych w paralizatory i miotacze płomieni. Ale drzwi się nie otwierają. A oprócz głośnych komend słyszę teraz silniki samochodów podjeżdżających od tyłu, trzaskanie drzwiczek i czyjeś wrzaski.

Kłótnia przybiera na sile, aż przerywa ją odgłos wystrzału, który odbija się echem od ścian furgonetki. Następuje kilka chwil ciszy, gęstej i ciężkiej. Nagle gdzieś z daleka rozlega się śmiech.

Potem znowu krzyki i strzały. I charakterystyczne „wwwuszzsch” miotacza płomieni. Czyjeś bolesne wycie. Wrzaski rozlegają się wszędzie dookoła. Znow komendy - wydający je głos jest roztrzęsiony. Po obu stronach furgonetki tupoczą kroki, chyba ponad dziesięciu osób. Coś uderza w ścianę paki. Rozlega się wrzask... i nagle się urywa. Gdzieś w pobliżu rozgorączkowany głos wzywa wsparcie. Milknie.

Kroki znow okrażają furgonetkę. Wszyscy pięcioro odwracamy głowy. Po chwili drzwi otwierają się i reflektory ciężarówki antyterrorystów zalewają wnętrze światłem. Widzę tylko zarysy i cienie kilku osób, które wdrapują się do środka i zaczynają odpinać nasze uprząże od ścian. A kilka innych postaci stoi na zewnątrz, na straży. Dopiero kiedy przed moimi oczami pojawia się twarz, uśmiechnięta od ucha do ucha i cała w bąblach, które już zaczynają się goić, poznaję Luke'a. A tuż obok niego Zack rozpina pasy na rękach Naomi.

Naprawdę muszę im dać podwyżkę.

Kiedy pasy są już rozpięte i skórzane kagańce zdjęte, wysiadamy z furgonetki i okazuje się, że jesteśmy jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Santa Cruz, na pustym odcinku autostrady Pacific Coast. Po jednej stronie szosy wysoki klif wznosi się w zimowe niebo. Po drugiej stronie tylko metalowa barierka oddziela nas od sześćdziesięciometrowego urwiska

schodzącego do Pacyfiku. Za nami stoi kilka samochodów z zapalonymi silnikami i otwartymi drzwiami, a przed nami, w światłach radiowozu szeryfa okręgu Santa Cruz i furgonetki Policji dla Zwierząt, widzę dwa SUV-y, blokujące oba pasy drogi.

Oprócz Luke'a i Zacka, i kilku innych osób, które pomogły nas uwolnić, po jezdni kręci się ponad dwudziestu nieumarłych. Szukają żywych, przybijają sobie piątki i pożywiają się zabitymi oddychaczami. Z ciemności dobiegają sporadyczne strzały i wrzaski bólu. Całkiem sporo nieumarłych zostało permanentnie przetworzonych, jak to mawia Helen, ale wygląda na to, że zasadnicza bitwa dobiegła już końca.

Niestety, nie wygląda na to, żebyśmy mieli dużo czasu na świętowanie zwycięstwa.

W oddali widać migotanie kogutów. Policyjne wozy zbliżają się do nas z obu stron. Gdy Zack i Luke prowadzili atak na nasz konwój, mieli tę przewagę, że na jednego oddychacza przypadało więcej niż dwóch nieumarłych, ale teraz chyba żywi znacznie przewyższają nas liczbą.

Kilku nieumarłych, widocznie nieprzygotowanych na takie wyzwanie, przeskakuje przez barierkę. Wolą zaryzykować upadek z urwiska, niż wziąć udział w starciu. Rozpoznaję jednego z nich, stojącego na barierce. Tom odpowiada mi zażenowanym uśmiechem i wzruszeniem ramion, macha na pożegnanie swoją krótką, kudłatą ręką i skacze w ciemność.

Rozglądam się wokół, patrząc na resztę z nas. Na Helen, Naomi i Carla. Na Zacka i Luke'a. Na dwa tuziny zombie, którzy zgromadzili się tu, na szosie, w pierwszą noc Nowego Roku.

I w tej chwili zdaję sobie sprawę, że wszyscy patrzą na mnie. Wszyscy czekają.

Jak powiedział Ray, nie możesz czekać, aż ktoś inny rozwiąże za ciebie problemy. Prędzej czy później będziesz musiał sam sobie pomóc.

- Zack, Luke - mówię. - Mamy towarzystwo.

Bez dalszych wskazówek zaczynają organizować oddział na przyjęcie wroga. Naomi i Helen podchodzą, żeby mnie uściskać, po czym idą pomagać bliźniakom. Carl odwraca się do mnie, ściska mi rękę i mówi:

- Andy, znać cię to była prawdziwa przyjemność.

I biegnie, by przyłączyć się do innych, podnosząc po drodze porzucony miotacz płomieni.

Przez chwilę jestem sam. Stoję koło furgonetki i myślę, jak to się wszystko zaczęło.

Jak żyłem.

Jak umarłem.

Jak ocalałem.

Patrzę na kolumnę wozów policyjnych, na zbliżającą się procesję świateł i uświadamiam sobie, że tutaj prawdopodobnie wszystko się dla mnie skończy. Dla większości z nas wszystko się skończy. Ale przynajmniej odejdziemy na naszych warunkach. Odejdziemy, walcząc o prawo do egzystencji.

Oczywiście nie zachwyca mnie perspektywa, że zginę w płomieniach czy z odrąbaną głową. Znam lepsze sposoby spędzania piątkowej nocy. Ale z pewnością to lepsze niż dogorywanie na farmie organów, w zakładzie testów zderzeniowych czy ośrodku badawczym studiującym ludzki rozkład.

Jeśli nigdy nie zostaliście rozczłonkowani czy zmiażdżeni, jeśli nie pozostawiono was, byście powoli zmienili się w rosół, to pewnie nie zrozumiecie.

PODZIĘKOWANIA

Chcę podziękować mojej agentce Michelle Brower za jej wsparcie i entuzjazm, i za wiarę we mnie. I za to, że lubi zombie. Mojej redaktorze Laurze Swerdloff za sugestie i zrozumienie, i za słuchanie moich narzekań. I za to, że lubi zombie. Dziękuję Julie Sills, Jillian Wohlforth i Ellen Folan za całą ich energię i wszystkie pomysły, i wszystkim innym z Random House i Broadway Books, którzy sprawili, że wydanie tej książki stało się możliwe. Dziękuję Cliffordowi Brookowi, Heather Liston i Keithowi White'owi za ich nieocenione opinie na temat pierwszych szkiców książki i całej reszcie Klubu Zombie za wsparcie i przyjaźń.

Choć pozwoliłem sobie na znaczną swobodę, jeśli chodzi o pośmiertną psychologię człowieka, by dopasować ją do potrzeb moich zombie, nie mógłbym napisać tego bez doksztalcenia się w paru kwestiach. Dziękuję więc doktor Trishy Macnair za oddanie mi na pożarcie jej artykułu na temat ludzkiego rozkładu, który to artykuł pomógł mi nadać światu Andy'ego choć trochę cielesnego realizmu. Chcę też podziękować Mary Roach, autorce książki STIFF: The Curious Lives of Human Cadavers, z której dowiedziałem się o pośmiertnym obluźnianiu skóry, o wykorzystaniu zwłok w testach zderzeniowych i o tym, że aż do roku 1965 nekrofilia nie była przestępstwem w żadnym z amerykańskich stanów.

I wreszcie pragnę podziękować rodzicom, rodzinie i wszystkim przyjaciołom, którzy przez lata obdarzali mnie miłością i wsparciem. Bez was wszystkich to by się nie udało.